



Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000231571

4997 A Normal

29/124



BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW  
NOBLA

PAWEŁ HEYSE



W E S E L E  
N A  
K A P R I





*BIBLIOTEKA  
LAUREATÓW NOBLA*

*POD REDAKCJĄ  
DRA STANISŁAWA LAMA*

*TOM 28.*

*PAWEŁ HEYSE  
WESELE NA KAPRI  
NOWELE WŁOSKIE*



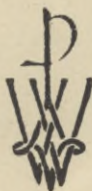
*LWÓW—POZNAŃ 1924  
NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*



*PAWEŁ HEYSE*

*WESELE NA KAPRI*

*NOWELE WŁOSKIE*



*LWÓW—POZNAŃ 1924*  
*NAKŁADEM WYDAWNICTWA POLSKIEGO*

PRZEKŁAD AUTORYZOWANY  
MERWINA



I 29.540

WSZELKIE PRAWA ZASTRZEŻONE.

---

ODBITO NA PAPIERZE BEZDRZEWNYM  
POZNAŃSKA DRUKARNIA I ZAKŁAD NAKŁADOWY T. A., POZNAŃ

Akc. Nr. K-1850/58

*WIEDŹMA Z KORSA.*

WIEDZMA I KORSA

---

**B**yło to w marcu. Zapadał mrok; natłok powozów i piechurów, przepelniających przez kilka godzin korso w każde popołudnie, począł się rozpraszać. Wracalem z dalekiej wędrówki srodze zmęczony i zdązałem do mieszkania, położonego w pobliżu Piazza del Popolo. Wtem szybkie moje kroki wstrzymała nagle dobrze mi znana, przydługa postać w piaskowym paltocie i szerokim szarym kapeluszu; stała ona bez ruchu ze skrzyżowanymi nad piersiami ramionami na chodniku, jak rozbijacz fal, dokoła którego tłum przechodni w lewo i prawo się przewijał. Oczywiście nie obeszło się bez pomruków, syków i pomstowań. Lecz mało to obchodziło samotnika. Miał on wzrok utkwiony bez przerwy w okna na drugim piętrze domu naprzeciw, gdzie jednak nie widać było ani światła, ani żywej istoty, ani nawet żadnych ozdób artystycznych. Dom był to narożny przy Via de' Pontefici, jedna z tych bez-

barwnych, niczem się nie wyróżniających klatek dla ludzi, w które obfituje ta historyczna ulica.

Wyznaję, iż mimo wyczerpania ogarnęła mnie wielka chęć dowiedzenia się, co mego przyjaciela przykuło do tego miejsca i zamieniło jak gdyby w słup soli. Zaznajomiłem się z nim zaledwo przed kilku tygodniami; zdołał jednak w tym krótkim czasie zyskać moją sympatję. Był to człowiek w wysokim stopniu posiadający ową cudowną mieszaninę kultury światowej z niemal dziecięcą naiwnością, którą napotkać można u ludzi o wysokim locie wyobraźni, kiedy z ciasnych kręgów prześnionej młodości wydostają się na szerokie rozłogi życia. Ten najmłodszy syn pastora holztyńskiego dopiero w dwudziestym roku życia zdecydował o swym przyszłym losie, wyrzekając się nagle studjów teologicznych i udając się mimo przeszkód i niedostatku na praktykę do budowniczego. Gdy jego uzdolnienia przerosły zakres wiedzy budowniczego, dopomogli bogaci dobrodzieje ojca jego i mógł rozpocząć studja w berlińskiej akademji. Otrzymał tam stypendjum i w dwudziestym czwartym roku życia wydostał się na południowe stoki Alp. Tyle wiedziałem z jego własnych wvznań; obecnie pracował w Petersburgu, miał zleceń więcej, niż mógł im podolać, to też nie chcąc się dać strawić niezmordowanej

pracy, wyrwał się na pewien czas, by zimę spędzić po części w Neapolu, po części w Rzymie.

Zatrzymałem się i czekałem, czy sam nie otrząśnie się z pograżenia, w jakie popadł. Nie było jeszcze tak ciemno, iżbym nie mógł dokładnie dostrzec każdego rysu jego twarzy. Nie można jej było nazwać piękną według utartych pojęć; była nieco przydługa i chuda; na wystających kościach rozpięta była skóra blada, bezkrwista. Lecz, gdy mówił, oczy skrzyły się ogniem, a gdy szerokie usta poczynaly się uśmiechać, gładka, pozbawiona brody twarz promieniowała młodzieńczym urokiem, niemal dziewczęcym powabem, który potęgowało jeszcze lekkie kraśnienie policzków. Włosy jego zwisały w gęstych smugach głęboko w kark. Jasny ich połysk ustępował już gdzieś gdzie bezbarwnej siwiźnie.

Stał tak przedemną, profilem skierowany wciąż w tę samą stronę; wyraz jego twarzy nie zdradzał wcale, co marzycielską duszę przykuwało do tego miejsca.

Przystąpiłem wreszcie do niego i cicho wyszeptałem jego nazwisko. Ujrzałem, że jakby prąd elektryczny przeszył długą postać od stóp do głowy; jak gdyby niespodzianie huknęto nad uchem lunatyka... Lecz wkrótce opanował zupełnie swe zmysły i myśli; tylko przed oczyma

jego snuły się jeszcze mgły, a dokoła ust błąkał się uśmiech, pokrywający nieudolnie lekkie zakłopotanie.

— Ach, to pan! — powiedział. — Cieszę się, że pana widzę. Zdaje się, że zbyt długo stałem tu na zawodzie rzymskim brukotłukom. Są jednak dni i nastroje... proszę, niech pan pójdzie... (wziął mnie pod ramię)... będę panu towarzyszył... nie zawsze jest dobrze być sam... a może pan ma jakie inne zamiary?

Powiedziałem mu, iż zmierzałem do domu, aby się pokrzepić szklanką wina i pomarańczą, gdyż jest jeszcze zbyt wcześnie na kolację.

— Jeśli nie ma pan żadnych innych planów, — powiedział szybko, — bardzo proszę towarzyszyć mi kilka kroków w stronę bramy. Tam w pierwszej lepszej osterji znajdzie pan i wino i owoce, a przytem będziemy się rozkoszowali boską aurą wiosenną. Cięży mi coś na piersi... Zdaje mi się, że udusiłbym się między czterema ścianami... A jeśli pan się zdobędzie na odrobinę cierpliwości, znalazłbym może tyle odwagi, by panu opowiedzieć starą historję, która z niezwykłą żywością, niemal upiornie, dziś wyłoniła się przed mą duszą i męczy mnie...

Zdjął kapelusz i przecierał wąską, niezwykle białą ręką czoło, na którem perlily się krople



potu i zwisały zlepione kosmyki jasnych włosów. Przyczem próbował się znowu uśmiechnąć.

Szedłem milcząc obok niego. Przeszliśmy przez Porta de Popolo na stary flamiński gościniec, ożywiony ruchem zaprzęgów i gromad wieśniaczych. Po prawej i lewej stronie dolatywały echa rozgwaru w szynkowniach. Z prastarego domu, który ongi był pałacem, przenikały dźwięki ręcznej harmoniki, na której wygrywano walca. W przestronnej, ciemnej izbie, oświetlonej tylko ogniem, płonącym na piecu, tańczono, a jakaś gruba kobieta kręciła się w okół z jakimś wyrostkiem; krzyki i śmiechy towarzyszyły zabawnym podskakiwaniom chłopaka; nie mieliśmy ochoty tu wstępować.

— Widzi pan, — rzekł mój przyjaciel, — to już nie stary Rzym. Przed dwudziestu laty ujrzelibyśmy saltarello. Zasię tu konduktor tramwaju konnego huczy na swej trąbce. Pójdźmy na drugą stronę. Tam ciszej; zapewne znajdziemy kąt, gdzie co najwyżej szum Tybru przypomina, że „wszystko płynie“.

\* \* \*

Było jeszcze tak jasno, że prócz Wenery żadna gwiazda nie pojawiła się w srebrzystym powietrzu. Widzieliśmy delikatne linje Monte Mario i pinje willi Melini ponad murami, okrążającymi gości-

niec; dziwne: nagle ustąpiło moje zmęczenie. Najchętniej byłbym powędrował aż do Ponte Molle, gdzie miałem ulubiony kącik w skromnej gospodzie. Gdy jednak powiedziałem o tem memu towarzyszowi, potrząsnął głową i zatrzymał się nagle u wejścia do ogrodu pewnej szynkowni.

— To było tu! — powiedział — tu przed dwudziestupięciu laty wypilem pierwszą szklanekę rzymskiego wina. Zdawało mi się, że nie odnajdę tego miejsca. Ząb czasu wygryzł tylko głowy herbowym zwierzęciom na filarach, podtrzymujących bramę. A wewnątrz... patrz pan, ocieniona drożyna, wiodąca ku rzece... i loggia... i mały wodotrysk przed nią... Może znajdziemy nawet poczciwego Domenicuccia, który wówczas był młodym szynkarzem i młodym żonkosiem. Ach, nie, ludzie kruszeją łatwiej niż martwe głązy. Rudy drab, który samotnej parce tam stawia na stół flaszkę wina, pochodzi z nowej generacji.

Wstąpiliśmy i zasiedliśmy na ławce, stojącej nieco wyżej, tak iż między domem a pozbawionym jeszcze liści żywopłotem mogliśmy dojrzeć w oddali kopułę św. Piotra, niby fioletowo-siny dzwon. Powietrze stawało się coraz przejrzystsze; dokoła nas zapadała cisza coraz głębiej. Tylko poniżej nad Tybrem śpiewał głos chłopięcy namiętną pieśń, a nietoperze latały tak blisko nas,

iż zdawało się, że słyszeć można poszum ich skrzydeł.

Rudy gospodarz przyniósł nam wina. Cicho uderzyły o siebie kieliszki.

— Na wspomnienie naszej młodości! — powiedział mój przyjaciel. — Ma ona tak lekki sen, iż trzeba tylko cicho puknąć, a budzi się. Niech pan wybaczy, jeśli wydam się panu nieco sentymentalny. Lecz taki dzień wspomnień... i znów na tem samem miejscu... a był to właśnie taki sam wieczór... Czy słyszy pan, jak dziwnie odbrzmiwa ten głos dziecięcy tam z oddali? Wcale nie miękko i słodko. Naturalnie, jest bowiem przesądem, że miłość jest najśłodszym z wszystkiego, co przeżywa biedny śmiertelnik. A jeśli zaznajemy wreszcie czegoś słodkiego — jakże gorzkim zwykle bywa posmak!

Wychylił kielich jednym haustem, jakby chciał ten posmak splukać.

— Wino jest cierpkie — rzekł. Robi mnie ono znowu twardym mężczyzną. Poprzednio, gdy mnie pan spotkał w pośrodku korsa — czy nie uważał mnie pan za zwarjowanego na poły? Musiałem zebrać wszystkie siły, by nie zdradzić przekłętęgo drżenia, które przenikało każdy mój nerw. Takie osłabienie pochodzi jeszcze z owych czasów. To, co mnie wówczas spotkało, rozluźniło

jakiś punkt w moich pozatem solidnych fundamentach. Gdy mnie teraz coś wewnątrznie przejmuje, chwije się cała budowla.

Niewiem, czy kto inny byłby się prędzej z tego otrząsał. A może wstrząsnęło to tak mojem życiem, bo wówczas dopieroco ozdrowiałem. A zresztą nie była to zwykła „perniciosa“, na którą my ludzie z północy tak ciężko zapadamy. Klimat znośm wcale dobrze. Spędziłem w Pompei trzy miesiące w nędznej izdebce, kiepsko się odżywiając a pracując bez przerwy. Kilka pięknych tygodni jesieni chciałem spędzić w Neapolu i nad wybrzeżem, zanim się miałem udać do Rzymu. Lecz nie mogłem się wyrwać z zasypanej tej dziury. Po głowie włóczyły mi się przeróżne pomysły, które zaspakając mogłem jeno con amore w tych upiornych rumowiskach, czyniłem pomiary, rysowałem szkice, robiłem zestawienia, i to od świtu po chwile, w których ostatni promień słońca zagasał nad Wezuwjustem. Tak żyłem niejako bez opamiętania przez całą zimę, jakby oczarowany.

Byłbym prawdopodobnie prześnił tak i całe lato; Rzym przestał mnie nęcić, wydawał mi się zbyt młodym; lecz moja sakiewka przemówiła wreszcie do mego rozsądku. Miałem jeszcze tyle tylko, by zapłacić vetturina, który mnie w bardzo mieszanem towarzystwie odwiózł do Rzymu —

księża i aktorki; różnie się działo w wozie, a podzwęki z jego wnętrza brzmiały nie zawsze bardzo pobożnie. Siedziałem jednak na koźle obok woźnicy i nie troszczyłem się zbytnio o to, co się działo za memi plecami. Smutek rozstania z me mukochanem miastem umarłych rozwiął wkrótce wspinały krajobraz, który wówczas trzeba było przez pełne trzy dni podziwiać, by się dostać do Rzymu.

Wreszcie... pewnego niezapomnianego popołudnia... wjechaliśmy do Rzymu przez Porta San Giovanni. Jakie uczucia mną władały, drogi przyjacielu, gdy kopyta koni huczały po bruku wiecznego miasta — tego chyba panu nie potrzebuję opisywać. Wszystkie te nazwiska, które wymieniał woźnica, wieże, pałace, na które wskazywał biczyskiem, znałem przecież z mych studjów, a jednak wszystko wydało mi się bajkowe, nieposłyszane dotychczas. Jak gdyby się ktoś zakochał w kobiecie, mając tylko minjaturowy jej portret i listy — a wreszcie ujrzał ją i usłyszał jej głos. Byłem tak przepojony radością i ciekawością, iż wcale nie obejrzałem pokoju, gdy wóz zatrzymał się przed skromnym, trzeciorzędnym zajazdem. Powierzyłem spiesznie kelnerowi me skromne zawiniątko i pospieszyłem przedewszystkiem przejść się po forum, by niejako wziąć w posiadanie to poświęcone miejsce.

Powędrowałem ku Kapitolowi, a następnie wijącą się drogą wdół i spoglądałem na zwaliska kolumn, pałace cesarskie i Kolosseum z taką rozkoszą, jakiej zaznałem tylko raz w życiu jako młody chłopak. Wówczas w południe przed wieczorem wigilijnym zajrzałem przez dziurkę od klucza do pokoju z choinką, co oczywista było surowo zakazane. Stało tam już drzewko, a pod nim leżały podarunki dla mnie. Gdy się stamtąd oddalałem, pukało mi serce. Lękałem się, że naprawdę ziści się to, czem mi matka groziła: oto wieczorem wszystko zniknie... Lecz gdy wieczorem wszystko zastałem, i to w jeszcze piękniejszym stanie, niż mi się w południe wydawało, wykrzyknąłem głośno ze szczęścia.

Oczywista nie krzychałem, gdy poraz pierwszy ujrzałem cudowną muszlę Kolosseum, która wówczas miała bardziej uroczysty wygląd, gdyż wtedy jeszcze archeologowie, nie mający respektu dla tajemnic malarskich, nie zwichrzyli fundamentów budowli. Siedziałem przeszło godzinę u stóp krucyfiksu i pławiłem się w niewypowiedzianej rozkoszy.

Wreszcie zauważyłem, że święto to krzywdzi część cielesną mego „ja“. Od śniadania nie miałem nic w ustach, nasz woźnica nie godził się na dłuższe popasy i pocieszał nas, że w Rzymie zjemy

dobry obiad. Zapadał już mrok; postanowiłem więc wrócić do domu, a po drodze wstąpić do trattorji. Gdy przechodziłem jedną z ulic, które prowadzą do forum, ujrzałem na drzwiach jednego z domów kartkę: „umeblowany gabinet do wynajęcia“. Na trzecim piętrze. Tem lepiej. Z góry ścieli się widok na to czarowne pole ruin.

Poszedłem więc na trzecie piętro i stwierdziłem, że wszystko tu ponad oczekiwanie piękniejsze. Wprawdzie pokój był ciasny, wyposażony tylko w najkonieczniejsze umeblowanie — lecz jakaż cudna panorama, gdy się głowę wychyliło poprzez okno! Nie należało się więc dłużej zastanawiać, bogowie okazali mi swą łaskę, a to tembardziej, iż bez większych kosztów mogłem się dostać do tego rajskiego schroniska; czynsz bowiem nie był o wiele wyższy niż w Pompei, a gospodyni, akuszerka z zawodu, żądała dla zabezpieczenia zapłaty za tydzień tylko.

Zawstydzilem się, gdy, sięgnąwszy do kieszeni, wydobyłem tylko jednego talara. Widząc moje zakłopotanie, kobieta okazała gotowość zrzeczenia się przedpłaty. Lecz, by sobie zapewnić kwatere, zostawiłem jej zegarek jako zastaw i oświadczyłem, że jeszcze dziś wieczorem przyślę swój kuferek i zamieszkać w izdebce, gdyż koniecznie chciałem już następnego ranka

ujrzeć u swych stóp pałace cesarskie. Pospiesznie zeskakiwałem ze schodów, jak gdyby poczciwa pani Rubicondi była piękną dziewczyną, która właśnie przyjęła me oświadczyny.

Teraz było rzeczą najważniejszą odszukać bankiera, u którego miałem podjąć resztę mych pieniędzy. Znałem jego adres, Via delle Vite, jakiś tam numer domu, wiedziałem, że jest to jedna z bocznych ulic korsa. Trudno jednak było odcyfrować nazwania ulic wobec coraz bardziej gęstniejącego mroku. Przystąpił do mnie chłopak o dość podejrzanym wyglądzie, acz uprzejmem zachowaniu się; zapytał, czego szukam. Uważałem go za kuplera; w Neapolu wciąż się im musiałem opędząć; odprawiłem go więc w krótkich słowach. Gdy jednak znowu bezradnie przystanąłem na pobliskim rogu ulicy, powtórzył skromnie swe pytanie; wreszcie mu powiedziałem, dokąd zmierzam. Szedł przedemną, a po stu krokach skierował się na Via delle Vite, poczem z czapką w rękę przystanął przed domem, który szukałem. Nie mogłem go odprawić bez wynagrodzenia, aczkolwiek cały talar byłby zbyt księżącym darem za małą jego wysługę. Lecz zdobyłem wszakże Rzym! Uśmiechnąłem się więc do niego, widząc zdumienie jego wobec tak niespodziewanego zarobku i wstąpiłem do domu



bankiera. Przybyłem tuż przed zamknięciem banku i wziąłem w posiadanie skromną sumkę, która miała mi wystarczyć do końca pobytu w Rzymie. Miałem jednak małe wymogi i umiałem swój płaszcz żebraczy układać w najozdobniejsze fałdy. Więc wielce zadowolony schowałem banknoty do szkiecownika, ten zaś do kieszeni mego płaszcza i opuściłem lokal bankierski.

Uderzyło mnie, że znowu pod domem zastałem chłopaka. Przypisywałem to jego wdzięczności, postanowiłem jednak pozbyć się go, gdyż nie podobala mi się jego usługna, a zarazem lisia mina; powiedziałem mu więc, że go więcej nie potrzebuję, gdyż sam trafię do domu. Na to uniżenie się uklonił i zniknął.

Teraz należało znaleźć trattorię, gdyż w zajeździe, w którym znajdował się mój kuferek, nie mogłem się spodziewać kolacji. Kroczyłem więc wzdłuż korsa, oglądając się na prawo i lewo, lecz rzęście oświetlone lokale, do których przez okna zaglądałem, wydały mi się zbyt luksusowe. Powietrze było cudowne, niebo błękitniało nad obeliskami na Piazza del Popolo. Więc szedłem dalej i wreszcie znalazłem to, czego szukałem: w tej samej oberży, w której teraz siedzimy, dobre jedzenie i doskonale wino, o wiele ognistsze niż podejrzana lura, która napelnia dziś nasze szklanki.

Ogród był ożywiony, światła migotały z za krzewów i żywopłotu, piękne oczy rzymskie iskrzyły się. Młoda para, gospodarująca w oberży, biegała pracowicie tam i z powrotem i siliła się zadowolić swych gości; a ponad tem cudnem życiem unosiła się tak jak i teraz ciemna głowa Świętego Piotra, promieniując swą magiczną podniosłością.

Popadłem jak zwykle w nastrój marzycielski, w którym zgodnie się mieszały: pobożne nastroje mej młodości na plebanji i pogańska żądza życia mych późniejszych lat. Nie zauważyłem też, że ogród stawał się coraz cichszy, pustszy, ciemniejszy, aż wreszcie ostatni goście powstali i odeszli. Wówczas wezwałem gospodarza, zapłaciłem skromną kwotę za posiłek i wino, i opuściłem ogród, by przecież spędzić noc w mej oberży.

Gdy wyszedłem na ulicę, zauważyłem naprzeciwko pod szarym murem ciemny cień, znieruchomiały jak szylldwach. Gdy się skierowałem w prawo, w stronę bramy, poruszył się również i cień, szedł on krok w krok za mną. Gdy się zatrzymywałem i spojrzałem w tył, i on momentalnie przystawał. Lecz spotykałem kilku spóźnionych przechodni, a w ręku miałem laskę, którą już raz musiałem się obronić podczas samotnej wędrówki do Camaldoti.

Osiągnąłem wreszcie bramę i uczułem się zupełnie bezpiecznym. Pogoda się zmieniła, na niebie gwiazdy stały się niewidoczne, sirocco nadciągał. Przeszedłem przez pusty zupełnie plac i zatrzymałem się przy obelisku, by długo spoglądać ku Pincio, w którego drzewach począł szumieć wiatr. Miałem ochotę tam się udać, lecz przecież zdecydowałem się na powrót do oberży.

Nagle... właśnie dostałem się na korso... słyszę kroki za sobą, szybkie a ciche, tak jakby ktoś biegł w pończochach. I zanim zdołałem się obejrzeć, ktoś mnie napada z tyłu, otaczają mnie dwa ramiona, przygniatając mi piersi jakby żelazną obcęga, jedna ręka szarpie mój płaszcz, dopada kieszeni i wyrywa szkicownik — potem pchnięcie naprzód, że biegnę kilka kroków i — z bólem znikam z mych oczu w ciemnościach korsa. Za ledwo dwie sekundy trwał napad. Szybko otrząsłem się z przerażenia, z włoskiem zaklęciem na ustach podniosłem w górę laskę i pobiegłem za łotrem.

Moje pocziwe, długie odnóża nie sprawiły mi zawodu. Obok San Giovanni dopadłem opryszka. Moja laska przejechała mu się po plecach, że mu czapka z głowy spadła. Był to ów usłużny chłopak, który mnie zaprowadził do Via della Vite

i widocznie zmiarkował, jakiego to rodzaju interes skierowuje mnie do domu bankiera. Birbante! — zawołałem i potrząsałem nim z całej siły. Lecz on z kocią zwinnością, paraliżującą moje siły, chwycił mnie popod ramionami i otoczył mnie swoimi, pierś o pierś, chichocząc przytem ochryple. Mocowaliśmy się przez chwilę, zaś ja napróżno sililem się zrobić użytek z laski, jedynej broni, którą posiadałem. Krzyczałem, o ile tylko głosu dobyć mogłem z przyciskanej piersi: Pomocy! zbójcy! mordercy! — lecz znikąd echo, ulica jak wymarła. Wtedy wepchnął mnie na stopnie jakichś schodów. Potoczyliśmy się, silnie do siebie przywarci, przyczem ja znalazłem się na górze. Nic mi to nie pomogło. Po chwili uczułem silne pchnięcie w lewą łopatkę, unieruchamiające moje lewe ramię. Musiałem puścić lotra, który błyskawicznie się z podemnie wywinął i z głośnym śmiechem znikł za najbliższym zakrętem drogi.

Wtedy dopiero zauważyłem, że sytuacja przedstawia się wcale poważnie. Mogłem się jeszcze podnieść i domacać laski, która leżała obok na bruku. Gdy jednak dotknąłem się łopatki, uczułem coś twardego, tkwiącego w ciele i ciepłą wilgoć, rozchodzącą się po koszuli. Byłem zbyt słaby, by wyciągnąć nóż z rany, przytomność zaczynała

znikać. Jak we śnie powlóczyłem się kilkadziesiąt kroków, od czasu do czasu głucho wołając o pomoc. Wreszcie straciłem przytomność i przed jakimś domem runąłem.

\* \* \*

Wybacz, pan, że nudzę pana wszystkimi szczegółami tej tak bardzo zwykłej zbójckiej historii. Gdy bowiem o tem teraz myślę, uprzytomniam sobie wszystko, jakby się to wczoraj stało. Mam wrażenie, jakbym znowu wyczuwał fatalny zapach chłopca, woniejącego winem i serem — nosy mają jak wiadomo dobrą pamięć — i odnowa budzi się we mnie poczucie złości, lęku i wstrętu, które odczuwałem podczas walki. Zdaję sobie też sprawę, jak rozkosznie było popaść w omdlenie i że w tej chwili snuła mi się po głowie tylko jedna myśl: jaka szkoda, że moje pompejańskie badania nie ujrzą światła dnia...

Co się potem ze mną stało, dowiedziałem się o wiele później. Obudziłem się tylko na jedną chwilę, gdy żelazo wyciągano z mej łopatki i widziałem szereg obcych postaci wokół mnie i słyszałem głuche głosy, jak daleki poszum morza. Potem znowu noc zasnęła moją świadomość.

⁠Dziwne to było, gdy, pokrzepiwszy nieco swe siły głębokim snem, obudziłem się wczesnym rankiem. Leżałem na szerokim łóżku, którego firanki

były odchylone i odczuwałem nie tyle ból w zranionej łopacie, ile raczej nacisk na nogach, którego przyczyny odrazu odgadnąć nie mogłem. Gdy moje myśli nieco się uporządkowały, ujrzałem ku największemu zdumieniu obok mego łóżka siedzącą w krześle kobietę. Właściwie górna część jej ciała była pochylona nad łóżkiem, tak iż jej głowa spoczywała na moich nogach. Nie poruszała się i miała oczy zamknięte. Mogłem ją spokojnie obserwować; nawet w nędznym stanie, w jakim się znajdowałem, uświadomiłem sobie wielkie piękno tej głowy. Twarz o czystym rzymskim kroju, profil jak na kamei, nos niezakrzywiony, o greckiej czystości konturu. Czoła nie mogłem dojrzeć, gdyż pokrywały je rozpuszczone czarne włosy, widziałem szeroki, piękny policzek i wąskie usta, niezbyt czerwone, obecnie we śnie uśmiechające się figlarnie. Nie wolno mi też zapominać o uchu, którego zgrabnie uformowana muszla z pośród włosów wyglądała. Postać była osnuta szkarłatnym szlafrokiem, przepasanym czarnym, przetykanym złotem nićmi, sznurem. Nie wydawała się zbyt wielką, o ile spostrzec można było przy świetle lampki, stojącej na krześle obok łóżka. Powoli podnosiła się silna pierś, a nozdrza lekko drżały. Musiało być niedawno po świecie, przez dwa na poły przesło-

nięte okna. padał szary blask w wielką izbę; nie było słychać głosu ani w domu ani na ulicy.

Potrwało to czas pewien, zanim sobie uświadomiłem, że nie śnię. Staralem się nie wykonać ani jednego ruchu, by nie zbudzić śpiącej, której nie mogłem się dość napatrzeć. Nagle poczęły w pobliskim kościele gwałtownie dzwonić dzwony i w tej chwili postać u mych nóg otwarła oczy, spostrzegła mój utkwiony w siebie wzrok i podniosła się. Mój skolatany jeszcze mózg silił się, by znaleźć słowo, z którym należałoby się zwrócić do tej cudnej postaci. Lecz zanim je jeszcze znalazłem, położyła palec na usta, które mi się teraz wydały poważnemi i energicznemi, poczem przystąpiła do stolika, na którym ujrzałem wielką misę i różne flaszki i chustki.

Zanurzyła wielki okład w misę i podszedłszy ku mnie, zmieniła okład z lodem. Wiele dałbym, gdybym mógł dotknąć jej ręki i przycisnąć do ust. Lecz ruch, którym próbowałem to uczynić, wywołał taki ból, że opadłem z powrotem w poduszki i tylko zdołałem wyszeptać: grazie! — poczem znowu straciłem przytomność.

W ciągu dnia oprzytomniałem raz tylko podczas kwadransa, gdy zmieniono mi opatrunek. Widziałem małego człowieka o krótkich, siwych włosach i dwóch czarnych, mądrych oczach nad

wielkim nosem, który się koło mnie krzątał; obok stała piękna kobieta i trzymała lampę, tak iż mogłem dosyta przypatrywać się wspaniałej jej twarzy; jakaś skromnie ubrana starucha stała przy stole i podawała opatrunki; nie mówiono ani słowa, a gdy otworzyłem usta, by skierować pytanie do mego miłosiernego samarytanina, usłyszałem energiczny głos siwego człowieka: zitto! zitto!

Zmiana opatrunku tak mnie wyczerpała, że wkrótce znowu zamknąłem oczy, mimo że piękna twarz naprzeciw mnie jeszcze świeciła. Czułem, że wlano mi w usta coś pokrzepiającego; poczęła mnie przenikać chęć do życia, budziła się we mnie nadzieja; poprzedniej nocy śniło mi się wciąż, że jestem w zaświatach, a obok mnie znajduje się niebiańska opiekunka, która przedewszystkiem ma zmyć ze mnie wszystko, co przyziemne.

Tę noc przespałem bez przebudzenia się. Gdy gwar dnia mnie obudził, była w pokoju starucha, której twarz, nie wiem dlaczego, wydała mi się odrażającą. Leżałem niezbyt długo, gdy otwarły się drzwi i do pokoju wszedł nowy stwór ludzki.

Dziecko, mała, cztero- czy pięcioletnia dziewczynka, ubrana jak laleczka w brunatny aksamit, sukienka okolona wąskim paseczkiem futrzanym, kapelusik o ostrym kształcie, niemal frygijska



czapeczka na gęstych, czarnych włosach, opadających swobodnie na ramiona. Małe stworzenie to wskoczyło na piętach na środek pokoju, zatrzymało się i spoglądało z ciekawością na obcego człowieka, leżącego w jasny dzień w łóżku. Skinąłem głową i poruszyłem ręką, by ku mnie podeszła. Lecz dziecko widocznie bało się staruchy. Dopiero gdy ta wyszła, dziewczynka zdobyła się na odwagę i powoli zbliżyła się do łóżka; podniosła się na palcach i spoglądała w moją twarz, jakby na rzeźbę lub coś martwego. Zachowywałem się też zupełnie cicho i rozkoszowałem się lubą figurynką i uroczą małą twarzyczką. Była ona podobna do pięknej kobiety, tak jak minjatura do biustu marmurowego. Miała ostro wrysowane brwi, dumne usta, czoło głęboko ocienione włosami. Matka miała jednak ciemne oczy, a dziecko szafirowe.

— Jak się nazywasz? — zapytałem wreszcie cicho.

— Bicetta.

— A mama?

— Mammina.

— Czy mnie lubisz, Bicetto?

Skinęła główką.

— Widzisz, powiedziałem, jestem chory; chętnie bawiłbym się z tobą, a gdybyśmy się pięknie

bawili, musiałabyś mi dać na podziękowanie całuska.

Natychmiast wdrapało się dziecko na łóżko, ujęło mnie obiema rączynami za szyję i przycinęło swą małą, miękką buzię do mego policzka.

W tej chwili otwarły się drzwi i piękna pani weszła do pokoju. Widziałem, że szykowała się ofukać dziewczynkę, widząc mnie tak obłączonym. Lecz zaśmiała się tylko.

— Co za pomysł, Bicetto! Daj panu pokój! Chodź, wychodzimy.

— O signora, powiedziałem, proszę, niech dziecko zostanie, è tanto carina, a ja... jak pani widzi... jestem już prawie uleczony. Proszę mi tylko powiedzieć...

Przystąpiła wspaniałym, królewskim chodem, jaki się widzi u tragicznych bohaterek na scenie, do mego łóżka i zabrała dziecko.

— Cicho, powiedziała poważnym tonem. Panu nie wolno mówić, lekarz najsurowiej zakazał. Ten mały dzikus pana zameczy. Wychodzę na godzinę. Matka tymczasem będzie czuwała, by pan żadnych głupstw nie robił. Bądź pan rozsądny i wykonuj pan wszystko, co lekarz przepisał. W przeciwnym bowiem razie...

Uczyliła groźny gest, a po chwili uśmiechnęła się po przyjacielsku i skinęła na pożegnanie ręką,

tkwiącą w wytwornej rękawiczce. Nosiła ciemną jedwabną suknię, uwydatniającą dobrze jej pełną postać, na sukni aksamitny płaszczyk z futrzanym obszyciem, kapelusz z czarnem piórem. O ile się na tem rozumiałem, toaleta jej była wyszukanej elegancji. Obecnie nazwanoby to „chick“. Ujęła dziecko za rękę i znikła w bocznych drzwiach.

\* \* \*

Przez pewien czas byłem sam i poraz pierwszy rozejrzałem się w czterech ścianach pokoju. Widocznie pani domu odstąpiła mi własną sypialnię; i łóżko było osłonięte czerwonymi, jedwabnymi firankami, a poduszki przyozdobione koronkami. Wielki świecznik brązowy zwisał z sufitu, a po grubych, na poły wypalonych świecach woskowych poznać było można, że tkwią tu nietylko dla ozdoby. Nad kominkiem lustro w szerokich, złoconym ramach, sięgające tuż pod sufit, na czarnym marmurowym gzymsie wielki zegar, którego podstawa wyobrażała Wenerę, unoszoną w emaljowanej muszli przez trzech Trytonów; obok wieloramienne złocone kandelabry, najpiękniejszej paryskiej roboty. Stolik rokoko w środku pokoju, obecnie pokryty misą z lodem i przyborami leczniczymi, stał zapewne zwykle przed czerwoną, aksamitną otomaną, gdyż gięte

i złożone jego nogi zgadzały się zupełnie z rzeźbą otomany. Pozatem żadnych mebli nie było widać, ani kwiatów, ani obrazów, z wyjątkiem jednego portretu nad sofą, wyobrażającego kardynała o mądrej, regularnej twarzy, jedną z tych postaci kapłańskich cinquecenta, do których przystawał raczej pancerz i hełm, niż czerwony kapelusz i ornat. Musiałem wciąż spoglądać w niemal groźnie we mnie utkwione oczy obrazu, które mi przypominały oczy mej miłosiernej nieznałomej. Zdawało mi się, że również i w ustach znajduję podobieństwo, oczywista tylko w tych momentach, gdy piękna pani rozkazująco ściągała usta. Byłem jednak zbyt jeszcze osłabiony, by się nad tem zastanawiać.

Jedno tylko mnie uderzyło: czyż możliwe, by wstrętna starucha, która mnie obsługiwała podczas jej nieobecności, była matką tej wspaniałej kobiety?

Właśnie weszła, by dołożyć lodu do okładu; mogłem twarz jej oglądać po raz pierwszy zbliżona i stwierdzić, że ma ona również piętno rzymskiego pochodzenia. Wydała mi się w swej suchości i zwietrzałości tak okropnie wiedźmową, iż wkrótce zamknąłem oczy i w milczeniu, bez słowa podzięki, zezwalałem, by twarde, brunatne ręce zajmowały się pielęgnowaniem mnie.

Podawała mi filiżankę rosółu, również nie mówiąc ani słowa, miała jednak tak wrogą minę, jakby mnie chciała uraczyć puharem trucizny. Lecz po-krzepiwszy się rosółem, zasnąłem spokojnie i obudzilem się, gdy wieczorem mały lekarz dotknął się mej rany. Człowiek ten o świdrujących oczach i sarkastycznym rysie dokoła ust napawał mnie zaufaniem. Był on bardzo szybki i pewny w swych manipulacjach i mimo pewnej szorstkości tak delikatny wobec chorego, jak mamka wobec niemowlęcia.

— Bravo! — mruknął. Znajduję, że pan się przecież wyłabuda z biedy. Wczoraj lękałem się jeszcze, czy też płuca nie są zranione. Ale na szczęście nie! A teraz spokój — posłuszeństwo — żadnych irytacyj — żadnych głupstw — a za trzy tygodnie...

Trzy tygodnie!... Spojrzałem na mą piękną pielęgniarkę, która znowu w swym czerwonym szlafroku, z włosami związanymi w potężny pukiel, stanęła spokojnie obok lekarza.

— Ależ to wieczność! Proszę mnie kazać odstawić do szpitala, jeśli nie jest wskazane umieścić mnie w hotelu... trzy tygodnie... jakżebym mógł jeszcze tak długo tej szlachetnej damie...

Mały doktor spojrzał na piękną panią i powiedział:

— Zostanie pan tu. W szpitalu poszedłby pan na marne, wiem, jak się tam obchodzą z mięsem ludzkim. Co się tyczy signory, to wie ona, co czyni. Jeżeli pana z ulicy zabrała, to nie zechce przecież rzucić pana znowu na ulicę. Basta! Szczęść płuc! Dobranoc!

Zesunął czapkę na czoło, zarzucił płaszcz na ramiona i wybiegł.

Poświeciła mu na schody, a kiedy wróciła, postawiła lampę na stole i przystąpiła do mego łóżka.

— Wybij sobie pan z głowy wszelkie kaprysy, powiedziała swym głębokim, a przecież miękkim głosem. Bóg sam pana złożył pod drzwiami domu, a ja zaiste byłabym pozbawiona pobożności i respektu dla woli bożej, gdybym panu pozwoliła odejść, zanim pan będzie zupełnie uleczony. Przedwczoraj w nocy leżałam tam, gdzie pan teraz spoczywa, nie mogłam spać, słyszałam, jak wszystkie zegary wydzwaniały godziny i jak w sercu mem pukała krew, jak gdybym miała pod pierś wahadło. Nie wiem, co mi było; znienawidziłam nagle życie, nudziłam się i myślałam: jeśli to tak dalej pójdzie latami całymi... wreszcie zostaniesz siwą i starą jak matka... uh! raczej odrazu do klasztoru, gdzie nudy są policzone jako dobry uczynek! Wreszcie... gdy mi było coraz

duszniej, gdy zauważyłam, że na dworze poczyna wiać sirokkko, wyskoczyłam z łóżka i chciałam otworzyć okno, by wpuścić nieco świeżego powietrza. Wtem słyszę na dole wołania o pomoc i jęki i niesamowite szmery; otwieram szybko okno, wychylam się jak tylko mogę i widzę na stopniach pod progiem ciemną masę; kilkakroć wołam, kto leży — nie otrzymuję odpowiedzi. Pomyślałam tedy: zapewne masz wyświadczyć przysługę ludzkiej istocie i dlatego nie mogłaś spać, a życie było ci uprzykrzone. Wpadłam do pokoju, w którym śpi matka. Musiała ze mną zejść na dół; obudziłyśmy krawca Girolamo, który jest zarazem dozorcą domu — i gdyśmy otworzyli drzwi, a pańskie ciało, oparte o drzwi, zwaliło się w dom — Matko Boża! jak się przestraszyłam, widząc pana w wielkiej kałuży krwi! Poznałam odrazu, że pan jest obcokrajowcem, nie znalazłam jednak ani wizytówki ani paszportu, by odstawić pana do własnego mieszkania. Girolamo radził, by odnieść pana do San Giovanni, do szpitala. Ale nie dobrze się o tym szpitalu wyrażają, a zresztą... żal mi było pana, jakbyś był bratem lub starym znajomym. Powiedziałam: Faj, Girolamo, do San Giovanni, gdzie dopiero przed tygodniem zmarł Don Giuseppe na febrę?! Raczej pozostawiłabym go tu we krwi, powiedziałam

i rozkazałam pana przenieść do naszego mieszkania. A policja? — zapytał Girolamo. A jeśli jutro odnajdą ślady krwi i zapytają, co nas obchodzi Anglik, żeśmy go ukryli w domu? A czyż nie może to być zły człowiek, którego zupełnie słusznie tu napadli i się z nim rozprawili? — Tymczasem podniosłam głowę pana z kamieni. Patrzcie, powiedziałam, czy tak wygląda złoczyńca? — a miał pan wtedy tak niewinny wyraz twarzy, jak dziecię u piersi matki. Wstydzicie się, Girolamo! Zróbcie, jak każe. Gdyby plotkowano, pošlijcie plotkarzy do mnie, a policja — tej się boję tyła...

Matka pociągnęła mnie za rękaw. Jesteś szalona, Gemmo, powiedziała. Czy chcesz się nabawić kłopotu z umierającym jakimś człowiekiem? A gdzie go złożymy? Nie mamy zbytecznego łóżka. — O, powiedziałam, oddam chętnie własne łóżko, nie mogłam spać i głos z nieba obudził mnie w pośród nocy. A jeśli wy macie kamienne serca, nie potrzebuję was wcale; jestem dość silna i sama go zaniosę. Po tych słowach ujęłam pana pod ramiona, a że byłam oburzona ich małodusznością, miałam więcej siły niż zwykle. Lecz oboje przyskoczyli i we trójkę podnieśliśmy pana i powoli wynieśliśmy na schody, bo do prawdy nie jest pan lekki jak piórko... (przyczem głośno się zaśmiała, a ja zawtórowałam również



śmiechem). Był pan nieprzytomny i jęczał wciąż, gdyż przekłęty nóż tkwił jeszcze w łopatce. Potem Girolamo pobiegł szybko do doktora Susiny i otrzymał pan opatrunek, potem przyniosła matka lód z San Giovanni, a krawiec jeszcze w nocy wyszorował schody i bruk gorącą wodą i posypał piaskiem plamy krwi, które nie chciały zniknąć. Tak sobie pana zdobyłam, i zanim pan jak ptak nie potrafi zlecieć ze schodów, po których przywlekliśmy pana jakby kamiennego bożka, nie wydam pana. A teraz proszę spać, zbyt długo gawędziliśmy.

Skinęła mi uprzejmie głowę i chciała odejść. Chwyciłem ją jednak za rękaw i trzymałem mocno.

— Pani Gemmo, powiedziałem, jest pani aniołem. Gdybym krew, którą owej nocy straciłem, był przelał dla pani, nie żałowałbym tego. Obiecuję we wszystkim być posłuszny i tak długo być ciężarem, aż mi pani sama wskaże drzwi. Ale, błagam, proszę o jakiś kącik, gdzie mniej mógłbym przeszkadzać niż tu. Gdy bowiem pomyszę, że to łóżko... a gdzież pani układa się do snu?

— To moja rzecz! — powiedziała i lekko uśmiechnęła się. Na razie nie potrzebuję łóżka. Utrzymujemy na przemian straż w nocy, matka

i ja. Czy wyglądam tak, jakbym opiekując się panem, zmizerniała?

Stała przedemną, promieniując pięknem i młodością. Chwyciłem jej rękę i drżąc, przycisnąłem do niej moje wargi. Lekko uderzyła mnie po policzku i wcisnęła z powrotem w poduszkę.

Zostałem sam.

\* \* \*

Wszystko to wyczerpało mnie; sen jednak nie przychodził. Po raz pierwszy zastanawiałem się nad moją sytuacją. Zrabowane pieniądze były całym moim majątkiem, nie mogłem spodziewać się w najbliższych miesiącach żadnych innych funduszy; mój ojciec musiał pracować dla sześciu córek; było bardzo wątpliwe, czy ministerstwo zbyt się wzruszy zbójceją historją. Oczywiście dopóki korzystałem z gościnności tej wspaniałej damy, nie potrzebowałem się o nic troszczyć. Ciężyło jednak na mnie, że mam przyjmować wszystkie te dobrodziejstwa jakby żebrak uliczny. Robiła wrażenie bardzo bogatej; widziałem na jej palcach pierścienie, którychby się nie powstydziała żadna księżna. Służby atoli nie było widać. Tylko rankami przychodziła obca osoba, jak się potem dowiedziałem, żona krawca, która czyściła

mieszkanie, zaś mąż jej wychodził codzień na targ, by zaopatrywać kuchnię w żywność. Ale z czego żyli? Czy był tu mąż, czy też opuścił ten padół i tę piękną kobietę? W tym wypadku nie mogłem przecież bezinteresownie przyjmować wszystkie ofiary i koszta, jakiełożono, i bez wyrazu podzięki opuścić dom. Lecz brakło mi pieniędzy, by nawet dla Bicetty kupić lalkę. Odczuwałem formalnie mękę, gdy wyczuwałem jedwab kołdry, pod którą spoczywałem.

Miałem wprawdzie w Rzymie przyjaciela, lecz był to taki sam biedak jak ja. Kolega szkolny i syn sąsiada, przedwcześnie dojrzały chłopak o genjalistycznych porywach, o którym już od dwóch lat nic nie słyszałem; wiedziałem tylko, że dostał się do Rzymu w sposób jakiś niezwykły. Jak się tu przez dwa lata zdołał utrzymać? O obrazach, któreby malował i sprzedawał, nigdy nie słyszałem; doniosłem mu z Pompei o swem przybyciu i otrzymałem odeń kartkę, na której było wypisane jedno, a serdeczne słowo: „Witam!“

Pojmie pan, iż nie byłem tak optymistyczny, by to źdźbło uważać za belkę. Był to zresztą jedyny stały punkt w mych rozważaniach, gdyż pozatem wszystko rozplywało się w mgłę.

Toteż troski te pogorszyły mój stan zdrowia. Następnego dnia opadła mnie znów gorączka;

byłem zupełnie nieprzytomny. Rzadko tylko w mgle mych fantastycznych przywidzeń gorzały piękne, czarne oczy, które się nademną pochylały, gdy mi odświeżano pościel lub podawano nieco posiłku. Nie cierpiałem wówczas zbyt; przeciwnie, zdawało mi się, że nigdy w życiu nie było mi lepiej niż wtedy, gdy odczuwałem rękę mej pielęgniarki na czole, kiedy zgarniała poplątane włosy, lub gdy obejmowała mnie za szyję, by mnie podnieść i podać mi łyżkę lekarstwa.

Rana goiła się bardzo dobrze. Moja zdrowa krew miała silne pierwiastki żywotne. Siódmego dnia byłem znów zupełnie przytomny, a mały lekarz, zdejmując bandaż, zawołał: Bravo, figlio mio! ma bravo davvero! Nie zapomnę nigdy uszczęśliwionej miny pani Gemmy, gdy usłyszała tę wiadomość — miała wyraz takiej dumy, jakby chwalono jej własne dzieło, a przytem malowało się na jej twarzy takie wzruszenie, iż chciałoby się rzucić jej na szyję lub paść do kolan. Wciąż jednak nakazywano mi największą ostrożność. Następnego dnia pozwolono mi spędzić jedną godzinę poza łóżkiem; moja pielęgniarka zaprowadziła mnie jakby w triumfie ku otomanie, zaś mała Bicetta ujęła moją rękę i swym słodkim głosem zadawała mi mnóstwo dziecinnych pytań.

Siedziałem więc pod obrazem czerwonego kardynała i rozglądałem się po pokoju, jakbym go po raz pierwszy widział. Owładnęło mną takie osłabienie, iż począłem płakać. Zebrałem się z powrotem w sobie, gdy uczułem ramionka dziecka, które, wydrapawszy się na otomanę, mocno się do mnie przytulilo. Przycisnąłem dziecko do piersi i całowałem je. Nie śmiałem spojrzeć w stronę matki, stojącej tuż obok. Lękałem się własnej słabości. Ona jednak uśmiechnęła się, skrzyczała dziecko i zabrała je z sobą, by jej towarzyszyło w codziennej przechadzce. Panu należy się spokój..., powiedziała.

Spokoju zaprawdę nie zaznałem. Ledwo byłem sam, podszedłem ku oknu, by patrzeć na piękną parę, która wyszedłszy z domu przeszła na stronę słoneczną i tam się zatrzymała na chwilę, by spojrzeć ku mojemu oknu. Zdaje się, że przeczuła, iż nie pozostaną na otomanie. Skarciła mnie też wzrokiem, zaś dziecko rzuciło rączką całusa. Potem poszli korsem, w stronę Piazza Colonna.

Widziałem, że przechodnie zatrzymywali się i oglądali za nimi. Kilku młodych, stałych bywalców korsa ukloniło się; Gemma odpowiadała lekkim poruszeniem głowy. Z okien wychylały się nieczesane głowy kobiece i ręce, uzbrojone w lornetki, zapewne by przyglądać się

jej toalecie. Obserwowałem to nie bez pewnej satysfakcji, jak gdyby podziwiano coś należącego do mnie. Wkrótce jednak straciłem z oczu Gemmę z dzieckiem. Opuściłem okno w nagłym poczuciu zawstydzenia i zakłopotania. Jesliby mnie z dołu lub z naprzeciwka dojrzano...! Skądże ja tu się wziąłem, w mieszkaniu tej królewskiej kobiety? Co o tem pomyślą ci, którzy na ulicy łakną choćby przelotnego spojrzenia jej? Wdową była w każdym razie. Tem bardziej nie wolno mi było jej kompromitować.

Kolana się podemną uginały, gdy wlokłem się z powrotem ku otomanie; nie mogłem się jednak oprzeć pokusie zajrzenia do następnego pokoju. Miał on wygląd jadalni, w której od miesięcy nie nakrywano do stołu. Żywe, złożone tapety, niebieskie firanki, mały kredens z pozostawionemi w nieładzie naczyniami, ściany bez obrazów, na kominku wielki, pokryty kurzem bukiet sztucznych kwiatów w połamanej, niezgrabnej, posklejanej wazie alabastrowej. Obok stała opleciona słomianką flaszką wina, a na talerzu resztki śniadania — typowy nieład włoskiego gospodarstwa. Po prawej stronie były drzwi. Ośmieliłem się otworzyć je i ujrzałem wielką, pozabawioną okna izbę, otrzymującą nikle światło z oszklonych drzwi, prowadzących do korytarza.

Było tu tak pusto, a zarazem tak zaniedbanie, jak za kulisami małej sceny, wyobrażającej księżę salon. Musiałem się dopiero przyzwyczaić do panującego tu półmroku, by rozróżnić pod ścianą wielkie, niezaścielone łóżko, w pośrodku izły okrągły stół bez obrusa, dokoła którego stało kilka starych, słomą plecionych krzeseł. Kilka szaf, nędzna umywalnia, w kącie mały obrazek święty, nad którym płonęła czerwona lampka — oto wszystko.

Posmutniałem nagle, nie zdając sobie sprawy dlaczego. Widziałem wiele włoskich domów i wiedziałem, że nieraz najwspanialsze kobiety, które w pięknych powozach ukazują najnowsze paryskie toalety, w domu zadowolają się otoczeniem mniej niż skromnem. Co kraj, to obyczaj. Na południu żyje się na ulicy i dla ulicy. Dlaczegoż więc miałem za złe swej wielkodusznej zbawicielce i miłościwej siostrze, że nie miała talentów prawej gospodyni?

Od matki, która wciąż przejawiała kompletne zaniedbanie stroju, nie mogła zaprawdę odziedziczyć zmysłu porządku domowego. Widziałem przez oszklone okno, jak starucha krzątała się przy kuchni. Wszystko, co z tego pieca pochodziło, stawało się podejrzanem. Czarny kocur włożył się za staruchą, a w mej, trawionej jeszcze

gorączką wyobraźni rodziły się przeróżne myśli... Wróciłem do mej izby, wyciągnąłem się na otomane i począłem snuć pasmo marzeń.

Po pewnym czasie wróciła moja pielęgniarzka; jedno jej spojrzenie, jedno słowo z jej ust wystarczyło, by unicestwić niesmak, odczuty podczas poprzednich oględzin mieszkania. Działał tu nie tylko cud jej piękności, jak pan zapewne sądzi; więcej jeszcze działał urok niemal dziecięcej niewinności, dobroci i miosierności, którą objawiała nie tylko wobec mnie. Przez cały dzień niemal była w ruchu kołatka u drzwi i słychać było skomlące, sztucznie tremulujące głosy żebraków, które po pewnym czasie nie robią wrażenia nawet na ludzi o miękkim sercu. Starucha, gdy tylko mogła, odpędzała natrętów cierpkimi słowami i wyklinaniami. Córce jednak nie wolno było tego słyszeć, gdyż wówczas dawała podwójne dary. Tylko na ulicy, ilekroć z okna za nią patrzyłem, nie zatrzymywała się przy żebrakach. I to mi się też u niej podobało.

Czyż było coś, coby mi się nie podobało? Nawet jej oczywiste błędy. Chyba tylko to, że czasem dziecko za najmniejsze wykroczenie z całą gwałtownością lajała, a nawet i biła, by jednak po chwili je wycalować i obdarować wszystkim, czego tylko mała zażądała. Klęczała wówczas



godzinami z małą istotką na podłodze kamiennej, zwykle przed piecem w drugim pokoju, gdzie był kącik dla lalek i miała tyle inwencji w urządzaniu zabaw dla dziecka, że nie przestawało ono chichotać i śmiać się. Nagle powstawała; twarz jej stawała się poważną, jak gdyby przenikały ją poważne zamiary; kilka razy przemierzała pokój wzdłuż i w szerz i stawała wreszcie przed lustrem, by przymierzyć nową mantylkę lub jakąś ozdóbkę do włosów, przyczem wcale ją to nie obchodziło, że stałem u progu i pożerałem ją wzrokiem.

Wkrótce nabrałem przekonania, że niema najmniejszego pojęcia o tem, co zwiemy wykształceniem. Od biedy umiała czytać i pisać, jednak nigdy nie widziałem, by czytała lub pisała. Ani jednej książki nie było w mieszkaniu; na stole stały wprawdzie przybory do pisania z perłowej masy, bogato złożone, ale kałamarz był czysty, nigdy w nim widocznie nie była kropla atramentu. A jednak, mimo iż żadnych robót nie wykonywała, zaś starucha troszczyła się o suknie i bieliznę zarówno jej jak i Bicetty, nigdy nie odczuwała nudów. Gdyż ów nocny napad bezprzedmiotowego zniechęcenia, o którym mi opowiadała i który zwała „noja“ — pochodził raczej z serca niż z głowy. Odkąd nie potrzebowalem więcej

stałej opieki, spędzała dni jak przed tą nocą, w której do jej domu się dostałem. Godzinami całemi, zwłaszcza w popołudnia, gdy ulicą przeciągały długie szeregi powozów, siedziała koło okna lub wychylała się zeń, owinąwszy czarne włosy w chusteczkę i przyjmowała hołdy przechodni, nie zdradzając żadnym ruchem ni miną, czy jej na tem cokolwiek zależy, by „senatus populusque romanus“ uważał ją za najpiękniejszą kobietę w obrębie siedmiu wzgórz. Gdy ściemniało, zapalała trójramienną lampę, stojącą na stole przed otomaną, a ponadto woskowe świece w kandelabrze na kominku i krążyła po obu pokojach tam i z powrotem, czasem rzucając ponure spojrzenie w lustro, jakby poprzez własny obraz coś dostrzegała lub szukała. O szóstej siadała do obiadu. Widocznie tylko dla mnie zdecydowała się jeść w salonie, a nie w ciemnej izbie. Sama jadła niewiele, nie piła nigdy wina, żywiła się głównie jarzynami i pomarańczami. Dziecko przekarmiano pieczywem; starucha w pokoju nie tknęła się nigdy pokarmu; sądząc po wrogich spojrzeniach, jakimi mnie obrzucała, możnaby myśleć, że moja obecność pozbawia ją chęci jedzenia; ja zaś nie miałem pewności, czy też do talerzyka, na którym podawano mi potrawy, nie wsączono kilka kropel trucizny.

Gdy kończyliśmy obiad, umieszczałem się w mym kąciku na otomanie, a Bicetta oblegała mnie i zmuszała, bym prawą ręką — lewa była przymocowana do ciała — rysował jej przeróżne rzeczy. Pani Gemma uważnie przypatrywała się. Staralem się dać im pojęcie, jak wygląda moja ojczyzna i jak się tam żyje. Musiałem im wyrysować mój dom rodzicielski, którego ostrokan-ciasty dach wydawał im się wielce osobliwy. Potem mówiłem im o ojcu, matce i szczęściu moich siostrach i ich imionach, które z trudnością umiały wypowiadać, jak też zresztą i moje imię Eryk zmieniły w Arrigo. Dziecko było niewyczerpane w stawianiu pytań, które często były przemyślne i pomyslowe. W małej główce tliła się widocznie iskierka, którą trzebaby nieco rozdmuchać, by kiedyś rozrosła się w piękny płomień. Lecz dziwna umysłowa prymitywność jej matki w tym kierunku wcale się nie wysilała. Była ona jak cząstka przyrody, w swem ograniczeniu przepyszna i pełna uroku. Gdyż... zapewne pan wyśmiejże przesadę zakochanego, lecz to było tak doprawdy: i ja nie uczuwałem, będąc z nią godzinami sam, ani chwili nudów, mimo iż już po krótkim czasie przestałem wysilać się na utrzymywanie czegoś w rodzaju konwersacji. Miałem wrażenie, jak gdybym w zatoce Neapolu siedział naprzeciw morza, lub w jednym

z rzymskich pałaców, gdzie poprzez cyprysy i krzewy figowe wzrok sunie w niezmierną dal i można tak przeżyć godziny i dni, bez innych pragnień, w pełni szczęśliwości.

Oczywista: bez innych pragnień — to nie jest odpowiednie słowo, gdy chodzi o uczucia me wobec tej pięknej kobiety. Byłem, niemal od pierwszej chwili, beznadziejnie w niej zatracony, władała mną z każdym dniem coraz silniej, tak iż nie mogłem sobie wyobrazić, jakbym się bez niej mógł obejść; na myśl o tem zimny pot występował mi na czoło, a serce poczynało thuc, jakby chciało się wyrwać z wnętrza piersi.

Szaloną tę namiętność wzmagało jeszcze jej zrównoważenie i spokój. Z jej postępowania nie można było wcale poznać, czy robiłaby różnicę między zranionym młodzieńcem a chorą kurą, którą przypadkowo wzięłaby w opiekę. Nigdy ruch kokieteryjny, nigdy wzrok wyzywający. Troszczyła się o mnie niemal z macierzyńską, sumiennością, jakbym był drogocennem naczyniem, które po upadku z trudem skitowano, a teraz trzeba obchodzić się z niem z podwójną ostrożnością. Gdy mi rozkrawywała potrawę na talerzu, mieszała chłodzący napój, przepisany przez lekarza, lub rano dowiadywała się, czy spokojnie przespałem noc — zawsze była tak miła i dobra, ale też i tak

zrównowazenie chłodna, iż brała mnie chętką w podziękę złożyć me serce pod jej stopy, a równocześnie wyskoczyć ze skóry z rozpaczy i męki.

Nie miałem jeszcze wówczas poważniejszych doświadczeń z kobietami. Pięknym chłopcem nigdy nie byłem, moja koścista twarz i moje rzadkie, jasne włosy, a przytem niezbyt wytworne manjery nie mogły się stać niebezpieczne dla kobiety, która zapewne dowoli wybierała między „jeunesse dorée“. Zaś w podziękę za jej niezwykłą dobroć rozpocząć z nią głupi romans, grać rolę usychającego z żaru miłosnego pasterza — na to byłem zbyt dumny i mimo zakochania zbyt rozsądny. To też przysiągłem sobie, że nie przekroczę granicy wdzięcznej przyjaźni. Ba, starałem się nawet być nieuprzejmy i kapryśny, byle tylko nie popaść w śmieszne podejrzenie, że chcę ją uprzejmością pozyskać.

Lecz ani mój dobry ani zły humor nie zdołały zmienić jej zachowania się. O ile wobec swego dziecka była gwałtowna i niepohamowana, o tyle z anielską cierpliwością znosiła wszystko, czem ją niekiedy chciałem wystawić na próbę; oczywiście to mnie tem bardziej jakąś magiczną siłą do niej przyciągało.

\* \* \*

W takim oczarowaniu przeżyłem trzy tygodnie. „Lucida intervalla“, w których poznałem całe swe nieszczęście, stawały się coraz dłuższe, im bardziej zbliżał się czas, kiedy miałem wrócić do rzeczywistego życia. Gdy mi poraz pierwszy wolno było na godzinkę uwolnić lewe ramię z przepaski, byłem pełen rozpaczy, podczas gdy ona, z najrozkoszniejszym wyrazem radości na twarzy, składała mi gratulacje. Pocóż mi dwa zdrowe ramiona, jeśli im nigdy nie wolno będzie objąć tej, która była ziszczeniem mych snów o szczęściu?

Dzień ten — a było to pod koniec trzeciego tygodnia — przysporzył jeszcze moc innych zmartwień.

Właśnie spożyliśmy nasz skromny obiad; siedziałem na otomanie, dziecko spało obok mnie, złożywszy główkę na mojem kolanie. Pani Gemma stała w oknie i spoglądała ku chmurom. Był to duszny dzień kwietniowy. W tem wchodzi starucha z listem i podaje go szybko córce. Czeka na odpowiedź... Nie zdradzając chłopak ciekawości, której to kobiecej właściwości wogóle nie posiadała, otworzyła kopertę i rzuciła okiem na trzy gęsto piśmem wypełnione stronicy. Znowu ten natrętny człowiek! — powiedziała. Podala mi list i rzekła: Spojrz pan, jacy głupcy są na świecie!

Począłem czytać i stwierdziłem zaraz po kilku wierszach, że list napisał człowiek, który — jak się tu mawia — leżał ze mną w tym samym szpitalu. Było to namiętne wyznanie miłosne, skargi na nieprzystępność, oziębłość, zlekceważenie najwierniejszych zabiegów. Wznawiał swe prośby, które jej już wielokroć powtarzał; siebie samego i wszystko, co posiadał, kładł do jej stóp, zapraszał by, wobec zbliżającej się ciepłej pory roku, zamieszkała w willi, którą dokładnie opisywał, i by się tam czuła panią całej posiadłości. Będzie ją tylko wtedy odwiedzał, gdy mu wyraźnie na to pozwoli. Jedno słowo zgody uszczęśliwi go... Wszystko to było napisane przesadnym, teatralnym stylem, poprzez który jednak przeziierało prawdziwe uczucie.

List był podpisany nazwiskiem jednego ze znanych rzymskich rodów, którego bogactwo jest przysłowiowe.

Popatrzyłem na Gemmę, kładąc list na stół. W jej twarzy nie można było dojrzeć żadnej zmiany.

— Daj mi kawałek papieru! — rzekła do staruchy. Wciąż mrużąc i coś do siebie samej mówiąc, przyniosła jej małe, eleganckie pudełko z papierem listowym, które robiło wrażenie, że wcale dotychczas nie było używane. Gemma spo-

kojnie wzięła kartkę papieru, potem leżący na stole ołówek, napisała, stojąc, dwa słowa i podała mi kartkę.

Było na niej: No! mai! — a pod tem wielkie G.

Uśmiechnęła się, gdy w milczeniu zwracałem jej kartkę. Nieprawdaż, umiem pisać piękne listy! — powiedziała. Potem włożyła list do koperty, napisała wielkimi, nieco nieprawnymi literami pełny adres hrabiego i wyszła, by wręczyć pismo posłańcowi.

Starucha poszła za nią. Wkrótce potem usłyszałem jej ochryply głos; potokiem wyzwisk dawała ujście swej wściekłości, którą hamować z trudem musiała w mej obecności. Nie wiele z tego rozumiałem; kobiety były w trzecim pokoju, słyszałem jednak, że stara wciąż sama gada. Córka tylko rzadko odzywała się.

Nareszcie wzburzenie staruchy zdawało się uspakajać. Przebrzmiały ostatnie przenikliwe, dyszące, chrapliwe dźwięki. Pani Gemma wróciła w swej zwykłej spokojnej postawie, tylko jej policzki płonęły.

— Miała pani zmartwienie? — ośmieliłem się zapytać. Krótki list pani nie podobał się matce?

— Biedna stara! — powiedziała na poły liściowicie, na poły lekceważąco. Różnymi się poglądami.



Dziecko obudziło się i pobiegło do matki, która je wzięła w ramiona i mocno uściśnęła. Potem nagle opuściła je z powrotem na podłogę, przystąpiła do okna i otworzyła je.

— Jak gorąco! — rzekła, odgarniając włosy z czoła. Będzie burza.

— Proszę wziąć wachlarz tam... — powiedziałem.

— Jaki wachlarz?

Zaraz pierwszego dnia spostrzegłem na gzym-sie kominka wąską, ozdobną szkatułkę, spoczywającą między oboma świecznikami; zdawało mi się, że szkatulka kryje wachlarz. Wstałem, by go jej podać. Gdy się ku niej zwróciłem, usłyszałem nagle głośny śmiech. Wszystkie ślady irytacji zniknęły; była wielkiem dzieckiem, któremu każdy żart sprawia olbrzymią radość.

— Tak, tak! — zawołała — ten wachlarz chłodzi, ale w zbyt wielkim stopniu. Otwórz pan pudelko, signor Arrigo, a przyzna mi pan rację.

Zdumiony otworzyłem i zamiast wachlarza ujrzałem wąski nóż, długości dłoni z krótką, grubą rączką; ostrze było nie szersze niż mały palec, a jaśniało na niem kilka rdzawych plam.

— Czy pan nie poznaje tego noża? — zawołała, wciąż się śmiejąc, iż wszystkie jej zęby bły-

skąły w świeżych, czerwonych ustach. Zdaje mi się, że pan dobrze się zaznajomił z tym wachlarzem; wiesz, przecież, jaką jest niebezpieczną zabawką. Połóż pan ten nóż z powrotem do pudełka; zimno mi się robi, gdy sobie przypominam, jak biedna krew pańska jakby mała fontanna trysnęła, gdy doktor Suzina nóż ten wyciągnął z łopatki pana. Przechowuję ten nóż, bo tam na kominku najmniej może komu szkodzić. Proszę, niech mi go pan usunie z oczu.

— Gemmo! — wyjąkałem — jestem mu wdzięczny, gdyż bez jego pośrednictwa nigdy nie byłbym pani poznał. Zaprawdę, nóż ten powinien być lepiej spełnić swą powinność. O jeden cal głębiej, a byłbym pozbył się mąk, które mnie teraz...

Nie mogłem na szczęście dokończyć, zaś byłbym zapewne powiedział wiele głupstw. Lekarz wszedł, zbadał puls, wznowił lekki bandaż, który wciąż jeszcze musiałem nosić, i oświadczył, że jeśli noc minie spokojnie, będzie mi jutro wolno odbyć pierwszą przejażdżkę. Nie mogłem tego na sobie przemóc, by mu okazać rozradowaną minę, czego się zapewne spodziewał. Również i Gemma była zamyślona. Gdy lekarz się oddalił, wzięła kapelusik na głowę, ubrała Bicettę i wyszła do San Carlo, gdzie miało się odbyć jakieś nabożeństwo uroczyste.

Szła prawie codziennie do jednego z kościołów, zawsze w towarzystwie dziecka. Lecz jej pobożność nie była bigoterją; było to napoly przyzwyczajenie, napoly dziecięce uczucie upodobania w świecie ponadzmysłowym, niewytłumaczalnym. Jeszcze chętniej, przyznała mi się, szła do teatru. Już od szeregu tygodni nie była w teatrze. Z kimże miałabym pójść? — powiedziała. Nie śmiałem zapytać, z kim przedtem chodziła. Mąż jej umarł pewnie już dawno, gdyż nie nosiła więcej żałoby. Chętnie byłbym wybadał doktora, lecz nigdy nie pozostałem z nim sam na sam.

\* \* \*

Tu przerwał i siedział przez chwilę bez ruchu naprzeciw mnie z głową, pochyloną na piersi. W międzyczasie pociemniało, tak że mimo bliskości nie mogłem dokładnie rozróżnić rysów jego twarzy. Gospodarz przystąpił do naszego stołu i zapytał, czy sobie czego życzymy i czy ma przynieść światło. Odpowiedziałem, że nam niczego nie potrzeba. Nawet to intermezzo nie zdołało wyrwać mego przyjaciela z głębokiego zamyślenia. Dopiero gdy nas doleciał pogłos dalekich dzwonów — dźwięki pogrzebne, jak wkrótce doszedłem do przekonania — przyszedł znowu do siebie. I on też zmiarkował, co te dźwięki znaczą.

— Wybacz pan — rzekł. Wydaje się panu zapewne dziwnym, opowiadając tak wyczerpująco tę starą, smutną historję. Proszę jeszcze o odrobinę cierpliwości, zbliżam się do końca opowieści. Aby pojąć, jak się to wszystko skończyło, musi pan być wtajemniczony we wszystkie te pozornie nieważne szczegóły, przyczem również nie jest obojętny kaźdoczesny stan mej biednej duszy... Ale pan nic nie pije... Proszę nalać... ja... widzi pan... to śmieszne... moja ręka drży, jak gdyby mnie wczoraj spotkały wszystkie te ciosy. Chcę winem dodać sobie kurażu, by opowiedzieć do końca.

Wychylił odrazu szklanke, którą napelniłem.

— Gdzie się zatrzymaliśmy? — powiedział. — Prawda, przy mojej pierwszej przejaźdźce. Co za rozkoszny był to dzień, drogi przyjacielu! Pogoda była boska, jaką być tylko może w Rzymie w dzień wiosenny po nocnej burzy; władało mną uczucie uzdrowienia, uczucie, czyniące człowieka przystępnym dla wszystkiego, co dobre; u boku miałem ukochaną kobietę w uroczym stroju, która mnie powoli sprowadzała po schodach i łajała, gdy się niezbyt silnie na niej opierałem; przedemną biegło rozkoszne dziecko; we wszystkich drzwiach pojawiali się ludzie i przypatrywali, jak signor Arrigo po raz pierwszy udaje się na prze-

jażdżkę. Zmartwiło mnie tylko, gdy krawiec pomagał mi wsiadać do powozu, że z kieszeni nie mogłem wyjąć garści złota i po księżęcemu wynagrodzić jego wierność i trud. Pocziwy ten człowiek zdaje się wcale nie spodziewał się tego. Po ufale skinął za nami ręką, gdy z miejsca ruszył wygodny powóz, w którym na szerokich poduszkach zasiadłem z Gemmą, mając na ławeczce naprzeciw Bicettę z największą i najelegantszą jej lalką.

Wywieraliśmy widoczne wrażenie na najbliższem otoczeniu, na korsie ludzie przystawali i oglądali się za nami. Gemma powiedziała woźnicy, by się skierował w ulicę koło San Giovanni. Pojechaliśmy wzdłuż Ripetty, do mostu, obok Castell Sant' Angelo do Świętego Piotra. Jeśli pan zważy, że widziałem to wszystko po raz pierwszy i w jakim towarzystwie się znajdowałem, pojmie pan mój bajeczny nastrój. Nie mówiliśmy wiele z sobą. Moja ręka spoczywała obok jej dłoni, a w zachwycie nad wspaniałością otoczenia kilka razy ośmieliłem się tę drogą dłoń ująć i uścisnąć. Twarz jej pozostawała niezmienioną. Dla niej przecież cudna scenerja nie była obcą; wogóle nie miała żadnego zrozumienia dla sztuki, a tem mniej dla wspomnień historycznych. Tylko gdy jej przy zamku Anioła opo-

wiedziałem o Cellinim, o tem, jak ze szczytu tej gigantycznej baszty bronił swemi armatami Rzymu, jak potem w tymże zamku jako jeniec papieski miał możność rozmyślać o wdzięczności świata, wreszcie w jak zuchwały sposób uciekł — objawiła zainteresowanie dla tego awanturniczego człowieka i musiałem jej obiecać, że przeczytam jej książkę, w której to wszystko jest opisane.

Tak przybyliśmy na plac św. Piotra. Kazałem zatrzymać konie u wejścia między kolumnami; moje serce pukało mocno, gdy ujrzałem ten cud budownictwa i ten jedyny na świecie plac. Gdybym nie był tak bardzo strzeżony, byłbym zapewne nie oparł się pokusie i zszedł z powozu. Musiałem jednak tym razem zrezygnować z tego.

Wtem, gdyśmy właśnie ruszyli w stronę Porta Angelika — Boże! Ktoś występuje z pośród kolumnady, badawczym wzrokiem obejmuje nasz wóz i spostrzegłszy, kto się w nim znajduje, cofa się pospiesznie między kolumny, jak lis, który wyściubił nos z nory?... Kurcie! zawołałem. Kurcie, to ja! Nie ma odpowiedzi... Zjawa wyłoniła się tak szybko i z taką błyskawiczną szybkością znikła, iż zdało mi się, jakobym uległ złudzeniu.

Musiałem towarzyszcze powiedzieć, kogo wzywałem. Przytem wciąż zaprzętała mnie myśl,

dlaczego ten dziwaczny człowiek tak szybko usunął mi się z oczu. Bądź co bądź był jednak w Rzymie i dziś jeszcze mogłem go uwiadomić o swym pobycie, gdyż znałem jego adres. Nie czyniłem tego dotychczas, by w cudowny sen, w który byłem omotany, nie wnikał żaden głos z zewnątrz. Teraz jednak był wielki czas, by odwołać się do jego przyjaźni.

Wyznałem też po raz pierwszy mej przyjaciółce, w jakim położeniu się znajduję, że jestem zdany na pomoc mego posła i mego przyjaciela, i że pozatem jestem biedakiem, któremu dopiero przyszłość ma zgotować lepsze warunki bytu. Wysłuchiła tego z widoczną obojętnością.

— Ach cóż! — powiedziała wreszcie. — Nie mówmy o pieniądzach! Aniołowie w niebie nie mają w kieszeni ani grosza, a są bardzo rozradowani. Spojrz pan, jak pięknie tu kwitnie!

Jechaliśmy długim gościńcem między Monte Maria a Tybrem; po obu stronach kraśniały różnobarwne kwiaty, z ogrodów uśmiechała się cudowna wiosna, niebo miało niezmierną głębię i jaśń, moje biedne serce ulatywało, jakby po raz pierwszy skrzydeł używający ptak, między niebem a ziemią i wracało wciąż z powrotem do pięknej kobiety, której zawdzięczałem, że wolno mi było się tem wszystkim rozkoszować. Bicetta za-

pragnęła gwałtownie kwiatów. Wysiadłem z nią i zerwałem mnóstwo sasanek i fiołków. Przytem wciąż spoglądałem ku Gemmie, która spokojnie siedziała w powozie, poważnie przed się patrzyła, a między temi pięknymi i kwitnącemi stworami była najpiękniejszą. Potem wróciliśmy przez Ponte Molle.

Przejażdżka trwała półtorej godziny. Gdy powóz zatrzymał się przed naszym domem, uczułem się przecież wyczerpanym. Jakby opity powietrzem i słońcem szedłem po schodach, podpierany przez mą przyjaciółkę. Gdy się wreszcie dostałem do mieszkania i zostałem z nią sam — dziecko jak jaszczurka wywinęło się zwinnie i znikło w drugiej izbie — opuściły mnie siły. Potoczyłem się i zaledwo przestąpiłem próg, miałem wrażenie, że padam. Podtrzymała mnie swemi silnemi ramionami i w chwili słabości i zmieszania — nie wiem jak się to stało — moja głowa zbliżyła się do jej włosów, moje usta dotknęły jej policzków — i po chwili byłem u jej stóp.

— Wybaczenia! — wyjąkałem — jestem jak szalony... wiosenne powietrze... szczęście, że przecież żyję... o, gdyby pani wiedziała, co w mem wnętrzu się dzieje...

Stała przedemną spokojnie i patrzyła na mnie; nie powiem, by wzrok jej był zimny i odtrącający.



— Dzieciakiem pan jest! Wiem o tem od dawna... Wszak wyznał mi to pan dość często, jeszcze wówczas, gdy pan leżał w gorączce, a potem wzrokiem i wzdychaniami. Lecz powstań pan i bądź rozsądny. Gdyby matka pana tak zastała...

— Wiedziała pani o tem, zawołałem, wiedziała i nie gniewała się? A teraz, Gemmo, teraz, gdy to pani powiadam na kolanach... czy to możliwe? Lubi mnie pani choć trochę... nie odtrąca mnie pani? Nie odpowiada mi pani okrutnem „no! mai!“ mimo że jestem nędzarzem, biednym inwalidą, a nie wytwornym panem, mogącym ci skarby do stóp rzucić?

Pochyliła się ku mnie z uśmiechem.

— Arrigo, rzekła, jesteś wielkim głuptaskiem. Czy mnie nie znasz? Żyłeś tu u mnie przez trzy tygodnie i nie wiesz..., Lecz powstań! I bądź cicho. To są zupełnie niepotrzebne słowa, które cię tylko męczą. Chodź! Nie wolno nam robić głupstw.

Podniosła mnie swemi silnemi ramionami.

— Gemmo! — zawołałem w zachwycie. Moje dłonie otoczyły jej ciało, już odczuwałem ciepło jej warg na moich ustach, gdy wtem otwarły się drzwi i obok nas stał lekarz.

— Bravo! — zawołał, ironicznie się uśmiechając. — Bravo, synu! Chciałem tylko zobaczyć,

jak panu posłużyło świeże powietrze i znajduję, że mnie pan więcej nie potrzebuje. Jest pan rzeźki jak ryba, tylko nieco rozgorączkowany. Ale na to nie ma w żadnej aptece lekarstwa.

Stałem przed nim w wielkiem zakłopotaniu. Gemma nie straciła ani na chwilę równowagi.

— Proszę go jeszcze nie wypuścić ze swej opieki, doktorze — powiedziała. — Fantazjuje wciąż jeszcze i trzeba bardzo uważać, by nie robił szaleństw. Właśnie potraktował mnie jak obrazek święty i padł przede mną na kolana.

Mały doktor nie rzekł ani słowa, ścisnął wargi i zbliżył się do mnie, by mi zbadać puls. Potem coś zamruczał, dał głową znak Gemmie i wyszedł z nią do drugiego pokoju; przed wyjściem uprzemem skinieniem swych ciemnych oczu wezwała mnie do zachowania spokoju.

Słyszałem ich cicho ze sobą rozmawiających; po pięciu minutach weszli z powrotem do pokoju.

— Brzydki doktor nie pozwala, by pan dłużej pozostawał w mej opiece — rzekła uśmiechając się. — Sądzi on, że pan musi znowu stanąć o własnych nogach, powietrze tu w domu nie jest dla pana zdrowe, nudy są najlepszem lekarstwem dla rekonwalescenta. Przez trzy tygodnie musi sobie pan dać radę beze mnie. Co pan na to, signor Arrigo?

— On nie ma tu nic do powiedzenia, musi słuchać — wtrącił mały doktór. — Chodź pan! Spakuj swe manatki i pożegnaj się. Ja sam pana wytransportuję i nie ustąpię, aż pana gdzieś dobrze umieszczę. Poffare il mondo! Tegoby jeszcze brakowało, bym pana za włosy wyciągnął ze Styksu po to tylko, byś pan z powrotem się w otchłań rzucił!

Musiałem ustąpić wobec przemocy. Moje zawiniątko, które w pierwszych dniach pobytu tutejszego sprowadzono z oberży, rzucono w dość wielkim nieładzie do kufra, położono na nie moje szkicowniki i przybory malarskie — i nie upłynęło pół godziny, gdy wszystko było załatwione. Doktor stał obok mnie i ostro się we mnie wpatrywał. Gdy zajechała dorożka, rzuciła mi się Bicetta na szyję i dusiła mnie swymi pieścizotami, wciąż wołając: Niech on nie odejdzie! Niech wkrótce wróci i maluje obrazki dla Bicetty! Starucha pojawiła się tylko raz na chwilę, a na twarzy jej malowała się satysfakcja, że się mnie pozbywa. Gemma zachowywała się spokojnie, a gdy na pożegnanie ucałowałem jej rękę, rzekła: Trzy tygodnie nie są wiecznością. Bądź pan zdrowy, jeśli pan chce być szczęśliwy!

Nie mogłem wypowiedzieć ani słowa, przeszedłem przez drzwi jak Adam przez wrota raju,

a anioł z ognistym mieczem siadł koło mnie w drodze w postaci doktora Susiny. Poczciwy kra-  
wiec i żona jego stali u drzwiczek dorożki. Mogłem  
ich tylko pocieszyć, że wkrótce o mnie usłyszą.

Na górze w oknie wychylała się Gemma, mając  
u boku dziecko, które mi rzucało całusy. Matka  
skinęła tylko głową. Potem dorożka odjechała.

\* \* \*

Przedewszystkiem chciałem się przekonać, czy  
pokój na Forum, który wynająłem przed trzema  
tygodniami, jeszcze jest wolny. Po drodze mało ze  
sobą rozmawialiśmy. Nie wypadło mi wypyty-  
wać doktora o stosunki mojej przyjaciółki. Tylko  
raz powiedziałem: Co za kobieta! Co za wielko-  
duszna istota!

— Jest ona pewnego rodzaju aniołem w spod-  
nicy, odpowiedział krótko. Szkoda tylko, że jej  
głowa nie zawsze jest tak mocna jak serce.

Milczałem i nie pytałem o znaczenie tych  
słów. Byłem jak we śnie, gwar ulicy odurzał mnie,  
poczucie, że jestem sam w tem olbrzymim mieście,  
sprawiało mi ból.

Na szczęście małe mieszkanko przy Forum  
było wolne. Poczciwa otyła gospodyni wyszła  
naprzeciw mnie z radosnem zdumieniem, była  
pewna, że umarłem czy też wyjechałem; codziennie

nakręcała zegarek, który jej pozostawiłem jako zastaw. Wkrótce byłem zainstalowany, a mój lekarz przyboczny opuścił mnie, dawszy wprzód kilka wskazówek mej gospodyni i wzięwszy ode mnie słowo, że nie będę robił żadnych głupstw. Leżałem więc na wielkiej, twardej, skórzanej kanapie i oczekiwałem posilnego rosolu, który pani Rosalia sporządzała na kuchennym piecu.

Miałem wilczy apetyt, mimo wszystkich przejść duchowych, i nie zostawiłem ani kropli na talerzu. Zaledwo jednak przez chwil kilka oddawałem się małej siescie, gdy weszła gospodyni i zapowiedziała czyjeś odwiedziny.

Był to nikt inny jak Kurcik, stary, poczciwy przyjaciel. Podskoczyłem ku niemu i powitałem go głośnym okrzykiem radości; był on przecież jedyną deską ratunku w mej biedzie. Zachowywał się jednak dziwnie, był małomowny, zakłopotany, mrukliwy i nie patrzył mi wcale w twarz. Przystąpił do okna, wyraził podziw dla widoku, klął na nowe wykopaliska, które szpecą Forum dla dobra kilku antykwaryjuszów, a gdy go zapytałem, jak mu się powodzi, rzekł:

— Jak widzisz. Nie pozbyłem się i tu czerwonego nosa, tej latarni Diogenesa, która mi zapewne świecić będzie aż do grobu. Natomiast pozbyłem się tu czego innego: sztuki. Po kilku mie-

siącach pobytu w tej błogosławionej krainie doszedłem do przekonania, że mam do wyboru, albo na gwoździu powiesić moją tak zwaną sztukę, albo siebie. Jako że jestem słabym śmiertelnikiem, wybrałem oczywiście to pierwsze. W naszym stuleciu fotografii jest to szaleństwem chcieć zostać artystą. Muza siedzi jak pasterka gęsi na swym pagórku i plecie swe warkocze, czekając wciąż jeszcze, aby znowu zostać księżniczką, którą jest właściwie. Może ona jednak długo czekać, a tymczasem jeden i drugi Kurcik traci cierpliwość... Każdy czas ma swe zadania. Cinquecento mierzyło przyrodę wedle jej piękności, nasze stulecie wedle jej jadalności i innych korzyści.

Ośmieliłem się wtrącić zapytanie, czy też znalazł kawał natury, który go zaopatruje w jadło. Jestem bowiem bez wszelkich środków do życia i właśnie na niego głównie liczę...

O! — powiedział i pogładził swą małą, jasną bródkę — co się tego tyczy, bądź zupełnie bez troski. Moje starania, by przekonać świat o nonsensie zajmowania się dziś jeszcze sztuką, są intratniejszym rzemiosłem, niż gdybym zarabiał na chleb ręką Raffaella i genjuszem Michała Anioła. Pomagam bowiem w wysokim stopniu w krzewieniu się dyletantyzmu; dopiero gdy

każdy trzeci człowiek będzie dyletantem, zdławi nadmiar partaczy kilku genjuszy, którzy jeszcze się pojawią i żaden dureń nie będzie więcej mówił o prawdziwej sztuce. Daję kobietom i Anglikom lekcje w malowaniu akwarelą, za co mi doskonale płacą. Ile setek potrzebujesz?

Wszystko to powiedział ot tak sobie i ani słowem nie zapytał o moje osobiste przejścia, mimo że musiał przecież po moim wyglądzie zauważyć, jak wiele przecierpiałem. Zapytałem go też odrazu, dla czego dziś na placu św. Piotra tak nagle zwał, czy nie słyszał mego wołania, czy mnie doprawdy nie poznał. Wyparł się spotkania w najbezczelniejszy sposób. Wobec tego opowiedziałem mu wszystko, co mnie spotkało w ostatnich trzech tygodniach.

Przysłuchiwał się, nie odwracając wzroku od okna. Nie zataiłem również przed nim ostatniej sceny między mną a moją przyjaciółką; zwykłem nie kryć się przed nim z niczem. Przez długi czas milczał, ja zaś opadłem znowu na kanapę, i zapomniałem przez chwilę o nim, wspominając chwilę, która moją krew wprawiała w stan wrzenia.

— Ty potworze! — usłyszałem nagle. — Ty szczęśliwco! Ty łowco gwiazd! Nawet dnia nie przeżył w Rzymie i kilkoma nędznymi kroplami

krwi okupił sobie ten ulubieniec bogów to, za-  
czem inni... Czy wiesz ty — huknął nademną —  
czy wiesz, że we śnie dobrałeś się do skarbu,  
za którym różne zuchy latami całemi nadarem-  
nie się ubiegały? Że zamilczę o mej skromnej  
osobie: czy wiesz ty, że ta kobieta, która w swej  
łasce raczyła się zniżyć do twej wypłowiałej o-  
soby, jest najdelikatniejszym kawałem kobiecego  
mięsa, które między Alpami a Sycylią oświeca  
słońce i że przypadło ci w udziale szczęście,  
o które napróżno silili się książęta i hra-  
biowie?

Chciałem mu odpowiedzieć, że sobie zupełnie  
zdaję sprawę, jak mało mam pretensji do takiego  
bajecznego szczęścia; nie dał mi jednak przyjść  
do słowa. Przystąpił blisko mnie, potrząsał mem  
ciałem, na szczęście po zdrowej stronie, i bez przer-  
wy zalewał mnie potokiem słów.

— Tak! — zawołał — przyznaję, że nie mój  
cień, tylko ja sam spotkałem was w powozie koło  
Świętego Piotra. Lecz myśl, że mógłbym przy-  
stąpić, zamienić z nią kilka słów, wytrzymać jej  
wzrok całkiem w pobliżu — ta myśl przeraziła  
mnie. Byłbym śmieszna igrą, a do czego by to  
prowadziło? Siedziałeś tak szeroko rozpostarty,  
z taką wygodną zuchwałością jako beatus possi-  
dens u jej boku, znienawidziłem cię w tej chwili,



byłoby mi zupełnie niemożliwe grać rolę uradowanego. Wprawdzie nie przypuszczałem, że tak daleko z nią zaszłes. Mówiąc między nami, nie mogłem pojąć, co się jej mogło spodobać w twem długiem cielsku, tej poczciwej holsztyńskiej gębie i tej mizernej toalecie. Jakiś żartowniś, pomyślałem, dał mu w Neapolu list polecający do wiedzy, a ona żartuje i oprowadza po Rzymie dziwaczne, północne zwierzę. Nie miej mi tego za złe, Eryku; nie wiesz, jak ona się ceni. Połową twego królestwa nie zdołałbyś jej kupić. Ja sam — odkąd ją po raz pierwszy ujrzałem, jak pies się za nią włoczyłem, byle tylko przychwycić jedno z tych spojrzeń, któremi uszczęśliwia nawet najniklejsze stwory. A oto znajduję jegomościa, który nie jest ani Adonidem ani Krezusem — bogowie! Można by się wściec, gdy się pomyśli, jak kapryśną, bezmyślną lada-cznicą jest Fortuna, rozdając na ślepo całusy i szcutki w nos, zarówno wobec sprawiedliwych, jak i niesprawiedliwych.

Chwycił kapelusz i chciał wybiedz: moje towarzystwo było mu widocznie nie miłe. Miałem wiele trudu, by go powstrzymać i wepchnąć w fotel, poczem na wszystkie świętości, na naszą starą przyjaźń zaklinałem go, by się wywnętrzył i opowiedział mi wszystko, co wie.

— Jesteś niespełna rozumu — zawołał gwałtownie — jeśli chcesz o niej wiedzieć więcej, niż twe oczy widziały i twe uszy słyszały wprost od niej. Jeśli ktoś idzie w największy upał i ujrzy na drodze nadgryzioną pomarańczę, czy będzie tak głupi, by długo się rozpytywać, kto ją odrzucił? Że się zwie wiedźmą z korsa, o tem ci powie każdy dorożkarz. Gdzie się swych sztuk czarodziejskich uczyła i kto się już o tych sztukach na własnej skórze przekonał — co cię to obchodzi, ty mleczaku? Tak, wyznaję, mam szatańską satysfakcję, mówiąc ci, że twoja bogini jest bardzo ziemskiego pochodzenia. O ile zaś ciebie znam, dążysz do tak zwanych wyżyn. Bogobojnemu synowi pastora nie może być obojętne, czy związek jakiś jest zawarty w niebie czy w piekle. Ja zaś mógłbym przesiadywać na łonie Abrahama, a gdybym usłyszał głos tej wiedźmy z najniższych pokładów piekła i gdyby zażądała, bym dla ochłody jej poruszał przez wieczność wachlarzem — rzuciłbym się na oślep do jej małych nóżek — nie, to złe określenie. Jej nogi nie są małe, również i jej ręce; to jest modne w naszych północnych salonach lalek. Prawdziwe córki Rzymu stąpają pewnie, a ręce ich mocno przytrzymują swemi silnemi palcami to, co raz chwyciły. Jakże często stałem z boku, gdy wsia-

dała do powozu, on jej podawał ramię, a ona pięknie sklepioną nogę stawiała na stopień...

— On? co za on?

— Ach tak, ostatni, który przed tobą budził zawiść bogów i ludzi, przepiękny, nieco zwarjowany, ale niezmiernie bogaty Neapolitańczyk, ponadto markiz, elegant, który trochę lepiej przy niej wyglądał niż wasza wysokość. Lecz ten teraz znikł, minęło prawie ośm tygodni. Przed nim... czyż mam ci wyrecytować całą listę? Lepiej zacznę od początku.

I począł mi opowiadać, czego zresztą sam już się domyśliłem, że ojcem jej był ten pyszny kardynał, którego obraz widziałem w sypialni. Stosunek z jej matką rozpoczął się oczywiście dawno przed otrzymaniem kapelusza kardynalskiego. Wkrótce uprzykrzył sobie gderliwą kobietę, tembardziej iż jej piękność rychło przekwitła; umieścił ją z dzieckiem w Civitavecchia. Tam żyła przyzwoicie, nie wolno jej tylko było wrócić do Rzymu, a kiedy nagle umarł, pozostała zupełnie bez środków do życia. Tylko obraz, który stara już przedtem zdołała zabrać, przypominał dni świetności. Córka właśnie osiągnęła szesnasty rok życia, precudnie zakwitła, była okrasą małego miasta portowego. Konsul francuski, monsieur Durand, liczący już pięćdziesiątkę,

ale wciąż jeszcze wielki łowca kobiet, począł się do niej przystawiać, lecz stara sprzeciwiała się. Córka śmiała się z niego. Przestała się śmiać, gdy nędza poczęła coraz bardziej doskwierać i gdy sprzedano ostatni złoty przedmiot, który pozostał po ojcu. Wtedy... była jeszcze na pół dzieckiem... zgodziła się, by i ją sprzedano. Pocieszała się jeno tem, że kapłan pośredniczył w tym handlu, że została madame Durand i że mogła swą młodą piękność ukazywać w powozie pana konsula. Serce jej wtedy jeszcze było nieme. Kiedy poczęto plotkować, czy przed czy po katastrofie, która nagle podcięła Francuzowi grunt pod nogami — nie wiadomo. Pewnego pięknego dnia pan konsul na parowcu wyjechał do Marsylii. Rozstał się ze swą młodą żoną tylko na krótki czas. Lecz wkrótce po jego wyjeździe wyłoniły się brzydkie sprawy, podejrzanego interesu, które go uniemożliwiały na zajmowanym stanowisku; przezornie sprytny ten człowiek, widząc ściągające się nad jego głowę chmury, uciekł bez pożegnania przed wybuchem burzy.

Przez czas niejaki oczekiwała piękna słomiana wdówka jego powrotu. Gdy brak było zarówno jego jak i wiadomości o nim, starała się pocieszyć, a nie zabrakło ludzi, którzy jej w tem ofiarowali swe usługi. Już za jego życia — chcę powiedzieć,

dopóki jej mąż był przy niej — uważała dzielnego, młodego kapitana papieskiej żandarmerji za godniejszego swej miłości niż pana Durand. Szczęśliwiec został pewnego dnia przeniesiony do Rzymu, właśnie podczas karnawału. Gdy razu pewnego pojawił się na reducie w teatrze Apollo, prowadził pod ramię nieznaną nikomu tancerkę, ukostjumowaną jako czarownicę, w fantastycznej sukni czarno-czerwonej, ze złotym węzem dokoła szyi, z małemi skrzydełkami nietoperza u czerwonej czapeczki, z czarnymi włosami, spadającemi swobodnie aż do bioder. Tańczyła jak demon, a śmiała się jak anioł pod półmaseczką, której nie zdejmowała przez cały wieczór. Gdy para o brzasku dnia opuszczała redutę, zakradała się za nią niejedna młoda postać, której czarowna wiedźma głowę zawróciła i obserwowała dom, w którym znikła.

Był to dom przy korsie, na rogu Via de' Pontefici. Następnego dnia mnóstwo gachów z pośród jeunesse d'orée spacerowało pod domem, ale wiedźma z korsa — bo tak ją od tej chwili zwano — ukazała się dopiero w godzinach popołudniowych. Że bez maski lepiej umiała wyczyniać swe sztuki czarodziejskie, to rzecz zrozumiała. Lecz prócz kapitana nikt się nie mógł pochwalić, że przekroczył próg mieszkania pani Durand.

Potem przyszło dziecko na świat, a ona zamieniła się z dzikiej wiedźmy w gospodarną, cnotliwą kobietę. Matka wkrótce przybyła za nią do Rzymu; żyli we czworo przez kilka miesięcy cichutko, bez zwracania na się uwagi; wtem młody pan domu został podczas wyprawy na bandytów zastrzelony, a pani Gemma poraz wtóry wdową.

Trzeba przyznać, że za ojcem swego dziecka nosiła żalobę tak zacnie, jakby tego żądać można tylko od legalnej małżonki. Ale potem! Dwudziesty rok życia... najpiękniejsza kobieta w Rzymie... nagabywana przez setki młodych i starych lowelasów, bijących się o to, by jej skarby Indji rzucać do stóp, sama zaś biedna jak mysz kościelna — nie wiem, jakby się zachowała Penelopa w tych warunkach. Twoja ukochana... daruj, że jej już teraz dam ten oficjalny tytuł...

— Nie, — przerwałem, — przestań mnie dręczyć! Jestem jeszcze niezdrów... Gdybyś wiedział, co się we mnie dzieje... strącony z mego nieba... z przeczystych lazurów w brudną szaryzną płaskiej, twardej ziemi...

— Ba, ba! — mruknął — ta twarda ziemia... Dwa takie miękkie kobiece ramiona, którychby się powstydzić nie potrzebowała Venus z Milo

dla uzupełnienia swych kikutów — a zresztą, Eryku, chłopcze mój, pocóż robisz tak wstrętne grymasy! Gdy cię zaproszono do stołu bogów? A nawet ze stanowiska naszej staroświeckiej moralności: czy zapomniałeś, jak ludzkim był Chrystus Pan wobec samarytanki przy studni? Miałaś siedmiu mężów, a ten, którego masz teraz, nie jest twym mężem... Jak? Czy to brzmi jak moralne oburzenie? Czy nie mógł równie dobrze powiedzieć w tonie zarzutu: Prowadziła pani, madame Durand, sposób życia, który mi uniemożliwia spotykać cię tu w publicznem miejscu i wdawać się z tobą w rozmowę?... Gluptasku, ta kobieta... zeskoczyłbym z wieżochółka wieży Świętego Piotra, gdybym się przedtem mógł przeobrazić w człowieka, który przez dwadzieścia cztery godzin zaznał jej łaski. Bo widzisz, kochanie, mimo wolności, której zażywa, nie jest ona łatwym łupem dla pierwszego lepszego, który jej może ofiarować tylko złoto lub djamenty lub też pięknie ufryzowaną głowę Antinouse, w której tkwi ośli mózg. Siedmiu mężów samarytanki, czy ilu ich tam było, nie ma się co wstydzic; jest to pewnego rodzaju order pour le mérite, jeśli można spacerować z wiedźmą z korsa. Oczywiście środki jej nie pozwalają wynagradzać uczonego ojca Secchi za zasługi około rozwoju

astronomji. Że jednak posiada ona serce, nie przeżarte plugawym egoizmem... mam wrażenie, że twe własne doświadczenie...

I tak plółł bez końca, to kpiąc, to siląc się występować jako bezinteresowny przyjaciel. Wreszcie przestałem słuchać go, siedziałem odurzony przy oknie i widziałem ostatni promień słońca znikający z dachów Kolosseum; najchętniej byłbym się pograżył w wiecznej nocy, gdyż lękałem się nowego dnia i konieczności powzięcia jakiejś decyzji.

Wszystko to, co mi powiedział, nie zdołało przytłumić mej namiętności. Byłem również daleki od jakiejś moralnej reakcji, o ile to tyczyło sądu mego o uwielbianej kobiecie. Oczywiście, być jednym z wielu, zawdzięczać kaprysowi, że mi sułtanka rzuciła chusteczkę... przeciw temu burzyło się moje poczucie męskości. Lecz zanim o tem wszystkim się dowiedziałem, myślałem sobie niejednokrotnie: jeśli ta piękna osoba niezbyt dbała o opinię, od czasu do czasu korzystała z wolności stanu wdowiego — to jeśliby mi się udało pozyskać jej względy, uprowadziłbym ją z tego wulkanicznego gruntu, ją i dziecko, a może, prędzej czy później, pogodziłaby się ze skromniejszym losem w mej ojczyźnie. Oczywiście taki sen wydawał mi się zawsze chimerą. Lecz jej „No!“,



którem odpowiedziała hrabiemu, wzmacniało moją wiarę w cuda. A wreszcie nasza rozmowa tuż przed rozstaniem... Wszystko mogłem o niej pomyśleć, tylko nie to, że mogła być fałszywą, igrać z biednym przybyszem, gdy tyle mu objawiła miłości i dobroci.

A teraz... Czyż pomyśleć można o uczciwym, trwałem posiadaniu, o czystych planach na przyszłość? Wszak jej mąż żył. Wiedział o tem cały Rzym... A ja, gdybym na prawdę był szaleńcem i memu bogobojnemu ojcu, mej dobrej starej matce sprowadził w dom tę obcą kobietę... pod jakim nazwiskiem... z jakimi widokami... początkujący architekt, nie mający jeszcze ani jednego zamówienia... szaleństwo!

A ten zdrajca, Kurcik, chodził wciąż po pokoju, tam i z powrotem, i mówił o niesłychanem szczęściu, jakie mnie spotkało. Jak gdyby do właściwego szczęścia nie trzeba było właściwego człowieka!

— Kurcie, — powiedziałem — wreszcie, nie mówmy o tem więcej. Jak się to skończy, Bóg raczy wiedzieć. To jednak jest pewne, że zazdrość niewciśnie się w naszą starą przyjaźń. Gdybyś prócz swej lekkomyślności i cynizmu mógł mi dać ponadto środki, bym ten stosunek mógł poprowadzić dalej w stylu eleganckiej awantury, miałbyś

rację, mówiąc, że przywiozłem ze sobą do Włoch więcej szczęścia niż rozumu. Dopóki jednak jestem biednym stypendystą pruskiego ministerstwa, któremu ponadto łotr wykradł z kieszeni ostatni grosz, nie nadaję się, by mieć za kochankę „najpiękniejszą kobietę Rzymu“. Powiedz mi więc lepiej, ile mi możesz pożyczyć pieniędzy?

Spojrzał na mnie wielkimi oczyma; widząc jednak, że mówię to serjo, ruszył ramionami, wyciągnął z pod kamizelki pulares i począł na stole zliczać kupkę dukatów.

— To na razie cały mój majątek, — powiedział. — Za cztery tygodnie spadnie nowy deszcz. Do tego czasu podzielimy się po bratersku.

Wypadło na moją część tyle, iż mogłem swobodnie odetchnąć, wyswobodzony na razie z trosk o utrzymanie. Następnego ranka, gdy zapukał u moich drzwi krawiec Girolamo, by z polecenia signory Gemmy się dowiedzieć, jak spędziłem noc, mogłem się wobec tego galantuomo szczerze wywdziąć. Z początku nie chciał nic przyjąć; signora obdarowała go już sowicie. Wreszcie poszedł sobie bardzo ukontentowany, zaofirowawszy mi wszelakiego rodzaju usługi.

Pospieszyłem następnie zapewnić małego doktora, że nie miał do czynienia z niewdzięcznikiem.

Był on jednak przez piękną Gemmę lepiej poinstruowany lub też z twardszego materiału. Musiałem się obawiać, że go obrażę, gdybym dłużej nalegał. Nie szczędził mi upomnień i wzywał do prowadzenia regularnego, rozsądnego trybu życia.

— Masz organizm niedźwiedzi, mój synu — powiedział rubaszenie — obecnie mogę panu wyznać: nie liczyłem zupełnie, że pan wyzdrowieje. Teraz pan wyrwał się z grobu, o ile go sobie pan z powrotem nie wykopie. Rozumie mnie pan? Giudizio, figlio mio! Musi pan przeżyć najbliższych kilka tygodni tak, jak gdyby pan zamieszkiwał celę w katakombach. Daję panu dziewięćdziesiąt lat życia, o ile pan będzie się stosownie zachowywał. Ale wino i kobiety, notabene rzymskie wino i rzymskie kobiety, to dla was, niedźwiedzi z północy, zaraza. Pan mnie zrozumiał...

Zbyt dobrze cię pojąłem, doktorze Susina. Lecz nie potrzebowalem twych kazań. Unikałem tej zarazy z tchórzostwa i nie łudziłem się, by to tchórzostwo zasługiwało na szlachetniejszą nazwę „rozsądku“.

Kurcik przychodził codziennie. Był moim cicerone, z początku w powozie, potem pieszo, gdy mi coraz więcej przybywało sił. Dziwaczny człowiek, o którym panu innym razem opowiem. Rzym znał jak własną duszę; wśród innych oko-

liczności byłoby to bezcenne, dać się oprowadzać takiemu doskonałemu przewodnikowi po najbardziej ukrytych zakamarkach starożytnej i średnio-wiecznej sztuki i po najcudowniejszych widokach. Wówczas jednak widziałem wszystko jak przez mgłę, oglądałem wszystko wielce roztargniony, wciąż jedną tylko myśl w sobie przeżuwać. O mojej aferze sercowej nie mówiliśmy z sobą ani słowa. Jakby w cichem porozumieniu unika-liśmy starannie ulicy, w której mogłem się spodziewać... lękać..., że ją ujrzę. Nie widzia-łem jej też ani razu — nie, przecież raz ją ujrzałem w powozie, gdy z córeczką jechała przez Pincio. Byłem przypadkowo sam, mógłbym był zbliżyć się do niej bez wysłuchania uwag ze strony mego ducha opiekuńczego. Skryłem się jednak szybko, drżąc na całym ciele, za jakiś płot i widziałem, gdy przejeżdżała; zdawało mi się, jakby z wy-razem zdziwienia na twarzy zwróciła głowę w tę stronę. Ale jak błyskawica postać zniknęła.

Powziąłem już decyzję, co mam począć. Po-znawszy nieco Rzym, chciałem wyjechać, zanim jeszcze minie trzytygodniowy termin. Rzym jednak jest tak wielki, że nawet dla pobieżnego przeglądu nie wystarcza tak krótki czas czło-wiekowi, uprawiającemu sztukę. Więc zwle-kałem z dnia na dzień. W głębi duszy spodzie-

wałem się czegoś wyzwalającego, nieprzewidzianego... Zapomni o mnie, wyjedzie, z jakimś nowym przyjacielem pokpiwać będzie z mej niezaradności.

Wprawdzie codziennie otrzymywałem od niej wiadomość, często mały jakiś upominek, owoce lub flaszczykę słodkiego wina, ale nigdy list. Nie była „literacko“ usposobiona, a pozatem cóż miałyby mi pisać? Również i ja tylko ustnie odpowiadałem na jej pytania i przesyłki. W dzień przed upływem trzytygodniowego terminu zjawiała się zamiast krawca Girolama żona jego, a z nią — Bicetta. Gdy mnie dziecko poczęło namiętnie ścisnąć, rzucać się na szyję, wycalowywać i bez końca rozkosznie paplać — to było ponad moje siły. Począłem konwulsyjnie łkać, wcisnąłem oczy w gęste włosy małej główki, aż mi się wreszcie udało opanować się. Wyjąłem z zapakowanego już kufra mały łańcuszek koralowy, który w Neapolu kupiłem dla mej najmłodszej siostry, powiesiłem go na szyi Bicetty, wziąłem ją na kolana i począłem karmić łaćkami, które mi jej matka przysłała, a których się nie tknąłem.

— Dlaczego jesteś taki smutny? — zapytywała raz wraz.

Powiedziałem, że boli mnie rana, zaś żonie

krawca poleciłem oświadczyć pani Gemmie, że w najbliższych dniach przyjdę, by się pożegnać; upał szkodzi mi — było to w połowie maja — toteż lekarz wysłał mnie w góry.

Tak sobie to obmyśliłem, by ją złudzić; miało to być pożegnanie na zawsze, gdyż wcale nie zamyślałem spędzić lata w górach. Gotówka, którą posiadałem, starczyła tylko na powrót do domu.

Następnego dnia, około dziesiątej — wieczorem miałem odjechać, miejsce w dyliżansie było już zamówione, na południe umówiłem się z Kurcikiem w tratorji, pozatem nie było nic do załatwienia prócz, ach jak przykrych, wizyty w domu przy korsie — słyszę nagle zajeżdżającą dorożkę, przyskakuję do okna i widzę: z dorożki wysiada Gemma... Po chwili słyszę, jej głęboki głos, wypowiadający moje nazwisko, gospodyni biegnie przodem, by otworzyć drzwi — jest u mnie...

\* \* \*

Miałem wrażenie, jakby podłoga na pokładzie okrętu poczęła falować; oparłem się o poręcz krzesła, zrobiwszy wprzód kilka kroków, i wyjąkałem kilka banalnych słów. Ona jednak zdawała się wcale nie spostrzegać mego zmieszania

Spokojnie rozejrzała się po izbie, skinęła mi przyjaźnie głową i powiedziała wreszcie:

— Oto jestem. Chcę tylko się dowiedzieć, jakie ma pan plany, Arrigo. Doktor Suzina utrzymuje, że nie mówił panu ani słowa o letnisku w górach, zgadza się jednak z tym planem. Powiedz przeto, kiedy chcesz odjechać. Moje kufry będą w mig spakowane, a mnie jest obojętne, dokąd pojedziemy. Na wszelki wypadek lepiej byłoby wprzód się rozpatrzyć w Albano, Arricia, gdzieś, gdzie powietrze będzie dla pana najodpowiedniejsze. Potrzebuje pan wciąż jeszcze opieki i pielęgnacji; toteż będzie najlepiej, jeśli ja z panem pojedę. Nie mogę przecież Girolama codzień wysyłać w góry, by się dowiedzieć, jak się panu spało.

Stałem przed nią jak przychwytywany złodziej. Wiedziałem jednak dobrze, że jestem stracony, jeśli natychmiast między nami nie stanie prawda jako mur ochronny.

— Gemmo, — powiedziałem, — zawstydzona mnie pani tym nowym dowodem dobroci. A ja... nie mogę tego przemilczeć, gdy tak wielkodusznie wobec mnie postępujesz... ja chciałem panią zwieść. Nie w góry odjeżdżam, tylko na północ, do domu, tak daleko od pani, iż żaden szal nie rzuci mnie z powrotem do twych stóp. Jestem ci tyle winien... czyż tysiączną część

zdołam kiedy wypłacić... Gdyby pani była biedną, bezradną istotą...

— Chwała Bogu, że nią nie jestem! — przerwała, wciąż jeszcze spokojnym tonem, ale jej czarne oczy przybrały dziwny, niemal groźący wyraz. — Co za głupstwa pan tu mówi! Czy już żal panu, że wyznałeś mi swą miłość? Czy było to tylko pod wpływem stanu gorączkowego, zaś teraz chcesz możliwie najszybciej uciec do swej zimnej ojczyzny, by ostatnia iskra zagasła tam pod śniegiem?

Pozwalałem jej mówić do końca; musiałem być rozważny, jeśli mnie nie miał porwać jej głos, jej wzrok, jej niewysłowiony urok. Zdo- byłem się na możliwie największy spokój i począ-łem jej tłumaczyć, w jakim położeniu się znajduję. Sprzeciwia się to memu poczuciu honoru, by dłużej korzystać z jej gościnności, a to tem- bardziej, iż nie mógłbym się kontentować samą jej przyjaźnią. Nie ukrywałem przed nią, iż żą- dałbym wszystkiego lub niczego: posiadania jej na wieki lub nagłego zrzeczenia się na zawsze. Wiem, iż szaleństwem jest pomyśleć, że i ona tę sprawę tak serjo traktuje, jak ja. A przecież, gdyby była wolną...

— Wolną? — przerwała. — Czy nią nie jestem? Mój mąż opuścił mnie w ohydny sposób. A zre-



sztą... ha, wiem, że ci już o mnie mówiono. Tak, nie byłam świętą. Kto temu jest winien? Ale jakakolwiek była moja wina — z własnej woli nigdy nie zaprzedałam się żadnemu mężczyźnie. A jeśli masz na myśli markiza — ten pod moim progiem skomlał długo jak pies. Dopiero gdy się dowiedziałam, że traci z powodu mnie resztkę rozumu, okazałam się łaskawszą. Było to może zbyt późno; bowiem często grozą mnie przejmowała bliskość jego, popełniał szaleństwa, zwłaszcza gdy miał dzień zazdrości. Tak, t e n mnie kochał, a nie tylko mówił o miłości, jak pewni ludzie... Temu nie wpadłoby na myśl, chyłkiem się wykraść pod pozorem, że ja „sprawy serjo nie traktuję“. A wreszcie, gdy go prawie przemocą od siebie oddaliłam, gdyż rodzina jego w Neapolu groziła wyrzeczeniem się go, jeśli mnie nie opuści, tak rozpacział u moich nóg, iż byłabym się zachwiała w mym postanowieniu, gdybym go była rzeczywiście kochała. Był to jednak gwałtowny, samolubny człowiek, a przytem nudził mnie jak piękne zwierzę, z którym nie można rozmawiać. Toteż byłam rada, gdy go więcej nie widziałam; spodziewam się, że młodą hrabiankę, którą ma poślubić na rozkaz ojca, zdoła bardziej uszczęśliwić niż mnie. Wolna! Byłam nią. Lecz nie czułam

się dobrze. Może mnie to przez czas jakiś bawić, gdy władam głupcami, a serce moje przytem jest wolne. A jednak, widzisz Arrigo, nawet mego męża, który był stary i zły i tylko wobec świata się ze mną dobrze obchodził — nawet jego nie byłabym mogła zdradzić, gdybym go była mogła szanować. A wtedy byłam jeszcze tak dziecinna. Teraz... w nocy, w której cię napadnięto... leżałam w łóżku i rozmyślałam nad wszystkim, co przeżyłam, i nad tem, jak źli są mężczyźni, jak brutalni i zimni, mimo żaru namiętności, i co się ze mną stanie, jeśli nigdy nie spotkam mężczyzny, któryby był dla mnie dobry, któremu bym nie musiała kłaść nogi na kark, lecz szanować go, niemal jak ojca, kochać jak kochanka. I gdy tak myślę i modlę się do Madonny, by mi przecież objawiła swą łaskę i przysporzyła tych rozkoszy, które widywałam u dobrych, serdecznych małżeństw — słyszę na dole jęki i wołania o pomoc... Leżałeś wtedy u progu mych drzwi, a gdy ci po raz pierwszy spojrzałam w twarz, zrozumiałam, że Madonna wysłuchiwała mą prośbę i że znalazłam człowieka, którego mi wolno kochać, nie pogardzając sobą...

\* \* \*

Runąłem na krzesło, kolana się podemną ugięły; wzrok mój był utkwiony w podłogę, czułem

bowiem, że gdybym teraz spojrział w jej piękną, poważną twarz, byłoby po mnie...

Czekała, czy coś powiem; gdy jednak zachowywałem milczenie, przybliżyła się i powiedziała tonem jeszcze spokojniejszym:

— Madonna nie sprawiła mi też zawodu. Jeśli nawet teraz udajesz złego, ja wiem, że jesteś dobry, najlepszy człowiek, którego kiedykolwiek spotkałam. Wiem o tem choćby z tego, jak się zachowywałeś wobec dziecka... Widzisz, inni też małą pieścili, lecz chodziło im tylko o pozory i byli kontenci, gdy dziecko wysyłałam z pokoju. Ty zaś zajmowałeś się niem jak piastunka, uczyłeś je różnych rzeczy, nigdy nie objawiałeś zniecierpliwienia, brałeś je nawet w obronę przedemną. Chciałam ci się nieraz rzucić na szyję, gdy to widziałam, lecz powstrzymałam się. Nie wiedziałam jeszcze, czy i ty mnie kochasz. Byłam nawet trochę zazdrosna, gdy z nią więcej rozmawiałeś niż ze mną. Jest ona rozsądniejsza ode mnie, zdolniejsza, mogłaby się świetnie rozwinąć, gdyby nie rosła tak dziko jak jej matka, i gdyby zaznawała zarówno prawdziwej miłości jak i prawdziwej surowości. Widzisz, dlatego też nas nie opuścisz, ty zły człowieku, lecz zostaniesz przy kobiecie, która cię kocha i przy jej dziecku, które cię potrzebuje, bo jesteś dobry. A teraz nie mów

więcej tak głupich słów. Żebrak! Jak długo ja nie jestem żebraczką, nie ma mowy między nami o pieniądzach; zrozumiałeś, głuptasku?

— A potem? — wtrąciłem — potem, Gemmo?

— Potem... jesteś młody i artystą, a dość jest królów i książąt, którym będziesz budował pałace. Teraz nie masz nic innego do roboty, jak tylko nie burzyć pałacu, który wzniesiemy sobie w górach. Nie zadasz kłamu Madonnie, chociaż jesteś heretykiem. Więc? Czy pan mój siedzi wciąż jak posąg kamienny, któremu uszy na głowie wyrosły tylko dla ozdoby?

— Gemmo — powiedziałem — myśl o mnie, co chcesz, pogardzaj mną, znienawidź, ale to niemożliwe!

— Chè, chè! Ja chcę, słyszysz? A co chcę, to być musi. Dzień ten pozostawiam ci, byś załatwił swe sprawy. Dziś wieczorem przyjdiesz i powiesz mi, że się zdecydowałeś i będziesz grzeczny i nie będziesz więcej mówił o niemożliwości. Do dziewiątej drzwi moje są otwarte. Matkę zostawimy tu w mieście, wiem, że nie lubisz jej. Lalla, żona Girolama, pojedzie z nami, a naturalnie też twoja lalczka, Bicetta. Cierpliwości! Ośm dni pod moją opieką a nie będziesz miał tak bladych policzków. Powiedz, czy twoja rana już całkiem zablizniona?

I nie czekając odpowiedzi rozpięła mój surdut, odchyliła koszulę, tak iż rana stała się widoczną.

— Wciąż jeszcze okropny widok! — powiedziała. — Krwawa gwiazda, która jednak nie zapowiada wojny, lecz piękny, słodki pokój. Nieprawdaż, mój przyjacielu?

Zamilkła i patrzyła wciąż na bliznę. Nagle pochyliła się ku mnie i przycisnęła swe miękkie wargi do rany, iż ciepło jej ust posączyło się po mem całym ciele.

Tak! — rzekła. — Teraz rana będzie ci przypominała mnie, byś dziś wieczorem na pewno się zjawił. Addio, kochanie! Jak dziecko cieszę się tobą i naszym szczęściem. Nie, nie odprowadzaj mnie. Tak lepiej. Do widzenia wieczorem!

I zanim mogłem się podźwignąć, była za drzwiami, a po chwili usłyszałem, że dorożka odjeżdża.

\* \* \*

Czy może sobie pan wyobrazić, w jakim pozostałem usposobieniu? Nie, nie może pan, wszelka wyobraźnia jest na to zbyt ubogą. Kto nie widział tych oczu, nie słyszał tego głosu, nie był przez sześć tygodni pod urokiem...

Dość! Nagła śmierć byłaby w tej chwili dla mnie łaską niebios, gdyż wciąż słyszałem słowa,

które mi powiedziała i ten refren: musisz przyjść, bo jesteś mój, bo nie zadasz kłamu Madonnie! — i zawsze odpowiadał inny głos: to niemożliwe, nie wolno ci przyjść, wszystko lub nic, na zawsze lub nigdy!

Nie wiem, co pan o tem wszystkiem sądzi, czy pan mnie też nazwie, jak Kurcik, tchórzliwym idealistą. Ja sam później tak o sobie myślałem. Ale cóż pan chce? Byłem synem bogobojnego pastora... Tylko łotr daje więcej niż ma.

Walka wewnętrzna nie skończyła się jeszcze. Wybiegłem z domu, nie mogłem znieść ludzkiej twarzy, przez kilka godzin błąkałem się po mieście jak człowiek, który lekkomyślnie poprzysiągł, że dokona morderstwa, a teraz jestmiotany sprzecznymi uczuciami: to wstrętem wobec zbrodni, to obawą o krzywoprzysięstwo. Gdy o mroku wróciłem do domu, powiedziała mi gospodyni, że był tu Kurcik i zapowiedział swe przyjście przed wyjazdem dylizansu. Teraz dopiero przypomniałem sobie, że w południe miałem się z nim zejść. Nie jadłem też przez cały dzień. Kazałem przynieść wina i duszkiem wychyliłem szklanekę. Potem usiadłem, by napisać list, którego treść obmyślałem po drodze; uważałem go za arcydzieło wymowy, szlachetności, dumy męskiej. Jeszcze raz wyjaśniłem jej, co mnie wstrzymuje

od pójścia za nią — rozumie się, że ani słowem nie wspomniałem o jej przeszłości, jej reputacji. Nie mógłbym żyć z dobroci i dochodów kobiety, choćbym ją najsilniej kochał, właśnie dlatego, że ją kocham. A potem następowały słowa pożegnania, najgorętsze zapewnienia wiecznej, niezapomnianej miłości — ach, głupiec! Płomienie na papierze, list o szczęściu, które właśnie niweczyłem, atrament zamiast krwi serdecznej — piękna zamiana! A byłem przytem dumny ze swego włoskiego stylu!

Odczytałem właśnie list po raz wtóry i włożyłem do koperty, gdy zapukano do drzwi i bez czekania na mą zgodę wszedł nieznany mi, wysoki, czarnooki, młody Włoch.

Zapytał: signor Arrigo? — i uklonił się zimno, sztywnie, jak gdyby przed pojedynkiem.

Powstałem, odpowiedziałem skinieniem głowy i wskazałem na krzesło.

— Nie będę dużo czasu zajmował, rzekł; co mnie do pana sprowadza, da się wkrótce załatwić. Duszno tu u pana, a ja — zbliżył dłoń do czoła — cierpię na kongestje.

Podszedłem do okna, otworzyłem je na oścież. Przytem obserwowałem dziwnego gościa. Rzadko widziałem tak piękną postać młodzieńca, twarz,

godną marmuru. A przecież w bladych rysach było coś, co raczej odpychało, niż przyciągało: rys zarazem zmęczenia jak i dzikości, niesamowity, niestały błysk oczu, czasem zadrganie dolnej wargi jak u nerwowego, drapieżnego zwierzęcia.

Był ubrany wedle najnowszej mody, na palcu lewej ręki nosił wielką antyczną kameę, w krawacie tkwiła szpilka brylantowa. Bujne, czarne włosy były rozburzone; stale swemi wielkimi, białymi palcami w nich wicherzył.

— Jestem markiz L. — powiedział, stojąc w środku pokoju. — Zna pan zapewne moje nazwisko, gdyż jest pan u Gemmy niejako moim spadkobiercą. Nie mam zamiaru o to się z panem i z nią prawować. Opuściłem ją, mogła robić, co jej się podobało. Nie robię też przed panem tajemnicy z tego, że rozstałem się z nią wbrew mej woli, by poślubić młodą damę, którą mi ojciec przeznaczył za żonę. Byłem zależny od ojca, groził mi wydziedziczeniem, jeśli się sprzeciwię jego woli. Byłby to niewątpliwie uczynił; mężczyźni w naszym rodzie są konsekwentni i wykonują zawsze to, co sobie postanowili. Nie pozostawało więc nic innego, jak albo Gemmę opuścić, albo zarówno siebie jak i ją pograżyć w ubóstwie, co uczyniłoby nas oboje nieszczęśliwymi.



Rozejrzał się po mojej skromnej izdebce, potem wyciągnął z kieszeni bardzo ozdobną papierošnicę i rzekł:

— Czy pozwoli pan, że zapalę? Jestem nieco wzburzony... Czy można panu służyć?

Podziękowałem odmownym ruchem głowy. Zapalił papierosa, który widocznie nie był kupiony u zwykłego tabaccaro, oparł się o poręcz krzesła i począł:

— Źałuję, że może panu przeszkadzam. Jest to jednak nieodzowne. Będę się skracał, będę się skracał — powtórzył kilka razy — widzi pan, przed trzema godzinami dopiero wróciłem, mój ojciec umarł przed pięciu dniami nagłą śmiercią, przedwczoraj wieczór go pochowałem, wczoraj rano napisałem do mej narzeczonej, że zrzekam się zaszczytu zostania jej małżonkiem, potem jednym tchem, rozstawnemi końmi popędziłem do Rzymu i natychmiast udałem się do domu przy korsie. Wybiegłem na schody; Gemma jest w domu, o tej porze nigdy nie wychodzi, matka jej otwiera drzwi i wita mnie okrzykiem radości. Pytam o Gemmę, z początku robi tajemniczą minę, potem wchodzi do mieszkania, by oznajmić o moim przybyciu, wychodzi następnie i mówi mi, że Gemma jest chora i nie może mnie przyjąć. Miarkuję, że coś jest nie w porządku. Nalegam,

by nic przedemną nie ukrywała. Na szczęście zawsze się mnie trochę bała, toteż dowiedziałem się...

Gwałtownie odepchnął krzesło i począł krążyć po pokoju.

— Wybacz pan — począł po chwili przerwy — nie przyszedłem tu, by pana obwiniąć, uczynił pan to, co zrobiłby każdy na pańskim miejscu. Ale pan pojmie, że mnie to nie może zadowolić. Sytuacja się zmieniła, jestem znowu w stanie pójść tylko za głosem serca, jestem zdecydowany znowu korzystać z mych dawnych praw. Mimo mych próśb i nalegań nie mogłem ujrzeć Gemmy. Matka jej powiedziała mi, że oczekuje ona pana dziś wieczorem. Przykro mi, że muszę panu powiedzieć nieprzyjemne rzeczy: spodziewam się, że pan ustąpi i wybije sobie z głowy dalszy stosunek z nią.

Miałem czas, by odzyskać całkowicie zimną krew.

— Mój panie — powiedziałem, — rozporządza się pan czemś, co nie jest w pańskiej mocy. Gdy mowa o prawach, to znam tylko jedną osobę, która ma prawo godzić się lub odmawiać. Jeśli Gemma zamyka przed panem drzwi, co to mnie obchodzi? Uczestniczę w tem tak niewiele, że za dwadzieścia cztery godzin nie byłbym wogóle

w stanie przyjmować do wiadomości pańskich dziwacznych propozycji. Wyjeżdżam dzisiejszej nocy. Listem tym pożegnałem się z kobietą, której tyle zawdzięczam. Gdy jednak pan mówi do mnie tonem groźby, jestem zmuszony list ten osobiście oddać i panią Gemmę zapytać, czy nie potrzebuje moich usług. Jeśli mnie wówczas odprawi...

— Strzeż się pan! — przerwał, tłumiąc widocznie z trudem swój głos. — Znam upór Gemmy. Dopóki pan tu jest, nigdy pana dobrowolnie nie puści, choćby tylko dlatego. by mnie drażnić. Co się zaś potem stanie...

— Co się potem stanie — odpowiedziałem chłodno, ostro weń się wpatrując — tego ze spokojem będę oczekiwał, panie markizie. O ile znam panią Gemmę, nie ulegnie ona gwałtowi żadnego człowieka, który nie uszanuje jej wolności. Nie wiem, co ona sądzi o pańskim powrocie. Możliwe, że wyrzeze to na niej wrażenie, jeśli się dowie, że zerwałeś pan świetne małżeństwo, by do niej powrócić. W każdym razie muszę ją sam o to zapytać.

Przystąpił do mnie tak blisko, że uczuwałem na twarzy gorący wiew jego drżących ust.

— Nie ośmiel się! — zawołał głosem, który stracił nagle wszelką dźwięczność. — Oddaj mi

pan ten list, a ja go sam doręcę, jedź pan, jedź z Panem Bogiem! Nie mam nic przeciw panu, mam wrażenie, że pan jest uczciwym człowiekiem, ale na rany boskie, jeśli się pan ośmieli i dziś wieczór przekroczy próg Gemmy, zabiję pana jak wściekłego psa! To miałem panu do powiedzenia. Addio!

Ostatnie słowa wypowiedział z taką niepoahamowaną złością, że byłem przez chwilę na to przygotowany, iż rzuci się na mnie i zmusi do walki. Po chwili jednak cofnął się, uklonił grzecznie, jak gdybyśmy najobojętniej z sobą rozmawiali i wyszedł spokojnie z pokoju.

Nagle spokój mną owładnął. Teraz czułem się znów dobrze; wewnętrzne rozdwojenie, które mnie wprzódy tak męczyło, ustąpiło. Wiedziałem teraz, co mam czynić. Nie mogłem bez pogardy dla samego siebie odjechać, zanim ją jeszcze raz zobaczę; a gdyby zażądała, bym dla jej ochrony pozostał, towarzyszył jej w góry, aby ją uchronić przed nagabywaniami tego gwałtownego wielbiciela — czyż mógłbym jej odmówić? Teraz nie byłem więcej biedakiem, którego w chwili kaprysu znalazła na ulicy i uszczęśliwiła swemi względami — teraz mnie potrzebowała, teraz mogłem bez ujmy dla mego honoru i bez przesadnej wrażliwości korzystać i nadal z jej gościnności.

Przez krótką chwilę odczuwałem nieprzyjemne wrażenie. Czy jej środki pieniężne nie pochodzą od tego, przed kim mam ją teraz bronić? Były to jednak nikłe skrupuły wobec tego, że chodziło o bezpieczeństwo jej życia i o mój własny honor.

Wybiła siódma godzina; głód począł mi doskwierać. Wziąłem list i zastanawiałem się przez chwilę, czy nie należałoby mieć przy sobie broni na wypadek, gdyby szaleniec zechciał wykonać swą groźbę; wziąłem jednak tylko laskę, która była w chwili niebezpieczeństwa pomocnikiem nie do pogardzenia i udałem się na miasto w poszukiwaniu trattorii, w której mógłbym się odszkodać dobrą wieczerzą za spóźniony obiad.

Na moje nieszczęście siedział przy jedynym stoliku, który był wolny, attachè mej ambasady; powitał mnie bardzo serdecznie, a kiedy się dowiedział, że mam zamiar dzisiejszej nocy opuścić Rzym, nalegał, bym nie wyjeżdżał, nie pożegnawszy się z ambasadorem. Miał on się wyrazić, iż chce mi w pewnej osobistej sprawie powierzyć pewne zlecenie. Zwróci też uwagę, jeśli po różnych uprzejmościach, których zaznałem od ekscellencji, nie złożę mu wizyty pożegnalnej. Jest właśnie w domu, za pół godziny będzie po wszystkim.

Irytował mnie ten niemiły zbieg okoliczności. Lecz o wymignięciu się nie można było myśleć.

Wsiadłem więc do powozu, pojechałem na Kapitol i poprosiłem o audjencję, której mi oczywiście natychmiast udzielono. Dziwną musiałem mieć minę podczas długiej rozmowy o starożytniej sztuce, w którą się ekscellencja ze mną wdał. Lecz wreszcie i to się skończyło, pożegnałem się, zastałem mego dorożkarza pod bramą, kazałem mu najkrótszą drogą pognać w stronę korsa.

Z wieży wydzwaniano właśnie pół do dziewiątej, gdy wjeżdżałem w korso. Gemma miała na mnie czekać do dziewiątej. Więc jeszcze się nie spóźniłem, chyba na pocztę, do dyliżansu.

Wreszcie stanęliśmy przed jej domem. W tem... właśnie otwierałem drzwiczki powozu... roztwierają się drzwi domu i na progu staje... nie, chwije się jak pijak... wysoka ciemna postać, bez kapelusza, przystaje na chwilę, spogląda w prawo i w lewo, uderza się w czoło, mruczy coś, co brzmiało jakby „Dio mio!“ lub „Sangue di Dio!“ i biegnie wprost w wąską Via de' Pontefici.

W pobliżu nie było latarni; płomyki lampki dorożki migotały słabo; poznałem go natychmiast. Twarz jego biała przez chwilę wpatrywała się w dorożkę, lecz widocznie nie wiele go obchodziło, kto nadjechał. Widocznie pędził go strach. Przeczucie i lęk sprawiły, że mój

język zdrętwiał. Dopiero, gdy był już daleko, począłem krzyczeć. Lecz nie mógł mnie już słyszeć.

Wóznicy powiedziałem, by czekał, i pędem pobiegłem po ciemnych schodach. Cały dom zdawał się uśpiony, również i u Girolama było ciemno. Wybiegam na drugie piętro, znajduję drzwi do mieszkania Gemmy na pół otwarte, przebiegam sionkę, pukam do drzwi przedniego pokoju, w którym mieszkałem. Nie ma odpowiedzi. Otwieram drzwi, drżąc na całym ciele, a wszedłszy, rzucając pierwsze spojrzenie w stronę Gemmy, spoczywającej na otomanie w czerwonym szlafroku, z głową opartą o poręcz. Widziałem każdy rys jej twarzy, gdyż w świeczniku palił się z tuzin świec, a świeciły się też lampy na kominku. Pierwsze wrażenie było: zdrzemnęła się. Gdy jednak na palcach zbliżyłem się, cicho jej imię wypowiedziałem, a teraz bardzo blisko... przyjacielu, co za okropny widok!... tuż pod szyją, po lewej stronie, ciemna plama w sukni, z której sączy się wilgotna struga poprzez pierś, wąska purpurowa nić, przewijająca się poprzez opadłą zwiśle na łono rękę. Moja noga potknęła się o jakiś przedmiot, leżący na dywanie. Nawpół przytomny pochyliłem się i podniosłem... wąski, ostry nóż, który doktor Susina wyciągnął z mych

barków i który obecnie znowu dostał się w me ręce, pokryty świeżą krwią.

Odrętwienie moje trwało tylko kilka sekund; pobiegłem potem przez ciemny przyległy pokój do izby, gdzie stały łóżka staruchy i Bicetty. Palila się tam tylko lampka przed obrazem świętym w kącie; tylko z trudem rozpoznawałem przedmioty, słyszałem jednak głębokie oddechy starej kobiety, która w ubraniu leżała na łóżku, widocznie kompletnie pijana. Gdyż wielka, prawie całkiem wypróżniona flaszka stała na komodzie, a wiedziałem, że co wieczora, ułożywszy dziecko do snu, upijała się do nieprzytomności. Potrząsałem nią, krzychałem, by się jej dobudzić. Gdy wreszcie otwarła oczy i mnie poznała, podskoczyła gwałtownie, lecz ja nie czekałem więcej, jeno zbiegłem ze schodów, począłem się dobijać do drzwi Girolama i zawołałem, by pędem pobiegł po lekarza... panią zamordowano! ... potem znów wybiegłem na schody i pośpieszyłem do nieszczęsnej ofiary.

Pochyliłem się nad nią i próbowałem podnieść jej głowę; wyrwałem z kieszeni chustkę i przycisnąłem do krwawej plamy pod szyją. Ból przywrócił jej przytomność. Na ustach jej pojawił się smętny uśmiech; otworzyła powoli szerokie powieki. Gdy mnie poznała, zamknęła oczy



a wzruszający wyraz radości pojawił się na jej twarzy; ręce jej poczęły się poruszać, jakby szukały moich rąk.

Delikatnie oparłem jej głowę o me ramię i drugą ręką dotknąłem się jej zimnych palców.

— To ty! — szepnęła, mając wciąż oczy zamknięte — teraz mi dobrze. Wiedziałaś, że przyjdiesz; ale dlaczego tak późno? Gdy przedtem zapukano, myślałam, że to ty... matka spała już... sama poszłam, by otworzyć, a to był on. Dziś w południe... nie wpuściłam go, nie chciałam go nigdy więcej widzieć... między nami wszystko skończone... on jednak nie chciał o tem słyszeć. Kochanku mój, drżałam, gdy pomyślałam, że ty go tu zastaniesz, on jest taki niepohamowany w swej złości; wiedziałam, że jeśli się z nim nie rozmówię... nie spróbuję go powstrzymać... z pewnością zemści się na tobie... Tak! podeprzej mnie nieco... jestem śpiąca... oczy się mi zapadają... Potwór! Bestja! Gdybyś był słyszał, jak tu szalał, groził, płakał, leżał u kolan, potem ścisnął moje ręce, iż z bólu chciałam krzyczeć... ja się jednak śmiałam i traktowałam go jak chłopaka, którego się za karę stawia do kąta. Chciał się o tobie dowiedzieć..., powiedziałaś mu, że jesteś dobrym człowiekiem i moim przyjacielem, subtelniejszym

niż on... powiedziała mu, jakto się stało. Tu leży jeszcze nóż — powiedziała — była to okrutna rana... tu w łopatce... bez pomocy Madonny nie bylibyśmy go uratowali. A on... nagle wyjął nóż z pudełka, długo go oglądał i począł się śmiać takim głosem, że mi się włosy na głowie zjeżyły. Gemmo! — zawołał — przysięgnij mi na Madonnę, że go nigdy więcej nie zobaczysz, bo... — przystąpił do mnie i chwycił moje ramię i począł je ścisnąć. Przysięgnij! mruczał. Ujrzałam nad sobą jego twarz... białka jego oczu błysnęły, zęby jego zgrzytały... w tej chwili cała moja duma się obudziła... wytrzymałam jego groźny wzrok i powiedziałam: Idź precz! wiesz, że groźbami u mnie nic nie wskórasz. Robię, co chcę... gdy się jest dla mnie łagodnym, jestem i ja łagodną..., kto mnie chce zmusić... Przysięgnij! powtarzał coraz głuchszym i dzikszym głosem... przysięgnij!... Nie! nigdy! powiedziałam głośno i zebrałam wszystkie siły, by go odtrącić... W tem... mój Boże!...

Jej rysy nagle się zmieniły, głos jej zamarł, z trudem poczęła dyszeć... Zimny pot zrosił mi czoło. Zdało mi się, że to już koniec. Kurcz, który wstrząsał jej ciałem, ustąpił, raz jeszcze otworzyła oczy, a blade jej wargi uśmiechnęły się.

— Powalam cię całego krwią — szepnęła — co za głupia historia!... ale lekarz, który cię postawił na nogi... a ja jestem jeszcze taka młoda... byłoby to tak pięknie, gdybyśmy byli szczęśliwi!... Głupi chłopaku, jakiś ty blady... Nie, nie ma niebezpieczeństwa... Zdejm mi suknię z pleców, cięży mi jak ołów... widzisz, prawie w tym samym miejscu... nie boli... powoli, powoli!... Teraz mi lepiej... powietrze chłodzi... jestem piękna, nieprawda?... Te barki, ta pierś... wszystko byłoby twoje... oh! a teraz... Arrigo! — zawołała nagle i ucałowała mnie jedyny raz w usta — bo ja muszę umrzeć... umrzeć... umrzeć!

Pochyliłem się nad nią, głośno schlochając, otworzyła usta; gdy przycisnąłem do nich moje wargi, uczułem, że jej zęby się ścisnęły, potem głowa opadła i w ramionach trzymałem trupa.

\* \* \*

Milczał, a ja... cóż miałem powiedzieć? Siedzieliśmy przez dziesięć minut obok siebie bez słów, niebo się zachmurzyło, trudno już było dostrzec pyszną linję kopuły Świętego Piotra i smukły grzbiet Monte Mario poprzez mgłę, która się unosiła nad Tybrem. Tylko robaczek świętojański krążył dokoła nas i opadł wreszcie na brzeg

mojej szklanki. Wreszcie zbudził się z głębokiego zamyślenia.

— Drogi przyjacielu — powiedział — nie jest to dobrze, że opowiadaniem swem przerywam spokój grobowy umarłych... Jak widzę, i pana to mocno wzruszyło. Lecz pojmie pan... nie miałem spokoju. Jest to niedorzecznością, przywiązywać wagę do pewnych dni, daty są przesadami, nonsensami, punktami tylko w nieskończonej linii. Lecz człowiek jest niewolnikiem absurdów. Chodźmy! Musimy wreszcie stąd pójść. Spodziewam się, że się pan na mnie nie gniewa, iż przed panem wskrzesiłem te stare upiory...

Uścisnąłem jego dłoń, wstaliśmy, zapłaciliśmy za wino i ruszyliśmy do domu.

— Jak pan to wszystko wtedy przeżył!... powiedziałem.

— Tak jest, — odpowiedział, — sam się temu dziwię. Ale gdy nie dopomoże mały kawałek wyostrojonej stali, nie do wiary, ile wytrzymać mogą nasze muszkuły! Nie straciłem nawet przytomności; trzymałem ją wciąż przytomnie w ramionach, jak kochanek swą narzeczoną. Potem usłyszałem na schodach krzyki i hałasy. Mnóstwo ludzi wpadło do pokoju, sąsiedzi, domownicy, gawiedź, jakiś lekarz, którego z ulicy wprowadzono, wreszcie policja. Wraz z nią wpadła

i starucha, rzuciła się wyjąć na umarłą, wyrywała sobie włosy i podskoczyła wreszcie jak furja, wskazując na mnie jako na mordercę. Wiedziałem oczywiście dokładnie, jak się rzecz miała naprawdę, lecz 'cóż mi to pomagało, że zapewniałem o swej niewinności? Nikt nie widział markiza, wchodzącego do domu, nikt nie chciał wogóle wierzyć, że jest w Rzymie, gdyż widziano go odjeżdżającego do Neapolu na ślub. Brutalne dłonie ujęły mnie wśród wściekłych okrzyków i grózb i nie mogłem być nawet obecny, gdy moją umarłą kochankę składano na łóżku. Nie wolno mi było po raz ostatni ucałować jej rąk, jej czoła. Nawet nie pozwolono mi pożegnać się z dzieckiem, które podczas całego tego okropnego zdarzenia spokojnie spało.

Tej samej nocy mnie przesłuchano. Tasama niewiara i tosamo zakłopotanie, gdy żądano, bym dał jakiś dowód mej niewinności. Tak było też i w następnych dniach. Strażnik więzienny powiedział mi, że Kurcik robi rozpaczliwe wysiłki, by się do mnie dostać, że również i ambasador się ujął za mną — wszystko nadaremnie. Dopiero czwartego dnia, gdy się już oswoilem z myślą, że padnę ofiarą rzymskiej sprawiedliwości i gdy się tylko tem pocieszałem, że nie przeżyję długo ukochanej kobiety — nagle otwarły się drzwi mej celi i wszedł wierny przyjaciel.

Padliśmy sobie w ramiona i wyplakaliśmy się. Nie byłem wcale ciekaw, co mi ma do powiedzenia i nie pytałem też o nic; gdyśmy sobie spojrzeli w oczy, tylko to jedno mogliśmy w nich wyczytać: nie ma jej więcej między żyjącymi...

Potem począł mi opowiadać, że pól Rzymu uczestniczyło w jej pogrzebie, nie tylko żebracy, którzy wszyscy ją znali, lecz również i najwytworniejsza młodzież, w długim szeregu powozów. Gdy już grób był poświęcony, nagle wszczął się ruch w tłumie i ze stu ust odezwało się wołanie: markiz! Był to on rzeczywiście, bez kapelusza na głowie, w zupełnie zaniedbanym stroju; na twarzy rysowały się ślady szaleństwa. Przystąpił do otwartego grobu, wyciągnął ramiona i zawołał:

— Teraz będziesz miała spokój, więdźmo, i nikogo więcej nie będziesz doprowadzała do szaleństwa. Dobranoc — dobranoc!

A potem z dzikim śmiechem:

— Widzisz, że stać się musi to, co ja chcę? Leżysz teraz w łóżku; czy słuchasz, jak do drzwi puka ten drugi? On nie przyjdzie! On wie, że śmierć stoi na twym progu. Szkoda! Wolałbym, by się było stało inaczej, ale nadewszystko sprawiedliwość!

Wyrzucał wciąż z siebie potok bezsensowych słów, aż otaczający opamiętali się i poczęli gwałtem go usuwać. On jednak opierał się;

wskoczył wreszcie do grobu; wołając, by go razem ze zmarłą zasypano ziemią, gdyż nie może patrzeć w słońce, które jest tak czerwone jak rana na szyi kochanki.

Musiano go wreszcie związać i w ten sposób odprowadzić, poczem grób pokryto wieńcami i kwiatami.

Ja zaś byłem wolny!

Jak zdołałem przeżyć najbliższe czasy... nie wiem. Jedynej pociechy, którą byłbym miał, pozbawił mnie los. Chciałem bowiem zobaczyć dziecko, przycisnąć do serca biedną sierotkę i stale się nią zaopiekować. Mimo mego ubóstwa mogłem się przecież podjąć, być ojcem i opiekunem Bicetty. Nie chciałem jej pozostawić u złej staruchy; zamierzałem zabrać ją z sobą i wychować razem z memi siostrami. Z Kurcikiem poszedłem do domu, którego widok przypomniał mi całą grozę ostatnich przeżyć. Gdy przechodziłem obok drzwi Girolama, wyszła jego żona i załkała głośno na mój widok. Zapytałem o dziecko. Przed kilku dniami starucha znikła, napróżno wszędy czyniono poszukiwania. I ja też poruszyłem niebo i piekło. Lecz wobec ówczesnych fatalnych stosunków w rzymskiej policji, nie wydały poszukiwania żadnych wyników. Wszelkie ślady przepały, jakby staruchę z dzieckiem ziemia pochłonęła.





*WESELE NA KAPRI*



---

Już zbyt długo rozkoszowaliśmy się wiosną neapolitańską. Należało się wreszcie rozstać, jeśli mieliśmy jeszcze zastać naszych przyjaciół w Rzymie. Nie mogliśmy się jednak zdobyć na rozpoczęcie podróży na północ, nie zwiedziwszy choćby w przelocie naszego ukochanego Kapri.

Było to w dzień Zielonych Świąt. Złote słońce promieniowało dokoła, gdy w Santa Lucia wstępowaliśmy na mały parowiec. Mieliśmy wrażenie, jak gdyby powietrze, otaczające ten cudny brzeg, nigdy nie było czystsze, miasteczka wzdłuż zatoki aż po Sorrento, wyzierające z pośród bladej zieleni ogrodów oliwnych i pomarańczowych, nigdy nie wyglądały jaśniej i świąteczniej. A cóż dopiero nasza wyspa, tonąca w fioletowych oparach... E una magia! — powiedział kapitan okrętu, który przecież widok ten podziwiał poraz tysięczny.

Toteż podróżni pierwszej klasy nie długo pozostawali na ławkach pod wielkim, płóciennym dachem. Jeden za drugim udawał się na przedni pokład, a nawet stary Szkot z dwoma rudemi

córkami, którego stale widzieliśmy zagłębnego podczas najpiękniejszych przejazdów w książkę podrózną, zamknął ją i poszukał sobie na burcie miejsca, by raz przecież bez opieki swego „Murray'a“ rozkoszować się cudami nieba i ziemi.

Właśnie powstałem, by pójść za tym przykładem, gdy moja żona zwróciła uwagę na dziwną parę: starszą damę i młodzieńca, nie zwracających na swe otoczenie najmniejszej uwagi, zagłębnionych we własne sprawy tak dalece, iż nie raczyli zaszczycić ani jednym spojrzeniem wspałości, dokoła nich się ścielących.

Otyła, niska dama siedziała skulona, pochylwszy podbródek na pierś; ciało jej otoczone było fałdzistym, staroświeckim płaszczem jedwabnym, na kolanach miała małą torebkę podrózną, a siedziała tak znieruchomiła, iż można by ją uważać za śpiącą, gdyby od czasu do czasu cichem westchnieniem i jękiem nie zdradzała, że wcale nie śpi i bardzo dobrze słyszy, co do niej mówi półgłosem młody jej towarzysz. Z pod wielkiego, słomianego kapelusza, który nosiła na głowie, można było dojrzeć tylko część szerokiej, starej twarzy, broniącej się uparczywie przed promieniami słońca, jak sowa, która się zabłąkała w jasny dzień. Młody człowiek u jej boku był wybitnie przystojny, miał wytworną,

świeżą twarz, okoloną ciemnym włosom, pokrytym czarnym kapeluszem; odziany był w nowiutkie, zgrabne letnie ubranie. Już na pierwsze spojrzenie zyskiwał sympatję dobroduszością, z jaką się odnosił do starej damy, na którą wszystkie jego natarczywe słowa zdawały się nie wywierać najmniejszego wrażenia.

Właśnie mijaliśmy ich, gdy przypadkowo w tejże chwili stara dama się podniosła. Przyjrzała się nam uważnie i uczyniła ruch jakby podczas niespodziewanego spotkania z dobrymi znajomymi. I ja też miałem wrażenie, że skądś znam tych ludzi. Moja żona szepnęła mi nazwisko, podszedłem do starszej pani, która z pewnem zakłopotaniem postąpiła o krok, i przywitałem się.

— Znamy się wprawdzie tylko z widzenia — rzekła moja żona — jesteśmy jednak rodakami i spotykamy się na obczyźnie, pozwoli więc pani, że zapytam, czy nie moglibyśmy być w czem usłudni. Mam wrażenie, że pani jest cierpiąca. Gdybym więc pani mogła służyć wodą kolońską lub...

— Jest pani bardzo łaskawa — odpowiedziała stara dama — ale to, co mi serce uciska, nie da się uleczyć wzmacniającymi kroplami. Jeśli pani chce wiedzieć, dlaczego się czuję źle... proszę

jego zapytać, on jest winien, że matka jego na stare lata przeżywa tak wielkie zmartwienie. Przysłowie mówi prawdę: najwięcej cierpi się od własnych dzieci, gdy są małe, męczą nam ciało, gdy są duże — serce. Pozwalam sobie przedstawić mego jedyne go syna, artystę malarza z zawodu. Żałuję, że wśród tak smutnych okoliczności...

— Ależ mammo!... — prosił młodzieniec, którego twarz po uszy poczerwieniała.

— Dlaczego nie miałabym powiedzieć? — poczęła matka, westchnąwszy przedtem — przecież chcesz po kilku dniach to rozgłosić; musisz się zatem zgodzić, że ludzie będą swoje zdanie wypowiadali. Szanowna pani raczy przyjąć do wiadomości, że udajemy się właśnie na oględziny. Gdyby mój poczciwy mąż żył jeszcze, nie byłby się nigdy zgodził, ale biedna, samotna wdowa... a krewnych, którychby chłopak musiał respektować, nie mam... jest pełnoletni, ma już dwadzieścietrzy lata... i odważył się, proszę sobie wyobrazić, napisać swej matce: Jeżeli nie dasz pozwolenia, mateczko, bym poślubił Angiolinę, zastrzele się. A że jest gwałtowny... tak, jesteś gwałtowny, choć doprawdy byłeś pozatem zawsze dobrym synem; wie pan, nie chciał objąć ojcowskiego interesu, mój mąż miał mianowicie, o ile panu może wiadomem, wielki browar, potem go sprzeda-

łam... tak, jest tylu malarzy w Monachjum, cóż dziwnego, że młody człowiek dał się uwieść... wesołe życie... włóczęga... modelki... słowem, nie mogłam przeszkodzić, a ma on też zdolności, jak to powiedział ten z „Wiadomości“, gdy wystawił pierwszy obraz na wystawie. Lecz czyż nie mógłby, jak tylu innych, spokojnie w Monachjum malować obrazy i wreszcie poślubić uczciwą dziewczynę, a nie taką... taką...

Nie dopowiedziała. Ujrzała, że syn nachmurzył twarz, gotów wyprosić sobie każde drastyczniejsze określenie swej wybranej.

— No tak, Poldku, nie powiem nic. Angiolina jest — powiedzmy — wcieleniem cnoty i piękna, a że nie wniesie ani grosza, to mnie też mało obchodzi. Mamy Bogu dzięki tyle, że nie potrzebujemy się oglądać za pieniędzmi. Ale tak całkiem obca osoba, nie rozumiejąca ani słowa prócz języka włoskiego, dziewczyna, która się nie zna na gospodarstwie, chce wciąż leżeć na słońcu, w najlepszym razie tańczyć lub śpiewać, a te tutejsze dziewczęta mają poność, za przeproszeniem, na sobie tyle robactwa...

— Ile razy mam ci, mamo, powtarzać — przerwał syn — że wyobrażasz ją sobie całkiem fałszywie!

I zwracając się do nas, dodał:

— Ja sam jestem winien temu. Mama myśli, że wszystkie włoski przez cały dzień klekotają kastanjetami i tańczą tarantellę. Pierwszy obraz, który sprzedałem, przedstawiał taką scenę. Ale gdy poznasz moją Angiolinę, mamó...

— Piękne poznanie! Co miałybyśmy sobie do powiedzenia? Że ma piękną buzię, to już widziałam w twym szkicowniku, zaś rodziny jej nie pragnę wcale poznawać. Powiedziałeś przecież sam, że zaszczytu by nam nie przysporzyli ci ludzie, gdyby nas kiedyś chcieli w Monachjum odwiedzić. O, natomiast nasza rodzina... przecież pani szanowna wie, jak mój nieboszczyk mąż był szanowany, mój ojciec był nadwornym furjerem, a jego królewska wysokość, ksiązę Leopold był ojcem chrzestnym mego syna. Mógłby zrobić najlepszą partję, a wprowadza mi w dom taką półcygankę, a matka musi się fatygować do panny-narzeczonej, matka, która nie znosi podróży kolejną i której na wodzie robi się bardzo mdło...

— Morze jest przecież spokojne i gładkie jak lustro, mamó. Jeszcze tylko dwie godziny, a zapomnisz o podróży. A gdy potem zobaczysz, jak piękną jest twa przyszła synowa i jak się ucieszy, że przybywasz...

— Myślę, że najwięcej się będzie cieszyła twoim upominkiem. Sama tego zażądała (przy-



czem otworzyła torebkę podróżną i wyjęła małą kasetkę). Proszę zobaczyć, czy nie piękna ta branzoletka? Taką z rubinami chciała mieć; o te włoszki... na klejnoty są łase jak te sroki... a mój Poldek... naturalnie, natychmiast kupił u najdroższego jubilera w Rzymie. Nie o pieniądze mi chodzi, proszę mi wierzyć, ale dla takiej... takiej...

Syn potrząsał gwałtownie głową i zaczął w wielkiem wzburzeniu ze mną chodzić po pokładzie; zaś moja żona przysiadła się do zasmuczonej matki, by ją w utrapieniu pocieszać.

— Proszę mi wierzyć — zaczął syn — mama jest najlepszą osobą na świecie, tylko jest kobietą starej daty, a z Monachjum nigdy się nie wychyliła, tylko raz w życiu, gdy wyjechała nad jezioro Achen. Napisałem jej, by do mnie do Rzymu przyjechała — pojechałem tam po nią, potem chciałem ją zawieść na Kapri, by sobie obejrzała wprzód synowę, zanim da swe błogosławieństwo — wstrząsnęło nią to wszystko... Daleka podróż, to że się nagle zareczyłem... i... „z taką“ (chciał uśmiechnąć się, lecz mu się to nie udawało). Wie pan, zdaje mi się, że już wybrała dla mnie inną narzeczoną, jakąś złotą rybkę z koła znajomych. Ale ja pójdę tylko za głosem serca; skończyłbym z mą sztuką, gdybym się dał ożenić tak po filistersku! Pojmuje pan to,

a zresztą, jeśli mamie tylko o to chodzi, bym był szczęśliwy...

— A jest pan o tem zupełnie przekonany?

— O, co się tego tyczy — rzucił spojrzenie pełne rozmarzenia w stronę syreniej wyspy, której sylweta rysowała się przepiękną linią na kryształowo czystem niebie — zobaczy ją pan sam i będzie mógł z nią mówić, czego niestety mamusia nie potrafi. Miałem dwa miesiące czasu, by ją poznać... Czy sądzi pan, że byłem tak lekkomyślny i wierzyłem tylko oczom, które zresztą nigdy czegoś podobnie pięknego nie widziały? Nie, szukałem codziennie sposobności, by prowadzić z nią długie rozmowy. Za domem jej rodziców jest ogród, koło niego prowadzi dróżka, tu poprzez mur gawędziliśmy z sobą tygodniami; wie pan, wszystko odbyło się aż przesadnie cnotliwie; dała mi tylko jednego całusa, gdy się zaręczyliśmy; bo o takich amatorach, jak u nas w górach, z całusami i schadzkami, tu z Włoszkami nie ma mowy. One nie dowierzają swej gorącej krwi i lękają się, że gdy dadzą mały paluszek, nie będą mogły zachować przy sobie całej ręki. Chociaż więc, jakby to powiedzieć, nic z tego nie miałem, mogłem nabrać gruntownego przekonania podczas naszych rozmów o jej charakterze silnym i usposobieniu łagodnym.

Nie mogłem się powstrzymać od uśmiechu, gdyż wypowiedział to tak dobroduszenie, jak gdyby był doświadczonym znawcą ludzi i wyświadał swą kapryjską dziewczynę z jej najtajniejszych myśli.

— Charakter? — powiedziałem. — Tego nie brak jej rodaczkom, jeśli nazwiemy pełnem i charakteru dziewczęta, które wiedzą, czego chcą i wprost do zamierzonego celu zdążają. O łagodnem usposobieniu dziewcząt z Kapri słyszę natomiast po raz pierwszy, a pańska Angiolina musi być zaprawdę perłą, jeśli ją Bóg tą właściwością, chociaż skromnie, wyposażył.

Znów pokraśniał na twarzy, lecz raczej ze zmartwienia z powodu mych wątpliwości, niż z zakłopotania.

— Wiem, że ludzie mają uprzedzenia do dziewcząt tutejszych, a zwłaszcza tych z wyspy. A to dlatego, że są dumne i nie rzucają się odrazu na szyję każdemu, kto chce z niemi poromansować; okrzyczano je jako istoty zimne, spekulujące na korzystne zamążpójście. Tak, ale w danym wypadku moja Angiolina nie miała potrzeby przez dwa miesiące trzymać mnie zdala od siebie, zanim mi powiedziała „tak“, gdyż odrazu, na początku, powiedziałem jej, że mam poważne zamiary. Ale ona chciała najpierw zbadać, czy doprawdy

jesteśmy do siebie dopasowani, lękała się, by tam w naszych Niemczech nie zamarzła, jeśliby nasze serca nie gorzały jednakim żarem — nie, ona ma bardzo wiele łagodności w swem usposobieniu, a przytem jest cudnym tworem przyrody, pełnym harmonji. Pan się uśmiecha? Pan pewnie sądzi, że nie jest to wielką zaletą, jeśli brak komu wykształcenia? Tak, ja przynajmniej nie czułbym się szczęśliwszym, gdyby znała datę urodzenia Karola Wielkiego i wiedziała, że Monachjum nie jest stolicą Turcji. O, gdy ona na kogo spojrzy swemi błyszczącemi oczyma... ale poczekaj pan, pokażę panu jej obraz, który namalowałem w dzień naszych zaręczyn. Właśnie mija trzeci tydzień. Następnego dnia wyjechałem, by spocząć się z mamą, niestety, przeciągnęło się to tak długo i nie słyszałem o niej przez cały ten czas. Pisanie listów, wie pan, jest słabą stroną dziewcząt na Kapri; wolą one ustne załatwianie spraw. Lecz tem większa będzie radość i niespodzianka, gdy dziś w południe przekroczę jej próg z mamą.

Skierował się ku ławce, na której pozostawił pakunek podróżny. Nie miałem jednak ujrzeć wybranej serca pana Leopolda. Gdyż podczas naszej rozmowy wygląd morza bardzo się zmienił, powierzchnię sfałdowały długie, głębokie pęknięcia, poprzez które przedzierał się wśród silnych

wstrząsów dziób okrętu, zaś ruchy śruby miały kadłubem okrętowym to w jedną to w drugą stronę krótkimi, silnymi pchnięciami. Słońce świeciło jak przedtem, a wiatr, który tak mocno zwichrzył falę, chłodził przyjemnie w spiekotę południa. Przestało być jednak przyjemnością, w tej miotanej tam i z powrotem łupinie przecinać „świętą falę słońca.“ Dokoła widzieliśmy twarze bledniejące, głowy, wychylające się poprzez burtę, młode małżeństwa, które po raz pierwszy od siebie odskakiwały, by w pojedynkę ulec przypadłościom morskiej choroby. Mare di sotto! — powiedział przechodzący obok nas kapitan, gdy pod dzióbem rozwarła się głęboka przepaść, by się po chwili zawrzeć.

Nic więc dziwnego, że nasza rodaczka była pierwszą, która uległa skutkom wzburzonej fali. Już na jeziorze starnberskiem — oświadczyła — czuła się zawsze fatalnie. Toteż nie trzeba jej było wcale namawiać, by ze swym Poldkiem poszła do kajuty, aby być zdala od „okropnego“ widoku pokrytych pianą przepaścistych fal. Syna natomiast szczydziła choroba morska. Zakochani nie lękają się ognia ni wody...

Gdy jednak zatrzymaliśmy się w Sorrento, gdzie jedni pasażerowie wysiedli a nowi przybyli, ujrzeliśmy ku wielkiemu zdumieniu naszego mło-

dego rodaka z mamą, wylaniających się z kajuty; stara miała śmiertelnie bladą twarz i rozwichrzone włosy, na twarzy syna malowała się rozpacz. Dowiedzieliśmy się, że stan mamy stał się tak groźny, iż na pewne umarłaby, gdyby odbywała dalej podróż. Pozostanie tu, w Sorrento, i nogą więcej nie wstąpi na taki piekielny okręt. Jeśli zależy na tem dziewczynie, by swą teściową poznać jeszcze za życia, niech tu przyjedzie; i tak zbyt dużo zrobiono jej zaszczytu, gdy się tak daleko wyjechało i to dla „takiej“, która nawet pacierza nie potrafiłaby powiedzieć po niemiecku. Uspokajaliśmy zirytowaną damę, że wszystko zwróci się jeszcze ku dobremu; na wszelki sposób jest najrozsądniej, oczekiwać dalszego biegu wypadków tu, w Sorrento, w wygodnym hotelu Vittoria. Pożegnaliśmy się więc, przyczem syn szepnął, że spodziewa się, po rychłym powrocie mamy do zdrowia, jeszcze dziś wieczór barką pojechać na Kapri; liczy na naszą pomoc w nakłonieniu dziewczyny i jej rodziców do wyjazdu do Sorrenta.

Mare di sotto! Również i my mieliśmy się przekonać o złośliwości tego powiedzenia. Gdy po upływie dwóch godzin przybyliśmy do Kapri, nie myśleliśmy zaprawdę o zaznajomieniu się z pięknymi dziewczętami, tylko o łóżku, na którym

moglibyśmy wypocząć po wścieklej burzy. Znaleźliśmy też pokój w hotelu Quisisana, a po godzinie przyszlismy tak dalece do siebie, że storniliśmy wprawdzie od nakrytego stołu w jadalni, ale byliśmy już dość pokrzepieni, by odbyć spacer po ulicach i uliczkach starego miasteczka.

Oto mieliśmy je, nasze stare Kapri, przez tyle lat nie widziane; wąskie, brudne uliczki, ciemne spelunki, przed którymi siedziały kobiety z kądzielami i mężczyźni z narzędziami rzemieślniczymi; chmara zdziczałych chłopaków, żebrzących i wyprawiających przed podróżnymi harce; a ponad tymi stworami ludzkimi, tym brudem i zaniedbaniem, strome, srebrzysto-szare ściany skalne, w których szparach i wklęsłościach rosły od wieków najszlachetniejsze krzewy, mirty, wawrzyny, oleandry. Tak, nie możnaby tego usprawiedliwić, gdyby się wróciło na północ, nie napoiwszy serca i zmysłów tym widokiem wiecznego piękna!

Wyszliśmy właśnie z wąskiej uliczki na rynek, by wrócić do hotelu, gdy ujrzelismy gęstą cizbę, tłoczącą się z przeciwnej strony, stado dzieci, skaczących z krzykiem i wśród śpiewów przed czwórką muzykantów, z których jeden grał na skrzypcach, drugi na klarncie, a dwaj na gitarze. Za muzykantami, zdradzającymi swemi czerwono-

nemi głowami i niepewnym chodem, że wypróżnili już dla uczczenia dnia niejedną szklanę kapryjskiego wina, szła para nowożeńców, najdziwaczniejsza para, jaką sobie można wyobrazić.

Młoda męzatka! — jeden z widzów objaśnił nas, że przed godziną odbył się ślub, zaś obecnie wszyscy sąsiedzi i przyjaciele odprowadzają nowożeńców do domu i składają życzenia — młoda kobietka była prawdziwym dzieckiem kapryjskiem; twarz jak rzeźbiony obrazek Madonny, czarne, gładko przyczesane włosy, przepiękne szare oczy pod długimi rzęsami, blade policzki lekko zaróżowione, cudowne wargi barwy granatu. Doprawdy, niezwykła piękność i osóбка o rzadko spotykanym uroku. Figurka ta tkwiła w jasno-niebieskiej sukience z lekkiej welny, tak iż rozkoszna ta postać sprawiała wrażenie wędrującego drzewka bzu. Na czole błyszcząły kwiaty pomarańczowe pod tiulowym welonem, ręce były przesłonięte rękawiczkami z jasno-niebieskiego jedwabiu, małe nóżki przybrane w pantofelki atlasowe tej samej barwy.

Obok tej księżniczki z bajki, po której minie wcale nie można było poznać, jak się czuje podczas tego triumfalnego pochodu, kroczył wielce dziwaczny małżonek: chudy, niepokaźny giovinotto o żółtawej twarzy, głupawo się uśmiechający i usiłujący przez podciągnięcie brwi nadać sobie



wyraz powagi. Nowe czarne ubranie zwisało nie-  
dbale na jego niezgrabnem ciele, czerwona chustka  
powiewała dokoła chudej szyi, wysoki cylinder  
szklił się w słońcu. Prócz gałązki pomarańczy na  
klapie surduta miał w lewej ręce bukiet, który co  
chwili zbliżał do nosa. Prawą ręką, przybraną w  
cytrynowo-żółte rękawiczki, podtrzymywał dwa  
bladoniebieskie paluszki swej młodej małżonki,  
jakby ją chciał przedstawić zgromadzonej publicz-  
ności: Patrzcie, najpiękniejsza dziewczyna na  
Kapri, a ja jestem czarodziejem, który ją wam  
wszystkim sprzątnął z przed nosa!

Szczęśliwego zdobywcę witano z uszanowa-  
niem. Ani śladu kpiny, ani jednej uwagi z powodu  
nierównej pary lub ubolewania, że tak piękna  
istota otrzymała tak śmiesznego towarzysza ży-  
cia. Uprzejmy kapryjczyk, który nam przedtem  
powiedział, że właśnie odbył się ślub tych dwojga,  
widocznie również nie wątpił, iż związek ten był  
zawarty w niebie.

— Jest to wielkie szczęście dla dziewczyny —  
tłumaczył nam — że mając zaledwie siedemnaście  
lat, wyszła tak świetnie za mąż. Jest ona córką  
handlarza owoców, który z ciężką biedą się utrzy-  
muje; wniosła do małżeństwa tylko odrobinę mło-  
dości i piękności. Mąż jej, signor Aristide, wziął  
ją, by się tak wyrazić, senza camicia; dopiero

przed czternastu dniami wrócił z Rio de Janeiro, gdzie prowadzi handel południowymi owocami, pomarańczami, oliwkami i figami; w ciągu kilku lat stał się bogaty, bardzo bogaty i nie brakło mu niczego, prócz żony. Nie miał jednak ochoty poszukać sobie żony za morzem. Chciał mieć rodaczkę i zaraz pierwszego dnia po swym powrocie spotkał swą obecną żonę, którą znał jeszcze jako dziecko; spieszył się, gdyż nie mógł zbyt długo oddalać się od swego interesu, więc zaraz następnego dnia załatwił się ze wszystkim; pojutrze parka wsiądzie na statek, by odjechać do nowej ojczyzny. Wszyscy młodzieńcy zazdroszczą mu wyboru, a wszystkie dziewczęta jej, gdyż ma on lekką rękę, a łańcuszek dokoła jej szyi i broszka i trzy pierścienie, które błyszczą na jedwabnej rękawiczce — wszystko jej podarował.

Oczywiście, strzegliśmy się wyznać, że młoda kobietka mimo wszystko nie wydała nam się godną zazdrości. Jednak piękny mieliśmy widok, patrząc, jak kroczyła, witana z wszech stron, gdzieś obrzucana kwiatami i confetti; przed nią huczące dźwięki — kilka dziewcząt, idących w pochodzie, potrząsało w taktie tamburinami — za nią rojowisko gości weselnych, a nad nią szafirowy baldachim kapryjskiego nieba. A choć jej twarzyczka nie promieniowała pełnią szczęśliwości,

zasmuconą doprawdy nie była! Bowiem te poludniowe Włoszki nie są zaiste sentymentalnymi istotami, a ten mały siedemnastolatek wiedział zapewne zbyt dobrze, czemu zawdzięcza, że „senza-camicia“ znalazł tak łatwo męża.

Przez chwilę pomyślałem, by się wywieźć czegoś o narzeczonej naszego młodego rodaka. Lecz zapomniałem go zapytać o nazwisko jej rodziców i o adres, zaś trudno przecież byłoby obejść wszystkie Angioliny na wyspie, aż znajdę poszukiwaną.

Powróciliśmy więc do hotelu, zjedliśmy obiad i wózkami kazaliśmy się zawieźć wspaniałą drogą, wysoko nad morzem biegnącą, do Anacapri, by tu aż do zachodu słońca rozkoszować się zachwycającym widokiem Ischji, Neapolu, Wezuwjusza i wybrzeża aż do Punta di Sorrento. Tu w górach mieszkają też wytworniejsi ludzie niż w miasteczku, przepelnionem podróżnymi, gdzie wszyscy, młodzi i starzy, polują na wyzyskanie bezbronych forrestierów. Mieliśmy też w ogrodzie, do którego weszliśmy, znęceni cudnym widokiem, dowody wielkiej gościnności: właścicielka sadu podała nam talerz pomarańcz, córki jej obdarowały nas kwiatami, i odmówiły stanowczo zapłaty, którą ofiarowaliśmy.

Gdy wieczorem siedzieliśmy samotnie na terrasie ogrodowym naszego hotelu, spoglądając, jak

na niebie gwiazdy wyblyskują i rozkoszując się zapachem pomarańcz, unoszonym przez wiatr, idący od morza — nagle żona moja powiada:

— Jakby to było pięknie, gdyby cicha noc nieco się ożywiła, gdyby na terasie zabrzmiały dźwięki gitary i tamburina, a kilka pięknych, młodych par zatańczyło tarantellę... Wiesz, nigdy jeszcze nie miałam sposobności zobaczyć prawdziwą tarantellę. To, co się widzi na balu maskowym lub w teatrze, jest przecież tylko karykaturą.

— Wątpię — odpowiedziałem z uśmiechem — by czy dziki oryginał bardzo ci się podobał. Przed laty często widziałem tarantellę; nie brakło dzikości, natomiast brak było gracji i piękności. Najstarsze baby i najotyłsi mężczyźni skakali dookoła izby z pokrzywionymi nogami jak oszalałe żaby. Może jednak dziś będzie inaczej.

Zwróciliśmy się do gospodyni, siedzącej z córkami w ogrodzie pod drzewem i również rozkoszującej się ciszą nocy. Potrząsnęła głową. Innym razem nie byłoby nic łatwiejszego, jak zamówić z pół tuzina chłopców i dziewcząt i kazać im zatańczyć. Lecz dziś wszyscy są na weselu, a jeśli chcemy zobaczyć, jak się tańczy tarantellę, musimy się tam udać.

— Jesteśmy obcy. Jakże moglibyśmy...

— O, będzie to zaszczytem dla signora Aristide i jego młodej żony. Annetta państwo zaprowadzi. Z pewnością nie pożałujecie tego.

Zawołała starą służącą, która w pobliżu podlewała grządki jarzyn i po chwili ruszyliśmy w drogę do domu weselnego.

Był on ukryty wśród ciemnych uliczek, w których ostre zapachy gotowanych w oliwie ryb, cebuli i chleba świętojańskiego mieszały i jeszcze bardziej podejrzanemi wyziewami. Z dala można było poznać nasz cel. Z otwartych, jasno oświetlonych okien dolatywały namiętne odgłosy brzęczących tamburin, chrobotających skrzypiec i przytupujących nóg.

Wąskie, kamienne schody na zewnątrz domu prowadziły na pierwsze piętro. Na dole znajdował się sklep, w którym młoda narzeczona pomagała rodzicom w sprzedaży jarzyn i owoców, aż ją los wyznaczył, by po drugiej stronie oceanu prowadziła ojcowski interes, ale w wielkim stylu.

O tej porze sklep był oczywista zamknięty; weselisko odbywało się na piętrze, w izbie, pozbawionej wszelkich ozdób. Na brudnych, szarych ścianach nie wisiały nawet litografie Garibaldi'ego lub Wiktora Emanuela, lub olejodruk Matki Boskiej.

Z trudem przedostaliśmy się przez gromadę dzieci, stojących pod domem i na schodach, i ma-

giczną siłą przykutych do jasnych okien i namiętnej muzyki tanecznej. Na górnych stopniach schodów stali młodzi chłopcy, należący do towarzystwa weselnego; prawie każdy miał kwiat na surducie, niemal wszyscy palili długie, czarne cygara i nucili melodję tańca, który właśnie muzyka przygrywała. Gdy nas ujrzeni, natychmiast się rozstąpili uprzejmie i jeden z nich głośno krzyknął, poczem muzyka zamilkła i goście weselni utworzyli szpaler, poprzez który młoda mężatka wyszła ku nam, serdecznie zapraszając, byśmy weszli.

Widzieliśmy ją teraz całkiem zbliżoną, a wydała nam się jeszcze bardziej piękną i uroczą; mogliśmy się teraz do syta napatrzeć delikatności miękkiej jak aksamit skóry i blaskowi jej oczu, iskrzących się jak brylanty. Zarazem jednak zwróciła naszą uwagę kompletna oziębłość i obojętność tej młodej twarzy, zachowującej również i w rozmowie zupełnie zrównowazenie i nie ożywionej żadnym uśmiechem. Jej strój był nienaganny, jakby dopiero co wyjęty z szafy; na sukience nie znać było ani jednego zgniecenia, ani jeden kwiatek z jej wianuszka ślubnego nie odpadł — w istocie obraz „fatto a pennello“, jak ją określił stary Kapryjczyk na rynku.

Miała jednak mimo swych siedemnastu lat

manjery damy światowej, nie pozwoliła nam dłużej się usprawiedliwiać, że nieproszeni tu wpadliśmy, poprowadziła nas poprzez gapiących się uczestników weseliska do krzeseł przy ścianie, na których siedzieli najdostojniejsi goście, przede wszystkim rodzice młodej mężatki — małżonek, zdaje się nie miał już rodziców lub też zostawił ich w Ameryce — prócz tego kilku bliskich krewnych, wszyscy w niezbyt odświętnych strojach, mężczyźni w rękawach, z wyjątkiem młodego żonkosia. Młoda kobieta, ciotka narzeczonej, siedziała obok tego szczęśliwca, mając na łonie grube niemowlę, które zupełnie otwarcie karmiła piersią. Nie przeszkadzało jej — w załatwieniu tych macierzyńskich agend również i to, że narzeczona nas ku niej poprowadziła, by nas z sobą zaznajomić. Przy tej niewieście posadzono moją żonę; miała więc obok siebie narzeczonego, który jednak milczał jak zaklęty i z podciągniętymi do góry brwiami wciąż się uśmiechał. Tem mowniejszą była młoda mężateczka, obok której przyszło mi usiąść. Nie mogłem się dość nadziwić temu, z jaką zimną krwią i wprawą ta młoda istota bawiła zupełnie obcego jej człowieka, jakby królowa balu, która w kotyljonie znajomemu tancerzowi udziela ekstratury. Oświadczyła, że uważa to za wielki zaszczyt,

żeśmy przybyli na wesele. Jesteśmy zapewne Anglikami lub Francuzami. Na weselu jednej z jej koleżanek była pewna rodzina amerykańska; byli to bardzo mili ludzie, a panienki nawet za-  
tańczyły. Terantellę? Nie, tego tańca nam nie pokaże, zniszczyłaby swą sukienkę, a zresztą tren jej ślubnej sukni jest za długi. Może potem taniec wirowy, ale nie z mężem, który wcale nie tańczy... jest to prawdziwy uomo posit'vo... kuzyn jej Carlino, będzie bardzo szczęśliwy... ale przede-  
wszystkiem musi moją żonę przedstawić kraw-  
cowej.

— Krawcowej?

— Tak, tej, która uszyła jej suknię. Jest ona według paryskiego żurnalu; zrobiła ją w ośmiu dniach. Czy nie jest piękna? Czy nie jest jej do twarzy?

Przyjęła komplementy mojej żony jako coś samo przez się zrozumiałego, wzięła nas za rękę i zaprowadziła do chudej, starszej kobiety, którą widocznie wyróżniano w tem gronie nader uprzejmem traktowaniem. Była ona prócz narzeczonej jedyną kobietą, która się wystroiła odświętnie; inne bowiem kobiety były w codziennym stroju, a miały tylko ufryzowane głowy i były przypudrowane. Ona natomiast nosiła bawełnianą suknię w wielkie kratki, cudacznie przykrojoną,



szeroki złoty łańcuch na szyi i czarny welonik w cienkich, ciemnych włosach. Mówiła mało i bardzo wyszukanie, miała przed sobą na krześle flaszkę wina i szklanę i spoglądała ku nam z pobłażliwym spokojem, gdy nas „sposa“ przedstawiała.

Odtajała dopiero wtedy, gdy moja żona powiedziała jej wiele uprzejmości na temat jej mistrzostwa w kunszcie krawieckim. Tymczasem widocznie młodzieży sprzykrzyła się pauza, spowodowana naszym przybyciem; muzyka, umieszczona w bocznej izbie obok drzwi, rozpoczęła znowu grać i poczęła się terantella, wedle melodji „Già la luna 'mmiezzo mare“, tańczona przez kilka par, wprawdzie bez bacchicznej dzikości, ale też bez wstrętnych grymasów starych rozwydrzonych bab i chwiejących się na nogach pijaków — jak to ongi widziałem.

„Sposa“ zajęła znów miejsce między moją żoną a mną, młody żonkoś mlaskał językiem i porykiwał co chwila głupawo, ojciec narzeczonej zakradł się do bocznej izby, gdzie kilku osiwiałych obywateli siedziało przy flaszkiach i dymiło z krótkich fajek okropny tytoń. Scena poczyniała być już mniej zabawną i interesującą, gdy w tem muzyka umilkła, tańczący zatrzymali się, a z wszystkich kątów izby lunął w stronę młodej pary

i honorowych gości deszcz kwiatów i confetti. Chwytałiśmy, co na nas spadało i chcieliśmy oddać młodej pani. Ona natomiast zebrała wszystko, co tylko ująć zdołały jej małe rączki w niebieskich jedwabnych rękawiczkach i wręczyła mojej żonie; zaś mnie do butonierki wsadziła bukietek kwiatów.

Wkrótce potem, gdy tancerze rozprószyli się znów w bocznej izbie i na schodach, przystąpił do nas jakiś mały, nieco skarłały człowieczek z ogoloną głową i skośnemi, chytremi oczkami, trzymający w lewej ręce talerz z dwoma napełnionemi winem szklankami. Prawą dłoń położył patetycznym ruchem na pierś i począł recytować wiersz, którym nas, obcokrajowców, swem przybyciem uszczęśliwiających młodą parę, serdecznie powitał i prosił, byśmy z nim kielich wychylili.

Podał, pięknie się ukloniwszy, jedną szklankę mojej żonie, zaś nadpiwszy kropelkę z drugiej, podał mi ją; wszyscy dokoła poczęli krzyczeć: Evviva!

Wszystko to odbyło się tak uroczo, wiersze, które widocznie były zaimprovizowane, brzmiały tak melodyjnie, że wpadliśmy w doskonały humor i półgłosem wypowiedaliśmy sąd nasz o tem, z jaką naturalnością i przyzwoitością ci wyspiarze obchodzą surowe czystości. Tu zupełnie wyczu-

wać się nie dawała dzikość i brak umiarkowania naszych chłopskich weselisk, żaden pijak nie krzyczał i nie ryczał wśród dźwięków muzyki, zaś matka narzeczonej, która siadła w kącie i już się zdrzemnęła, chrapała tak cichutko, iż nikomu to nie przeszkadzało.

\* \* \*

Muzyka znowu poczęła grać i młodzież zaczęła tańczyć powolnym, posuwistym krokiem, widocznie bardzo tu ulubionym. Wtem rozległy się na schodach, pod drzwiami, głośne krzyki; z ożywionych gości zgromadzonej tam młodzieży poznać było można, że ktoś chce się dostać na salę, zaś inni go wstrzymują. Hałas stał się tak wielki, że muzykanci przestali grać. Na progu pojawił się jakiś dryblas i krzyknął coś do narzeczonej, przyczem niezrozumiałym dla nas słowom jego towarzyszyły namiętne ruchy rąk i twarzy.

Zobaczyłem, jak na chwilę jej twarzączka pobladła i straciła swój chłodny spokój. Po chwili jednak powstała, poszła ku drzwiom i znikła za nimi w gromadce młodych chłopców. W sali zapanowała cisza. Wszyscy w napięciu spoglądali ku drzwiom, z za których dolatywały przytłumione szepty. Potem gromadka chłopców, zalegających wejście, rozstała się, a we drzwiach

pojawiła się młoda mężatka, za rękę prowadząc postać, w której ku naszemu największemu zdumieniu poznaliśmy naszego rozkosznego rodaka, kochanego Poldka...

Chłopiec miał teraz zupełnie inny wygląd niż rankiem, gdyśmy go poznali. Loki jego — widocznie w ciżbie zagubił kapelusz — były rozczochrane, twarz trupio-blada, oczy spozierały dziko, nie rozeznając poszczególnych przedmiotów dookoła; stwierdziliśmy bowiem, że kilkakrotnie powiódł wzrokiem w naszą stronę i nie poznał nas. Drżał na całym ciele i poruszał ściśniętą prawą dłoń jak młotem, którym zamierzał coś rozbić. Gdy ujrzał narzeczonego, którego natychmiast poznać było można po czarnym surducie i bukietu w butonierce, wydał okrzyk wściekłości, zgrzytnął zębami i uczynił ruch, jakby się chciał na niego rzucić. Lecz szczęśliwy żonkoś spoglądał na niego zupełnie bezmyślnie i nawet nie wstał z krzesła, gdy ujrzał swą piękną żonę, prowadzącą tego obcego człowieka, zachowującego się jak desperat. A może zdawał sobie sprawę, że ma ona silną dłoń i dość zimnej krwi, by przeszkodzić wszelkiemu złu.

I rzeczywiście młoda jego żonka wciąż trzymała nieproszonego gościa za rękę i poprowadziła go do krawcowej, która bez zdziwienia nań

spojrzała, poczem spokojnie postawiła na krześle szklanę, którą właśnie wypróżniła.

— Ecco — powiedziała „sposa“ najspokojniejszym głosem, jakby szło tylko o przedstawienie szanownej przyjaciółce nowego gościa — oto pan Leopold, o którym pani mówiłam, a oto, panie Leopoldzie, nasza sarta, pani Gigina; wytłumaczy ona panu, dlaczego nie czekałam na pana, tylko wzięłam Aristida. Nieprawdaż, Giginu, że mi tak doradzałaś i że nie zrobiłabyś sama inaczej? Mimo to możemy zostać dobrymi przyjaciółmi i nie trzeba zaraz mówić o śmierci i zabójstwach.

— O, Angiolino! — zawołał oszukany z rozpaczą w głosie — dlaczegoż toś mi zrobiła? Czy nie powiedziałaś mi, że mnie kochasz i chcesz zostać moją żoną? Nie minęły jeszcze trzy tygodnie, a teraz... gdy przybywam i chcę zabrać cię do mej matki... o wężu fałszywy! Oh perfida! Oh donna senza fide! Gdybym teraz wbił nóż w twoje serce...

— Zitto! — powiedziała sarta głębokim, szorstkim głosem — co za pomysł, wpaść tu między weselnych gości i hałasować! Jeśli pan chce wiedzieć prawdę, tak, ja namówiłam Angiolinę, by na pana nie czekała, ze mną niech się pan rozprawi, ale niech pan wierzy, że się nie boję tej

rozprawy. I ja też niegdyś byłam młoda i dość piękna, choć nie tak piękna jak Angiolina, i młodzi ludzie się za mną oglądali, podróżni też, a zwłaszcza malarze. Poznałam ich dobrze i wiem: pittori — burlatori, artisti — uomini tristi.\*) Lecz dajmy pokój dawnym dziejom. Gdy Angiolina do mnie przyszła i powiedziała: Gigino, powiedziała, przyjechał Aristide z za morza, tam się stał wielkim bogaczem, chce się ze mną ożenić, powiedziała — a ja: Figlia mia, weź go i bądź szczęśliwa! powiedziałam, a ona na to: Tak, ale Leopold, ten wyjechał przed ośmiu dniami, i dałam mu słowo, i co mam powiedzieć, gdy wróci? powiedziała, a ja: gdyby to był przynajmniej milordo, powiedziałam, ale tylko malarz, a wiesz przecież: pittori — burlatori, więc nie odtrącaj szczęścia, figlia mia, a suknię ślubną ci uszyję, powiedziałam, choć mało jest czasu, a powiedz pan sam, panie Leopoldzie, jest pan przecież artystą i rozumie się na tem: czy nie wygląda jak laleczka w tej sukience, ludzie tam w Ameryce będą się dziwowali, jak piękne są dziewczęta na Kapri, i jak piękne noszą suknie, które leżą jak ulane. Wprawdzie metr kosztował dziesięć lirów, ale signor Aristide może sobie przecież na to po-

---

\*) Tristo znaczy zły, triste smutny.

zwolić, a jego handel owoców przynosi w każdym razie więcej, niż pańskie bazgroty na płótnie. Angiolina byłaby warjatką, gdyby na pana była czekała.

Ta doskonała mowa, wypowiedziana tak głośno, iż niemal wszyscy w izbie mogli ją słyszeć, cieszyła się widocznie wielkiem uznaniem. Młode i stare głowy przytakiwały, piękna niewierna również, zaś szczęśliwiec, który malarzowi sprzątnął z przed nosa dziewczynę, mlasnął językiem i przystąpił do wymownej obrończyni, by przypić do niej szklanką wina.

Natomiast odparty konkurent zachowywał się pożałowania godnie; wszyscy spoglądali na niego tak groźnie, jakby on był tym, który wyrządził krzywdę dziewczynie. Wreszcie przystąpił do niego narzeczony, jakby mu chciał oświadczyć, że mu wybacza i zezwala na honorowy odwrót. Widziałem, że blada twarz pocziwego chłopaka powlokła się purpurą, otworzył usta i podniósł ściśnioną pięść do góry; wiedziałem, że pociągnęłoby to za sobą nieobliczalne następstwa, toteż postanowiłem wdać się w tę sprawę osobiście; stanąłem za nim i położyłem mu rękę na ramieniu.

Obejrzał się rozwścieczony, myśląc zapewne, że ktoś z wrogami zamiarami doń się dobiera. Gdy mnie poznał, momentalnie ustąpiło jego

wzburzenie; spuścił oczy z takim zakłopotaniem i wstydem, iż mi się żal zrobiło chłopaka.

— Opamiętaj się, młody przyjacielu, powiedziałem, musisz się pan zdobyć na tyle rozsądku, by się nie stać śmieszny. Żeś się w tej przepięknej istocie po uszy zakochał, nikt ci nie bierze za złe. Nawet pod tem cudnem niebem trzebaby długo szukać, by znaleźć podobnie doskonały egzemplarz urody kobiecej. Ale właśnie dlatego młody malarz powinien się czuć szczęśliwy, iż trafem losu nie został mężem tego cudnego zwierzątka. Przypomina pan sobie, że nie bardzo dowierzałem, gdy się pan przechwalał łagodnością usposobienia i uczuciowością swej bogdanki. Mnie, doświadczonemu znawcy ludzi i Włoch, proszę wierzyć: w całej jej rozkosznej postaci tkwi tyle uczuciowości, ile w kamiennym posągu nad drzwiami kościelnymi. Charakter? Tak, ma ona napewne solidny, praktyczny, bardzo dobrze dla pobytu w Ameryce przystosowany charakter. Uszczęśliwi ona swego Aristida w tym stopniu, w jakim on na to zasługuje, zaś pana unieszczęśliwiłaby z całą pewnością. Nie byłaby nigdy panu niewierna; na to ma ona, mimo iż jest kobietą z południa, zbyt mało temperamentu. Ale czy ta cnotliwość wystarczyłaby, by pana przez całe życie odszkodować za wszystko, bez czego pan



u boku takiej syreny byłby musiał się obywać... Chodź pan! Wyglądź czoło, okaż spokojną twarz i zamiast brać to wszystko tragicznie, pokaż pan, że potrafiłeś opanować śmieszność sytuacji.

Wzburzony młodzieniec słuchał z początku moich słów w pewnem osłupieniu. Zwolna jednak w niespokojnych jego oczach poczęło się malować zrozumienie dla stanu faktycznego i gorączkowe drgawki, które wprzód zniekształcały jego twarz, ustąpiły; gdy skończyłem, potrząsnął najpierw kilka razy głową, spojrział potem na utraconą dziewczynę i zwycięskiego rywala, wreszcie wybuchnął głośnym śmiechem, w którym było oczywiście wiele śmiechu przez łzy... Bądźcobądź przyjąłem ten śmiech z większą przyjemnością niż poprzednie zgrzytanie zębami. Podał mi rękę, uścisnął ją mocno i rzekł:

— Dziękuję panu, ma pan zupełną rację. Byłem osłem, kompletnym osłem. Na ostatek byłbym został jeszcze czemś gorszem. A przyzna pan...

Nie dopowiedział rozpoczętego zdania do końca. Gdyż w tej chwili poznał pomiędzy obecnymimoją żonę, poczerwieniał, lecz prędko się opanował, przystąpił uprzejmie i zapytał o powódzenie, tak jakby nic szczególnego nie było zaszło.

Zapytała o matkę... Chwała Bogu, mama czuje się dobrze, jest w Sorrento i będzie się pewnie bardzo cieszyła, gdy jutro z powrotem zobaczy swego syna — bez „takiej“, uzupełniłem w duchu. Po tych słowach poczciwy chłopak zwrócił się grzecznie do swych niedoszłych teściów, którzy byli jedynymi zakłopotanymi w całym towarzystwie.

Lecz „sposa“ pospieszyła z pomocą swym rodzicom. Ujęła uprzejmie Poldka za rękę i poprowadziła go do swego męża, który grzecznie się uklonił i z szlachetnością zwycięzcy podał rękę pokonanemu. We troje przysiedli na krzesłach i poczęli serdecznie i wesoło się zabawiać, przy czem „ten trzeci“ wciąż dziwnie się uśmiechał, a mała kobietka nieustannie szczebiotała i podsycała rozmowę.

Po pewnym czasie wystąpił znowu skarłały człeczek, inprovizator, przystąpił z dwoma, napełnionymi winem szklankami do nowego gościa honorowego, wypowiedział wierszyk, którego osnową tym razem była sztuka i piękno przyrody, zakończył go pięknym zwrotem ku uczczeniu młodego malarza i podał mu szklankę. Uczczony podniósł się, spojrział swemi pięknymi, wyzywającymi oczyma dokoła i zawołał doskonałą włoszczyzną:

— Niech żyją nowożeńcy, szanowny młody małżonek i najpiękniejsza, najwierniejsza mał-

żonka Wychylam ten kielich na ich szczęście i zdrowie!

Wychylił kielich jednym haustem i rzucił go na ziemię, że rozprysł się w drobne kawałki.

W tej chwili zagrała muzyka lekkiego walczyka. Okrzyczany jako „burlatore“, a tak szpetnie okpiony młodzieniec ujął w pół młodą męzatkę i puścił się z nią w tan. Przepiękny był to widok, gdy blado-niebieska figuynka przytulała się do jasnego letniego surduta zgrabnego młodzieńca; każdy z widzów musiał przyznać, że nie łatwo możnaby znaleźć przystojniejszą parę. Widocznie myśl ta zdołała dotrzeć nawet do mózgu narzeczonego. Zmarszczył wąskie, niskie czoło i zapomniawszy palcami wywijać w ślad za taktem melodji, co stale podczas muzyki czynił. Potem jednak spoglądał zupełnie spokojnie jak wszyscy *beati possidentes*; ukontentowanie ich zwiększa jeno zazdrość okazywana przez tych, którzy wyszli z kwitkiem.

Żadna para nie przyłączyła się; dziewczęta stały obok swych chłopców i poruszały się tylko, lekko uderzając do wtóru w tamburiny; w coraz szybszem tempie wygrywali melodję muzykanci, coraz zawrotniej leciała dokoła sali para tancerzy, z wianuszka narzeczonej ulatywały kwiaty, szpilki, przytrzymujące welon, poczęły wylatywać...

basta! basta! słyszano jej błagalny głos, ale bezli-  
tośnie szalał z nią tancerz, wirując do utraty tchu  
dokoła sali, aż wreszcie spoceni muzykanci po-  
tracili siły i wśród najgwałtowniejszego fortissimo  
nagle zamilkli. Szaleniec przystanął, tuż obok  
krzesła męża, spojrział nań kpiąco i krzyknął  
ochryplym głosem: Oto masz skarb, który ci  
z całego serca życzę! — pchnął oszołomioną ko-  
bietkę w stronę prawowitego właściciela, zaśmiał  
się raz jeszcze głośno i torując sobie drogę przez  
ciżbę osłupiałej młodzieży, wypadł z izby weselnej  
— i znikł.

\* \* \*

Zrozumieliśmy, że po tych dziwnych zdarze-  
niach dramatyczne zainteresowanie nasze wy-  
czerpało się; skorzystaliśmy też z pierwszej spo-  
sobności, by niepostrzeżenie opuścić towarzystwo,  
które z największym spokojem zabrało się z po-  
wrotem do tańca i picia.

Żona moja nalegała, bym przed pójściem na  
spoczynek dowiedział się, co porabia nasz młody  
rodak. Lękała się, by w samotności nie zrobił  
sobie coś złego, gdy wobec tylu świadków musiał  
się tak nadludzko opanowywać. Wiedziałem,  
w jakim hotelu miał zamieszkać. Tam też do-  
wiedziałem się, że wpadł do swego pokoju, za-  
żądał flaszki wina i nieco chleba i zamknął się.

Mogliśmy więc być na razie o niego spokojni.

Gdy rankiem następnego dnia znowu zasięgnąłem informacji, powiedział mi kelner, że poveretto — jak go nazwał — przed godziną wynajął barcę i odpłynął do Sorrenta.

Mieliśmy przed sobą pół dnia jeszcze, chcieliśmy bowiem powrócić do Neapolu parowcem, odchodzącym w południe. Wyzyskaliśmy też ten czas jaknajlepiej, odwiedzając w precudny poranek czerwcowy willę Tyberjusza w górach, wśród skał i wałęsając się po małej przystani. Jednak mimo zachwytu nad wspaniałościami, które wchłaniały oczy nasze, wracała wciąż uporczywie myśl o przeżyciach wczorajszej nocy; u żony mojej przeważała litość nad rozczarowaniem biedaka, który zdaniem jej byłby przecież wykrzesał iskrę uczucia z małej, zimnokrwistej rusałki; ja natomiast myślałem nie bez satysfakcji, z jaką rozkoszą poczciwa mama odetchnie, gdy się dowie, że zaoszczędzono jej znajomość z „taką“...

Szczupła, czternastoletnia dziewczynka zносиła nam w południe nasze kuferki podróżne do przystani, trzymając je lekko na głowie, przyczem czarne kosmyki włosów padały na jej czoło i oczy.

Była przejęta, jak zapewne wszyscy na Kapri i Annakapri, dramatem ubiegłego wieczoru i choć jej powiedzieliśmy, iż byliśmy świadkami tego,

co zaszło, uczuwała nieprzeparty przymus opowiedzenia nam całej historii, oczywista z bardzo charakterystycznymi naddatkami i upiększeniami. Można tu było przekonać się, jaką siłą twórczą ma wyobraźnia ludu. Lecz najbardziej nas zdziwiła trzeźwość poglądu, ujawniająca się już w tej czternastoletniej główce.

— Prawda — mówiła — pan Leopold jest piękny, a Aristide brzydki. Lecz ten był lepszą partją. Zresztą sor Leopoldo jest tylko malarzem, a ponadto heretykiem, luteraninem... więc musiało do tego przyjść... s'è scumpinato (rozbiło się)... zresztą pierwszy narzeczony znalazł się jak prawdziwy galantuomo. Si figuri, signora, posłał dzisiaj Angiolinie jako dar ślubny wspaniałą bransoletę, z prawdziwego złota, z trzema wielkimi rubinami, wartości conajmniej czterystu lirów, a może pięciuset, powiedziała Gigina, sarta, a ta się na tem rozumie. Tak, był on doprawdy cara persona, pan Leopoldo, szkoda, że mu się to przytrafiło, lecz nie mogło być inaczej, tak chciało przeznaczenie...

— Czysta filozofja turecka! — powiedziała moja żona. — W Złotym Rogu nie można być mniej sentymentalnym i uczuciowym, niż tu, w tej wspaniałej zatoce, w której urodził się Tasso Biedny Poldek! Zapłacił drogo za naukę!

— Nie żałuj go zbyt — odpowiedziałem. —  
Taniej mu wypadło, niż gdyby osobiście swej  
pięknej lalce włożył bransoletę na śliczną rączkę  
i poprowadził do swej matki w charakterze córki.  
Przypisuję mu tyle zdrowego rozsądku, że już  
po czternastu dniach odetchnie z ulgą jak człowiek,  
który wyratował się z niebezpieczeństwa, zagra-  
żającego życiu i powie sobie: Chwała Bogu!  
S'è scumpinato!...





*NINO I MASO.*

*Opowiedziane według kroniki miasta Sieny.*



---

W tym to czasie — a było to z początkiem  
... piętnastego stulecia — zdarzył się w naszym mieście dziwny i wstrząsający wypadek, zasługujący, by o nim wspomniano na tem miejscu między wybitniejszymi publicznemi zdarzeniami i politycznemi sprawami, by go wyrwano z toni zapomnienia, gdyż poruszył on umysły, zarówno wówczas, gdy zaszedł, jak i przez szereg miesięcy potem z niemniejszą siłą, jak godne pamięci wypadki wojenne lub wielkie klęski i przypadłości.

Bowiem obaj młodzieńcy, których dotyczy to smutne wydarzenie, nietylko byli w całej Sienie znani i lubiani, lecz również i łącząca ich silna i niewzruszona przyjaźń opromieniowała ich w oczach współczesnych blaskiem i niemal niezmierną chwałą, jakby byli ludźmi z zamierzchłych czasów; mówiono o nich tak, jak w starożytności o Damonie i Pitiasie, Oreście i Piladesie, a współobywatele chlubili się posia-

daniem wśród siebie pary przyjaciół, którzy opiewanym przez poetów bohaterom w niczem nie ustępowali, przeciwnie, wspólnym zgonem nawet ich przewyższyli.

Byli dziećmi sąsiadów, wyrosli jednak wśród różnych warstw społecznych. Antonino del Garbo był synem jednego z najwpływowszych i najbogatszych obywateli miasta, który nawet przez kilka lat sprawował urząd gonfaloniera, aż go ciężka, w walkach z Florencją odniesiona rana zmusiła do zrzeczenia się godności i spraw publicznych. Żył on odtąd tylko myślą o wychowaniu jedyne go syna, którego z początku sam wtajemniczał w tajniki wiedzy, równocześnie najlepszym nauczycielom powierzając pieczę nad hartem fizycznym i rozwojem zmysłu artystycznego syna. Nino był nietylko zdolnym, a przytem poważnym chłopcem, lecz również odziedziczył po matce, z domu Calandrini, wielką piękność. Miał on ambicję, by we wszystkich rycerskich kunsztach dorównać swemu ojcu. Toteż wyrósł on na wzorowego młodzieńca, po którym miasto ojczyste mogło się wiele w przyszłości spodziewać.

W domu naprzeciw, nie wytrzymującym oczywiście porównania z casa del Garbo ani co do piękności ani bogactwa, żył skromny złotnik,

majster Buonfigli, któremu przedwcześnie zmarła żona pozostawiła dwoje dzieci; zwały się Tommaso albo Maso i Lisabetta. Uroczą dziewczynką wzdrosła pod opieką starej krewnej, zwanej w domu ciotką Brygidą, zaś syn już od wczesnej młodości musiał pomagać w warsztacie ojca i troszczyć się własnymi siłami o zdobycie szerszego wykształcenia. Udało mu się to, gdyż natura nie obdarzyła go wprawdzie pięknnością, ale za to parą jasnych oczu i dobrych uszu, tak iż nikt nie mógł zauważyć, że na ławie szkolnej przesiedział tylko krótki czas. Gdyby nawet ojciec mógł się obywać bez jego pomocy przy piecu lutniczym i stole cyzelatorskim, nie miał on jednak środków, by opłacać drogich nauczycieli. Bowiern rzemiosło, które mistrzowsko opłnował, przynosiło mu tylko tyle, by utrzymać dom na przyzwoitej stopie i rodzinę zaopatrzyć w środki najniezbędniejsze. Miał on bowiern wadę, iż posiadał zbyt pobudliwe i byle czern nie kontentujące się sumienn; nie wypuszczał też z rąk roboty, aż nie dochodziła do mistrzostwa; najniernsze przeoczenie jednego z czeladników powodowało, że raczej wykończoną robotę rzucał z powrotem do tygla i poczynął odnowa. Oczywista w tych warunkach nie dochodzi się do bogactwa. Lecz tem się nie przejmował ani on, ani

syn, który wprawdzie nie odziedziczył skrupulatności ojca, natomiast tegoż pogodny pogład na świat; toteż co dnia witał życie radośnie i z nowymi nadziejami, aczkolwiek niewiele jego fantastycznych marzeń się ziszczało. Przewszystkiem jednak uszczęśliwiała go miłość ku sąsiadowi, młodemu Nino del Garbo. Nie mijał dzień, by obaj po ukończeniu pracy czy też studjów nie spotykali się, zwykle na wałach, okalających miasto, lub też w lesistych dolinach za bramami; zdało się, że chyba o zbawieniu świata radzą, gdyż rozmowy ich nie miały końca. Od rówieśników zupełnie stronili. Ojcowie godzili się na to; każdy z nich przypatrzył się dokładnie synowi drugiego, by się przekonać, czy zasługuje na zaufanie; uważali oni przyjaźń obu chłopców za mniej niebezpieczną, niż wdawanie się z gromadą nicponiów i urwisów, dorastających równocześnie w mieście.

Gdy obaj chłopcy dorośli, prorokowali kpiarze, którzy przydali im różne przezwiska jak „para miłośna“, „prawa i lewa ręka“, „dwa gołębie“: teraz zakończy się ta nierozzerwalna przyjaźń, rozdziela ich kobiety, które jak wiadomo, zawsze są jabłkiem niezgody między mężczyznami, lub też opanowują z taką wyłącznością zmysły i umysł młodzieńczy, iż niema więcej miejsca dla trze-

ciej osoby, choćby nią był najlepszy towarzysz i przyjaciel.

Mądrale ci przekonali się jednak wkrótce ku swemu wielkiemu zdumieniu, że ich proroctwa nie ziściły się. Ani Nino ani Maso nie zauważyli, że u młodych kobiet i dziewcząt swego miasta są zapisani na liście tych, od których spodziewać się należałoby holdów lub nawet poważniejszych starań. Nie dziwiło to bynajmniej u pięknego Nina, który uchodził za młodego filozofa i ascetycznego dziwaka, natomiast wielce się dziwiono nad chłodem jego przyjaciela, który wprawdzie nie unikał spojrzeń pięknych oczu i wszystko, co na świecie piękne, obserwował z widoczną radością, jednak zdawał się nie czynić różnicy między błyszczącym klejnotem lub kwitnącem drzewem granatowem, a młodą kobietą, kroczącą w pełni kraszy i młodości. Zainteresowanie jego dla ludzi, jako dzieł ważniejszych i rozkoszniejszych od innych tworów przyrody, rozpoczynało i kończyło się na przyjacielu; z płci pięknej zdawała się istnieć dlań tylko Lisabetta, która była o wiele lat młodsza od niego i której strzegł też jak oczka w głowie z troskliwością niemal macierzyńską

Ojciec Nina uznał wreszcie, że nadszedł czas, by syn udał się na studja prawnicze na uniwersytet do Bolonji. To pierwsze rozstanie spr-

wiało obu przyjaciółom takie zmartwienie, jakie odczuwają kochankowie, zmuszeni do rozłąki. Lecz zbyt byli dumni, by kogokolwiek zrobić świadkiem swego bólu. Noc przed wyjazdem Nina spędzili bezsennie w skromnej izdebce Masy. Gdy wczesnym rankiem młody student, odprowadzany przez rodzinę i licznych znajomych, opuszczał miasto, nie było widać Masy. Siedział w warsztacie i pracował nad zdobną rękojęścią sztyletu, który zamierzał przesłać swemu przyjacielowi.

Gdy po miesiącu był gotów z tą robotą, znikł pewnego dnia; nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Ojcu pozostawił kartkę z wiadomością, że za tydzień powróci. Potem dowiedziano się, że piechotą przebył daleką drogę do Bolonji, po to tylko, by dzień jeden spędzić z przyjacielem. Ojciec nie czynił mu wyrzutów, tylko Lisabetta była nadąsana, gdyż nie przywiózł jej od Nina niczego prócz pozdrowienia.

Inne piękne dzieci, które po wyjeździe Nina mogły się spodziewać, że młody samotnik będzie teraz łaskawszy i że uda im się zdobyć jego serce, srodze się rozczarowały. W godzinach, które zwykle dzielił z przyjacielem, oddawał się teraz grze na lutni; wkrótce doprowadził kunszt ten do mistrzostwa. Również pisał piękne pieśni



i rispetti, które śpiewał w pogodnej nocy w ogródku za domem. Lecz żadna z pięknych dam miasta, które podczas przelotnych spotkań na ulicy lub w kościele zachęcały chłopca powłóczytymi spojrzzeniami, nie mogła się pochlubić, że młody lutnista sztuką swą popisował się nocą przed jej oknami.

Wkrótce nadeszły dlań czasy, w których ani myśleć nie można było o grze i śpiewie. Stary majster Buonfigli zmarł nagle i pozostawił synowi troskę o dom i młodą siostrę, liczącą wówczas dopiero piętnasty rok życia. Śmiech znikł z jasnej, dobrodusznej twarzy osieroconego syna; silną dłonią ujął ster gospodarstwa domowego. Dotychczas zajmował się swym rzemiosłem bez zbytniego przejęcia. Obecnie poświęcił się mu ciałem i duszą, gdyż postanowił zebrać dla Lisabettucci pokaźny posag, o co nieboszczyk ojciec nigdy zbytnio się nie troszczył.

Od wczesnego ranka do późnego wieczora przesiadywał przy robocie, a często po północy sporządzał rysunki i wzory dla czeladników, których przyjął kilku; toteż zamożność jego wzrastała ciągle, a także i znaczenie jego w cechu; miał ponadto zawsze tyle czasu, by się spotykać ze swym przyjacielem młodości, który również czasu nie zmarnował i, zdobywszy dyplom dok-

torski, powrócił po kilku latach do miasta rodzinnego. Również i jego rodzice pomarli, w tym czasie, toteż powszechnie sądzono, że młody pan doktor po upływie roku żałoby pocznie się ubiegać zarówno o rękę córy jednego z najbogatszych obywateli, jak też o wpływowę i honorowe stanowisko w zarządzie miejskim. Sądzono bowiem, że miłość i poufałość z synem sąsiada należy do przeszłości, że przyjaźń ich wygasła, gdy tyle lat rozłąki ich rozdzieliło.

Ku wielkiemu zdumieniu dowiedziano się jednak, że młody Del Garbo zgłosił prośbę o przyjęcie do korporacji adwokatów i tego samego dnia zaręczył się z siostrą przyjaciela. Przez pewien czas krążyły na ten temat liczne kpiny i docinki, gdyż ostre języki w Sienie, podobnie jak i we Florencji, nie tak łatwo się uspokajają, gdy mogą żerować kosztem swych bliźnich. Lecz czasem i nad tym niespodzianym wypadkiem przeszło się do porządku, zwłaszcza że przyjaciele, obecnie w trójkę, a raczej, jeśli się wliczy ciotkę Brygidę, we czworo, mało się pokazywali; w cichym ogródku słyhać było przy blasku gwiazd i księżyca: oto Maso gra na lutni, a cieńki głosik młodej narzeczonej mu wtóruje; Nino zajmował się swemi interesami i nie wdawał z nikim w żadne poufałości; toteż ludzie przestali się nimi

zajmować, a znajdowali się nawet tacy, którzy utrzymywali, że tak stać się musiało, że tak a nie inaczej być powinno.

Wesele wyznaczono za pół roku, gdyż Lisabetta musiała sama sporządzić sobie wyprawę, do czego zabrała się z całą gorliwością przy pomocy Brygidy. Wprawdzie nie był to dostateczny powód do tak długiej zwłoki dla narzeczonego, który mógł i bez tylu przygotowań wprowadzić wybraną swego serca w swój zamożny dom — ale Nino, aczkolwiek dawał do poznania, że urocze dziewczę uważa za perłę drogocenną, nie okazywał wcale pośpiechu. Zwróciło to uwagę dziewczęcia, które ze łzami w oczach uskarżało się wobec starej piastunki na obojętność swego narzeczonego. Zdawało jej się, że nigdy nie byłby jej wybrał, gdyby nie była siostrą Masy, który jest jedyną jego miłością. Stara, mimo że i ją razilo postępowanie Nina, pocieszała jak mogła swą ulubienicę, postanowiła jednak dyskretnie wybadać oziębłego narzeczonego, czy też nie jest rybą, jeśli w ogniu tak czułych młodych oczu nie potrafi się rozegrzać. Gdy wieczorami przychodził i z właściwą mu marzycielską pogodnością rozmawiał z Lisabettuccią uprzejmie, ale tak spokojnie, jakby z własną siostrą, wówczas nie zdobywała się jednak na odwagę, by wyrazić

swą tajoną złość; myślała, że to przecież kiedyś się zmieni, gdy płomień własnego ogniska domowego stopi lody.

Zdarzyło się w on czas podczas karnawału, iż pewien wytworny i bardzo zamożny szlachcic wezwał Masę do Wenecji, by zasięgnąć jego porady i pomocy w sporządzeniu biżuterji dla swej córki, którą zaręczył z francuskim księciem. Kosztowności, które od stuleci w rodzinie przechodziły z matki na córkę, należało świeżo oprawić i uzupełnić najpiękniejszymi kamieniami, sprowadzonymi z Lewantu. Maso obliczył, że w przeciągu trzech tygodni upora się z zaszczytnem zleceniem. Lecz tydzień za tygodniem mijał, a miał wciąż zajęcie, musiał sporządzać coraz to nowe wzory i pouczać robotników, jak je mają wykonywać, toteż złorzeczył wielokrotnie, że się wdał w tę pracę.

Gdy wreszcie minął marzec, a nie widać było końca zajęciom w Wenecji, napisał do domu, by w imię boże szykowano się do ślubu, dano na zapowiedzi, zaś jego uwiadomiono o dniu wesela; przyjedzie, choćby go złotemi łańcuchami chciano przykuć do kampanili Świętego Marka.

Na to przez pełnych czternaście dni nie było odpowiedzi, tak iż dręczonemu niepokojem i niecierpliwością nie pozostawało nic innego, jak

posłać zaufanego służącego jako kurjera do Sieny i polecić mu natychmiast powrócić do Wenecji, skoro tylko otrzyma odpowiedź. Posłaniec nie mógł jeszcze dotrzeć do Florencji, gdy młody złotnik otrzymał tak niecierpliwie oczekiwany list. Nie pochodził on z ręki Nina, który już przedtem doniósł, że z powodu przeciążenia pracą zawodową nie może się zdobyć na utrzymywanie stałej korespondencji, ani z ręki Lisabetty. Pisała go niezdarnymi literami, dowodzącymi jednak wzburzenia umysłu, stara Brygida:

Najdroższy bratanku! Kochany Maso!

Odkąd wyjechałeś z domu, zapanował w nim smutek, a jeśli Pan Bóg i łask pełna Matka Boża nie zwróci wszystkiego ku dobremu, śmiech i radość zniknie po wieki z naszego domu, a ostatnie dni twej<sup>1</sup> starej Brygidy upłyną wśród trosk i zgryzot. Ponieważ wiem, że sprawca tych nieszczęść i zmartwień jest ci droższy niż światło twych oczu, długo zwlekałam, by ci o tem pisać, gdyż zdaję sobie sprawę, kochany mój Maso, że dla dokończenia pracy na obczyźnie potrzebujesz swobody umysłu i dobrego humoru, byś nadal zyskiwał uznanie i zawstydział tych, którzy ci zazdroszczą. Jednak drugiej osobie, którą po swym przyjacielu najbardziej miłujesz, jestem winna tyle miłości, iż muszę wreszcie przerwać

milczenie, abyś, dowiedziawszy się o niebezpieczeństwie, jakie jej grozi, mógł coś przedsięwziąć, coby powstrzymało katastrofę, a może z powrotem sprowadziło spokój i szczęście.

Muszę ci mianowicie donieść, najdroższy synu, że serce twego przyjaciela odwróciło się od narzeczonej, twjej niewinnej siostry; od trzech tygodni unika jej widoku, a nie uważa za wskazane przysłać wyjaśnienia, któreby usprawiedliwiło jego nieobecność. Wkrótce po twym wyjeździe przybyła do naszego miasta, jak mówią z Empoli, młoda wdowa, Madonna Violante, szwagrowa naszego podesty, messer Vitelli'ego, którego brata przed kilku laty podczas tegoż handlowych podróży poznała i poślubiła. Gdy wkrótce potem umarł i, nie spodziewając się tak rychłej śmierci, nie zostawił testamentu, postanowili tutejsi krewni młodej wdowy, nie zażywający zresztą zbyt dobrej reputacji, zbyć ją niewielką sumą jako odczepnem. By się przeciw temu obronić, a też by wziąć w posiadanie majątek ziemski swego nieboszczyka męża, znajdujący się w pobliżu miasta, udała się pani Violanta do Sieny, a gdy krewni podesty pokazali jej drzwi, zwróciła się do sądu i poczęła szukać najuczciwszego i najwplywowszego adwokata, jako którego opinia publiczna wskazała jej twego przyjaciela Nina.

Z początku zajął się on tą sprawą z całą sumiennością, gdyż przychodząc jeszcze codziennie do naszego ogródka na godzinkę rozmowy z Lisabettuccią, mówił o procesie i pięknej oskarżicielce tak bezstronnie, jakby to wszystko odczytywał z drukowanej książki. Po kilku tygodniach jednak począł unikać tego tematu, był zakłopotany i skoro nasze dziecko żartem o procesie wspomniało, czerwieniał i mieszał się; wreszcie począł naszą Lizabettę gryść jad zazdrości; pewnego dnia rzuciła mu się na szyję i ze łzami w oczach prosiła, by ten brzydki proces odstąpił jednemu z kolegów, gdyż pozbawia go wesołości, a ją miłości; wtedy uścisnął ją, wyjąkał kilka zakłopotanych słów, uwolnił się z jej objęcia i opuścił, jakby ścigany przez złe duchy.

Od tego czasu nie pojawił się więcej pod naszym dachem, mimo bliskości naszych domów i zbliżającego się terminu ślubu. Posyłałam mu list za listem; wreszcie udałam się do jego mieszkania, by mu powiedzieć w twarz, że łamie swem zachowaniem się młode serce, które mu tak bardzo ulega, i że bierze na swe sumienie grzech śmiertelny; jednak jeden z pisarzy odprawił mnie słowami, że pan doktor jest chory i nie może nikogo przyjąć.

Oczywista, drogi synu, nie wierzyłam wcale

tej wymówce. Mam na świecie tylko was dwoje; sercem mojem owładnęło oburzenie i lęk; przy-  
czaiłam się i jeszcze tego samego wieczora zyska-  
łam pewność, co to wszystko ma oznaczać. Otóż  
twój przyjaciel, gdy wszyscy uczciwi chrześci-  
janie udają się na spoczynek, wykrada się,  
w płaszcz szczelnie i do niepoznaki otulony,  
z domu. Mimo mego oburzenia i chłodu nocy  
czuwałam w oknie, aż wreszcie około czwartej  
nad ranem ujrzałam go wracającego z powrotem.  
Zaledwo mogłam się powstrzymać, by głośno nie  
zawołać, za co go uważam i że sprawiedliwość  
nieba go dosięgnie.

Lecz ścisnęłam wargi, by się w sąsiedztwie  
nie dowiedziano o hańbie, której nam przysparza,  
tembardziej, że pomyślałam sobie, iż twoją, a ni-  
czyją inną jest rzeczą, stanąć w obronie honoru  
i szczęścia siostry. Wobec niej jednak przemil-  
czałam o tem, co widziałam w nocy, mimo że  
i następnych nocy to samo się powtarzało; gdyby  
biedaczka była zrozumiała, że niegodny jest jej  
miłości, byłaby może w świadomości tego zdołała  
otrząść się z uczuć, które nią władały. Jestem  
stara i nie wiem już, czego trzeba młodzieży  
i jakich sposobów użyć należy w danym wy-  
padku; toteż wreszcie zdecydowałam się, drogi  
synu, wszystko tobie dokładnie wyznać i pozostawić



stawić tobie decyzję i sposób postępowania, jaki uznasz za wskazany. Lecz, zanim cię polecę opiece Świętej Trójcy i wszystkich świętych, kładę ci na serce, byś nie zwlekał z decyzją. Przerazisz się, gdy zobaczysz, jak pod wpływem utrapień sercowych zmarniała nasza ulubienica; osnuł ją niemal cień śmierci i nawet obcy ludzie się litują, widząc, jak wesola dotychczas narzeczona główkę swą skłania ku ziemi, jak gdyby zwiędła lilja.

\* \* \*

List ten, który potem znaleziono w papierach Masy zmięty zupełnie, gdyż widocznie po przeczytaniu ścisnął go w dłoni, doręczono młodemu majstrowi na Piazza di San Marco, gdy właśnie udawał się do domu swego szlachetnego chlebowdawcy, by odnieść mu srebrną, bogato kamieniami zdobioną tacę. Skoro tylko przeczytał list, polecił swemu służącemu, by sam udał się do pałacu i usprawiedliwił go, że ważny interes bez zwłoki odwołuje go z powrotem do domu. W tej samej godzinie, nie załatwiwszy wcale swoich interesów, kazał się łódką przewieźć na „terra ferma“, wynajął konie i popędził w dal, do miasta ojczystego, po drodze tyle tylko wypoczywając, by wrócić do domu w pełni sił, jak przystało sędziemu i mścicielowi.

Ostatniej nocy, zanim miał przybyć do celu, nie mógł zasnąć na posłaniu; nie budząc oberżysty wstał, osiodłał sam konia i cwałował przez całą mroźną noc lutową drogą do Sieny. Gdy ujrzał piękne miasto, właśnie wieże i dachy pałaców czerwieniały w blasku rannego słońca. W duszy jego była jednak ponura noc. Konia umieścił w małej gospodzie tuż obok murów; sam bocznymi uliczkami zakradał się pieszo do domu. Zdawało mu się, że nie mógłby swobodnie spojrzeć ludziom w twarz; odczuwał ohydny postępek swego jedy- nego przyjaciela jakby własną winę i hańbę, której się wobec Boga i ludzi wstydzic należało.

Stara Brygida właśnie otwierała drzwi sklepu złotniczego, gdy w nich stanął Maso. Z głośnym krzykiem rzuciła się ku niemu, położył jej jednak rękę na usta i nakazał milczenie. Usłuchała, drżąc na całym ciele ze strachu, kiedy zobaczyła jego zapadłe policzki i błędny wyraz oczu. Pociągnął ją ku kuchni, znajdującej się w dolnej części domu koło ogródka, wypił duszkiem kielich wina, wziął gąbkę, zamoczył w zimnej wodzie i przycisnął kilkakrotnie do czoła, poczem zażądał, by mu opowiedziała, co zaszło w ostatnich dniach.

Nic się nie zmieniło, jeno poczynają już w mie- ście o tem szeptać, ciekawe kumoszki wciąż ją nawiedzają, by się wywiedzieć, ile jest prawdy na

krążących pogłoskach. Wypierała się wszystkiego i wszystkim mówiła, że Lisabettuccia jest chora, co zresztą niezbyt jest dalekie od prawdy. Gdyż niejednen, któremu szykują łożę śmierci, wygląda lepiej, niż ta biedna istota.

— Czy chcesz ją zobaczyć? Leży w swej izdebce i pewnie, po spędzonej bezsennie wśród płaczu i westchnień nocy, zasnęła.

Maso potrząsnął silnie głową.

— Nie mam serca spojrzeć siostrze w oczy, zanim jej nie będę mógł powiedzieć, że wypełniłem mą braterską powinność. Do tego zaś zamierzam niezwłocznie przystąpić.

— O, mój chłopcze! — zawołała stara i zalamala ręce nad siwą głową — pilnuj zbawienia swej duszy i nie czyn żadnych gwałtownych kroków. Może jest on mniej winny, niż myślimy, może uległ szatańskiemu omamieniu. Gdyż różne osoby, które o wdowę zapytywałam, zapewniały mnie, że wcale nie jest tak piękną i uroczą; kto wie, czy Nino, gdy mu przypomnisz, jak dawniej między wami było...

— Dość! — zgrzytnął Maso zębami. — Patrz, tu składam mój miecz i mój sztylet. Zupełnie bezbronny pójdę do niego. Dopiero, gdy me słowa nie zdołają sobie utorować drogi do jego serca, zobaczymy, co potem zrobić! Muszę się bronić

przed własną zapalczywością, bym nie zrobił czegoś, czego potem musiałbym żalować. Boć to przecież Nino! Czy mimo wszystko, co zrobił, mógłbym pójść do niego uzbrojony, jakby do wroga?

Ujrzał na stole szkatułkę hebanową, ozdobioną perłową masą, którą mu ongi podarował Nino; na ten widok stracił pewność siebie, którą dotychczas z całych sił podtrzymywał, i rzewnie zapłakał. Lecz wkrótce opamiętał się i podając rękę starej, rzekł:

— Ulżyło mi; lzy zmyły mgłę, która zasnuwała me oczy. Zobaczysz, jeszcze wszystko dobrze będzie; wszyscy go krzywdzimy. Przygotuj mi śniadanie, spodziewam się bowiem, że wkrótce powrócę i przyniosę dobre wiadomości, a może przyprowadzę i jego samego.

Pewnym krokiem skierował się ku bramie casa del Garbo. Gdy jednak ujął za kołatkę, zadrżało mu serce. Wszedł na schody, a że jako przyjaciela pana domu nikt go nie śmiał zatrzymać, znalazł się — choć nie była to pora odwiedzin — wkrótce przed sypialnią Nina, zapukał w sposób, jaki był stale między nimi umówiony i wszedł, nie zaczekawszy na pozwolenie.

Nino podskoczył z łóżka, w którym wypoczywał dopiero od niewielu godzin. W pierwszej chwili nie

poznał wstępującego. Gdy Maso ujrzał bladą twarz, którą przecież tak kochał, nie zdołał ani słowa wypowiedzieć, acz sobie w duchu przygotował tyle gorzkich, przykrych wyrazów. Powoli podszedł na środek pokoju, mając wciąż jeszcze kapelusz na głowie i zatrzymawszy się przy krześle, stojącym obok łóżka, zaczął powoli zdejmować rękawiczki.

— Dzień dobry, Nino! — powiedział wreszcie niepewnym głosem. — Przychodzę wcześniej. Nie zamyślam jednak długo tu zabawić.

— Czyś to ty naprawdę, Maso! — zawołał Nino, dopiero teraz widocznie ochłonawszy z pierwszego wrażenia. — O mój Maso, dlaczego wcześniej nie przybyłeś? Dlaczego? To mogłoby nas wszystkich uratować! A jednak... jesteś wreszcie... widzę znowu twoją twarz... dziwne, długo się lękałem, że tak do mnie wejdiesz... a teraz, mimo że nie przybywasz z dobrymi zamiarami, teraz mam wrażenie, że z mej piersi zlatuje kowadło, na którym w dzień i noc kuły złośliwe demony. Dziękuję ci, żeś przybył!

Wyciągnął obie ręce naprzeciw niego. Jednak, chociaż Maso czuł wprost nieprzepartą chęć rzucenia się mu na szyję, odwrócił się, opadł na krzesło i skierował wzrok na sufit. Nie miał odwagi się odezwać, w obawie, że z tą chwilą

opuści go równowaga umysłu i spokój, do którego się z ogromnym przymuszał wysiłkiem.

— Masz rację — rzekł Nino. — Nie możesz uścisnąć mej ręki, zanim się nie dowiesz, jak nieszczęśliwy jest ten, którego uważasz za lekko-myślnego wroga twego szczęścia i twego honoru. Wierzaj mi, Maso, sto razy powtarzałem sobie codzień, że jestem nędznikiem, zasługującym więcej na karę, niż morderca i rabuś, że mam przecież tylko przebyć dwadzieścia kroków, by u stóp anioła, który mi oddał swe serce, wypowiedzieć się i odpokutować swe winy. Ale są, Maso, demony, które kładą się przed stopami pokutnika i powstrzymują go przed pójściem na drogę łaski. Dobrze więc, że przybyłeś. Tam na stole leży sztylet, który sam dla mnie zrobiłeś i ofiarowałeś w Bolonji. Weź go i skończ me męki, pomścij siostrę, a ja ostatniem tchnieniem wyznam, że postąpiłeś wobec mnie sprawiedliwie — a potem ruszę do piekieł!

Nastąpiła głęboka cisza w izbie, przerywana tylko jękami nieszczęśliwca, który rzucił się na łóżko i ustami przywarł do pościeli. Nagle uczuł rękę przyjaciela, która łagodnie i drżąco ujęła jego dłoń.

— Nino — wyszeptał głosem, z którego przebijało głębokie wzruszenie — powiedz mi

wszystko. Wszak powinienem był wiedzieć, że z własnej woli nie robisz mi krzywdy. . .

Lecz Nino nie poruszał się. Leżał przez czas jakiś jak nieprzytomny; powoli oddech jego stawał się spokojniejszy, jakby dotknięcie ręki przyjaciela łagodziło ból. Potem uniósł się z pościeli i powiedział:

— Dałem na mszę w kościele gwoli zbawienia biednej duszy z pokuszeń szatana, na kolanach modliłem się do mego patrona, który przecież więcej niż inni wie, co to pokusa — wszystko napróżno! Ona jest djablicą, lecz ja w niej się zatraciłem ciałem i duszą. Przed trzema laty, gdy przybyłem na uniwersytet, ostrzegła mnie wróżbiarka przed kobietami, mającemi na ciele znamię. Śmiałem się wówczas, gdyż nigdy mnie kobieta nie zdołała skusić. Teraz się przekonałem, że wiedźma prawdę wywróżyła. Widzisz, Maso, z początku, gdy do niej przychodziłem jako doradca prawny — gdyby mi ktoś wówczas powiedział, że dla tej kobiety stargam wszystko, co najświętsze, obrażę śmiertelnie najdroższego przyjaciela, zgrzeszę tak ohydnie wobec najniewinniejszej istoty na ziemi — wykpiłbym go jako warjata i uważałbym się za opancerzonego czystem sumieniem i wogóle człowieka bez skazy i zmayı. A przecież doszło do tego, że uległem

urokowi, który ujarzmią moją wolną wolę, upokarza moją dumę, każe mi być — i wobec samego siebie — niecnym łotrem, nie zasługującym na łaskę i litość, zbyt nędznym, by uciec przed tem, czem sam pogardza, i chwycić za rękę, któraby go mogła uratować przed wiecznem potępieniem.

Nakrył twarz rękoma i znowu cisza zapanaowała w izbie.

Maso wstał i począł długimi krokami przemierzać sypialnię tam i z powrotem. Wreszcie przystanął tuż obok łóżka.

— Czy zamierzasz ją poślubić?

— Niech Madonna i wszyscy święci strzegą mnie przed takim szaleństwem! — zawołał nieszczęśliwiec. — Mówię ci przecież, Maso, ta kobieta nie ma duszy, a kto się jej oddał, popadł w wieczne potępienie. Ona mnie zresztą nie kocha, aczkolwiek czasem udaje miłość. Ona niczego nie kocha na świecie prócz swej władzy nad biednymi głupcami; wiem dobrze, iż mogłaby mnie widzieć wijącego się u swych stóp w śmiertelnej męce, a serce jej nie zadrgałoby ani razu. Wszystko to powiedziałem sobie niezliczone razy; gdy jestem zdala od niej, lżę ją najobrazliwszemi, najgorszemi przezwiskami. Lecz gdy dzień ma się ku końcowi i dokoła mnie staje się cicho, słyszę wyraźnie jej kuszący głos, łagodny jak szczebiot



dziecka — i odrazu zatracą się mój upór, moja złość, moje poczucie męskości, muszę iść do niej...

Maso nic nie odpowiedział. Długo spoglądał w wysokie, białe czoło przyjaciela, z którego zwisały czarne kędziory zwichrzonych włosów. Potem nagle pochylił się ku niemu, przycisnął usta do głowy przyjaciela i wypadł z pokoju.

\* \* \*

Dopiero gdy znalazł się w sieni, uświadomił sobie, że zapomniał o coś zapytać. Jeden z pisarzy, który właśnie wchodził do biura adwokackiego, zdołał go jednak poinformować, gdzie mieszka Madonna Violanta. Poprosił pisarczyka, by swemu panu nie wspominał, iż go o to zapytał.

Najkrótszą drogą udał się do wskazanego domu, znajdującego się w pośledniejszej części miasta. Był to wcale okazały budynek, ongi zamieszkały przez jedną z bogatszych rodzin. Po śmierci właścicieli, wynajmowali spadkobiercy kamienicę każdemu, kto płacił dobry czynsz. Gdy Maso ujrzał dom, zatrzymał się. Sam nie zdawał sobie dobrze sprawy z tego, czy złe przecucie go powstrzymało, czy też chciał zebrać swe myśli przed spotkaniem, które miało zdecydować o losie ich wszystkich. Stał więc

w pośrodku ulicy. Ze zdziwieniem patrzyli nań przechodnie. Twarz jego była jednak tak dziwna, wyraz jej, zwykle pogodny i jasny, tak zmieniony, iż nikt nie miał odwagi doń przystąpić i przemówić. Wreszcie powziął widocznie decyzję, bo silnym krokiem przystąpił do nieszczęsnego domu.

Gdy zapukał, pojawiła się służąca i zapytała, czego sobie życzy o tak wczesnej porze. Pani dopieroco wstała, a nie przyjmuje odwiedzin nieznanomych osób. Chytre, świdrujące oczy młodej i wcale nie brzydkiej dziewczyny, nie podobaly mu się. Wcisnął jej w dłoń pieniędzy i powiedział krótko, że życzy sobie widzieć panią Violantę w sprawie, nie cierpiącej zwłoki. Służąca odeszła, zostawiając go samego; po chwili wróciła i zapytała, jak się nazywa. Gdy jej powiedział swe nazwisko, odbił się na jej twarzy wyraz wielkiego zdumienia. Skinęła mu głową, by szedł za nią i zaprowadziła go do wielkiego, pustego pokoju, w którym go zostawiła samego.

Na wielkim piecu paliły się wielkie szczapy drzewa oliwnego, na którem zwiisało jeszcze kilka gałęzi, pokrytych liśćmi i zeschniętymi owocami. Blask nie padał daleko, tak iż rysunek tapet, pokrywających ściany, tylko wtedy był widoczny, gdy uderzenie wiatru, z kominka buchającego, podpędzało płomienie w górę. Naprzeciw kominka

stały dwa krzesła; na jednym usiadł Maso i czekał. Serce mu się ścisnęło na myśl, że niejedną noc na tem miejscu przesiedział Nino, wsłuchany w słowa, które go uwiiodły.

Wtem otwarły się drzwi po przeciwnej stronie długiej sali i weszła ciemna postać kobięca. Zbliżała się spokojnymi krokami; Maso powstał; dopiero gdy była bardzo blisko, mógł rozpoznać szczegóły postaci. W pierwszej chwili zdumiał się, iż osoba, dla której poświęcono jego siostrę, nie jest piękniejszą. Była średniego wzrostu; czarna aksamitna suknia, oblamowana delikatnem szarem futrem, raczej ukrywała niż uwydatniała jej kibić; dokoła szyi i pleców była owinięta w długi szal, gęstą, wiotką tkaninę, poprzetykaną złotymi nićmi, w którą tuliła się przed zimnem, tak że ramiona i ręce były niewidoczne. Nad tą gęstą tkaniną unosiła się głowa, którą trzymała stale nieruchomo; tylko niebieskawe jej oczy poruszały się wciąż niespokojnie pod gęstemi brwiami. Obfite włosy o pięknym, ciemno-brunatnym kolorze, spadały, niedbale spięte, na kark; kolor tej twarzy był siny; gościa swego powitała ledwo widocznem skinieniem głowy...

— Doprawdy — pomyślał Maso — pocynam wierzyć, że Nino ma rację utrzymując, że tu podziałały jakieś czary. Bo jakżeż ta przeciętna

istota mogłaby tak nim o władnąć, gdyby to się stało w normalny sposób i naturalnemi środkami!

Nie odezwawszy się ani słowem, siadła na puste krzesło i wskazała ręką, by zajął z powrotem swoje miejsce. Ujęła żelazny ożóg, stojący w kącie pieca, porozrzucała płonące drzewo i rzuciła w ogień nowe polano. Przytem pokazała swe ręce, które wprawdzie nie były małe, ale bardzo białe i smukłe. Na środkowym palcu nosiła pierścionek z krwawym kamieniem.

— Signora Violante — powiedział wreszcie, tłumiąc westchnienie — nie wiem, czy moje nazwisko jest pani znane, czy pani wie, że nosi je brat młodej dziewczyny, która za kilka tygodni, jeśli Bóg pozwoli, ma zostać żoną mego przyjaciela Nina del Garbo. Jest zbędnem tracić czas na podchwytliwych słowach i iść krytym szychem. Gdy pani tyle powiedziałem, wie pani zapewne, co mnie tu sprowadza. Spowodowała pani, że przyjaciel mój odstąpił swoją narzeczoną; młode oczy mej siostry gorzkie łzy z powodu pani wyłały. Nie jest moim zamiarem, robić pani z tego powodu wyrzuty, bez względu na to czy pani wiedziała o obowiązkach Nina, czy też nie. Gdyż to, co się stało już, nie może się odstać. Lecz to, co się stać ma, to może mądrość, stanowczość i dobra wola skierować na inne tory; toteż

postanowilem panią zapytać, czy i pod jakimi warunkami byłaby pani skłonna, zwrócić wolność memu przyjacielowi.

Czekał przez chwilę na odpowiedź. Lecz ona siedziała naprzeciw niego, jakby jej te słowa zupełnie nie dotyczyły, pochyłona wprzód, bawiąc się wciąż płonącymi polanami, to rozsuwając je ożogiem, to znów zgartując.

— Wiem — począł po chwili milczenia Maso — że wymagam nieprzyjemnych rzeczy. Przybyła pani do naszego miasta z powodu swego procesu i uważałaby pani to za wielkie głupstwo, gdybyś wraz z kochankiem, który cię uwielbia, straciła również i adwokata, który ma ci dopomóc w uzyskaniu sprawiedliwego wyroku. A jednak nie widzę innego wyjścia z tego tragicznego splotu, jak to, byś pani możliwie najprędzej opuściła miasto i zrzekła się widzenia kiedykolwiek swego obecnego doradcy prawnego.

Błyskawica z oczu kobiety strzeliła nagle ku mówiącemu; wargi jej przekrzywiły się nieco z wyraźnym grymasem lekceważenia. Również lekka czerwień ubarwiła jej policzki, co nadało jej twarzy wyraz młodości. Przez chwilę zdało się, jakby chciała coś odpowiedzieć. Lecz ruszyła tylko ramionami, otuliła się szczerniej w szary szal i poczęła znów bawić się ogniem.

— Dziękuję pani, że spokojnie mnie wysłuchujesz — mówił Maso dalej. — Ofiara, której żądam, jest olbrzymia; nie dziwiłbym się, gdyby mnie pani oddaliła jako człowieka niespełna rozumu. Lecz proszę posłuchać, co pani zamierzam ofiarować jako odszkodowanie. Jeśli się pani zgodzi opuścić miasto, skłonię Nina, by sprawę pani powierzył dwom najwplywowszym prawnikom, którzy drogą pisemną będą się z panią porozumiewali. Równocześnie wydam pani dokument, że, jeśliby pani mimo to przegrała proces, całym swym majątkiem ręczę za wszelką szkodę, a gdyby to, co posiadam, nie starczyło, będę rzemiosło moje uprawiał, jakby pańszczyźniany parobek, aż wszystkie obecne pretensje pani będą zaspokojone co do grosza. W ten sposób unika pani obawy, iż przez swą nieobecność zaznasz może strat majątkowych. A jeśli sądzisz, że ponosisz stratę, zwracając wolność kochankowi, toć przecież jesteś pani młoda i piękna i możesz tylu mężczyzn sobie zdobyć, ilu sama zechcesz, zamiast innej zabierać to, co świętymi ślubami poparte, było jej własnością.

Po tych słowach nastąpiła cisza. Maso z lękiem w oczach próbował z twarzy jej nieprzejrzystej wyczytać, jakie wrażenie jego słowa wywarły. Pot zrosił mu czoło; przycisnął ręce do serca, by

pohamować kołatanie, które mu pierś rozsadzało. Gdyż im dłużej pozostawał w jej pobliżu, tem bardziej czuł się niesamowicie; począł w duchu przyznawać, że lekko drgające jej nozdrza i małe uszy i miękka bródka z niewielkim dołkiem w środku są piękniejsze, niż mu się w pierwszej chwili zdawało; grzech i zaślepienie Nina nie wydawały mu się więcej szaleństwem. Wtem otworzyła po raz pierwszy usta i usłyszał przy-pochlebny, dziecięcy głos, który Nina, gdy mrok zapadał, z oddali ku sobie kusił...

— Mówi pan jak rozsądny człowiek i prawdziwy druh swego przyjaciela, signor Bunofigli — powiedziała spokojnie, nie patrząc wcale na niego. — Lecz cóż ja mam począć? Gdy ja opuścić miasto, zaś pański przyjaciel jest tak bardzo, jak pan utrzymuje, we mnie zakochany, czy nagle pocznie on z powrotem uwielbiać swoją narzeczoną jak ongi? Powiedzmy, że bez skrupułów powierzy mój proces innym; ale czy tak spokojnie zgodzi się na to, aby moją osobę oddać w inne ręce? Pan jest zbyt mądry, by w to uwierzyć, a jeśli pan nie zna lepszego sposobu, by utrzymać narzeczonego dla swej siostry, to źle stoi sprawa tej dobrej dziewczeczki, której szczerze żałuję, mimo że jej nie znam i mimo że po raz pierwszy od pana się dowiaduję o jej stosunku do doktora del Garbo.

Maso powstał; brzmienie jej głosu i prawda, bijąca z jej słów sprawiły, że nie mógł spokojnie usiedzieć na miejscu. Kroczył po długiej ciemnej sali i wyteżał swój umysł, by przecież znaleźć trafną odpowiedź. Nagle zatrzymał się przed swem krzesłem i powiedział głuchym głosem:

— Zrozumie pani, że nie mogę stąd odejść, aż nie załatwię sprawy pomyślnie, wyrwijąc z rąk pani honor mego przyjaciela i szczęście mej siostry. Bóg mym świadkiem: gdybym wierzył, że Nino z panią będzie szczęśliwszy, niż u boku mej siostry, przeboleałbym to wszystko i nie przeszkadzałbym jego szczęściu. Lecz w to nie wierzę ani ja, ani — on sam.

Uczuł na sobie znów błyskawicę jej rozplamionych oczu. Lecz oparł się z całych sił temu spojrzaniu i mówił w dalszym ciągu:

— Nie, pani, on w to nie wierzy; sam mnie zapewnił, że ani nie wierzy w miłość pani ku sobie, ani nie odczuwa swych uczuć ku pani jako uszczęśliwiających i mogących przetrwać całe życie. Jest on raczej mocno przekonany, że olśniłaś go magiczną sztuką, zniewoliłaś czarami, pochodzącymi nie z nieba, a z — piekła.

Zamilkł, gdy wypowiedział to słowo, które odbrzmiewało groźnie w olbrzymiej sali. Lecz na kobiecie przy piecu nie wywierało ono widocznie



najmniejszego wrażenia. Pochylił się jeno nieco wprzód, by jedno z polan, które się z pieca wysunęło, z powrotem wepchnąć w środek ogniska. W tej chwili jednak stało się coś wielce groźnego. Oto koniec jej szalu, zwisający poprzez kolana, dostał się zbyt blisko płomieni. Momentalnie uleciały ogniki wzdłuż tkaniny w górę, a że szal był niezwykle cienki, zapłonął nagle dookoła całej postaci, która przez kilka chwil stanęła jakby w kolisku czerwonych ogników. Z okrzykiem rzucił się na nią Maso. Lecz jakby miała ręce z asbestu i płomienie jej nie parzyły, zerwała z błyskawiczną szybkością ogniste strzępy z szyi i pleców, zanim ogień mógł ogarnąć suknię, i stanęła, gdy czerwone płaty padały do jej nóg, nagle przed nim z obnażonym biustem, nie zdradzając zresztą ani drgnieniem twarzy, że się przestraszyła niebezpieczeństwa, które jej przez chwilę zagrażało.

Maso, któremu serce tak biło, że nie mógł słowa wydobyć z piersi, stał bez ruchu. Zdało się, że skamieniał na widok cudownego karku i nieskazitelnie uformowanego biustu. Lecz ponadto przyprawił go niemal o utratę przytomności inny widok. Oto na lewej piersi, której biel na tle czarnego aksamitu wydała się jeszcze jaśniejszą i którą teraz blask ognia jasno oświecał, ujrzał

dziwne, ciemno-niebieskie zamię, podobne do śladu, jaki zostawiają szpony małego ptaka na zamarzłym śniegu. Zdawało się, że ten delikatny znak na miękkiej skórze żyje, gdyż za każdym oddechem podnosił się i opadał; było ponad siły odwrócić wzrok, gdy się raz weń wpatrzyło... Lecz trwało to tylko kilka chwil. Gdyż zebrawszy w pukiel włosy, które podczas ognia się rozluźniły, i złożwszy ręce na piersi, tak że zamię stało się niedostrzegalne, raz jeszcze spojrzęła ta dziwna kobieta na zdruzgotanego mężczyznę, zaśię na jej usta wypełził zimny, triumfujący uśmiech, poczem powolnym krokiem opuściła salę.

\* \* \*

Gdy po pewnej chwili młoda służąca weszła do sali, zastała gościa wciąż jeszcze stojącego na tem samym miejscu, z wzrokiem, skierowanym ku drzwiom, za którymi znikła jej pani. Odgłos kroków służącej obudził go; podniósł szybko z podłogi płaszcz i kapelusz, które poprzednio spadły i wypadł z izby, nie zwracając uwagi na złośliwy chichot dziewczyny.

Gdzie spędził następne godziny, tego sam sobie potem nie mógł przypomnieć. Zdaje się, że na pół przytomny wałęsał się w okolicy miasta, mając wzrok i duszę napelnioną widziadłami

i majakami. Wieśniacy, idący w stronę miasta, opowiadali potem, że widzieli jakiegoś człowieka, wzrostem i strojem do niego podobnego, daleko za miastem na szczerem polu, który dziwaczne wykonywał ruchy, to wymachiwał rękoma w powietrzu, jakby broniąc się przed atakiem złego ducha, to znów rzucał się o ziemię i przyciskał twarz do twardej gleby, jakby nieszczęśliwiec, proszący matkę-ziemię, by swe łono rozwarła i zrozpaczonego syna z powrotem do siebie zabrała.

Gdy mrok zapadł, przyszedł do osterji, w której rankiem pozostawił konia, zażądał jedzenia, wypił wielkimi haustami wino, które przed nim oberżysta postawił. Twarz jego miała barwę popiołu — opowiadał potem właściciel osterji — czasem półgłosem mówił do siebie, czasem nagle wybuchał śmiechem; nie był to jednak wesoly śmiech, którym zwykle rozbrzmiewał głos majstra Masy, lecz jakby zły duch z opętańca wśród śmiechu ulatywał. Potem zażądał, by go zaprowadzono do izby noclegowej, w której w ubraniu rzucił się na łóżko i odrazu zapadł w głęboki sen.

Po nieprzespanej poprzedniej nocy i całodziennej włóczędze spał przez kilka godzin kamiennym snem, którego widocznie żadne sny nie przerywały. Gdy wczesnym rankiem przed

szynk zajechał jakiś wóz i zabrzączała uprząż, obudził się. Przed jego przytomniejącymi zmysłami stanęło odrazu widmo białego biustu, które go przez cały dzień poprzedni ścigało i krew w nim burzyło. Zbiegł ze schodów; przez chwilę mózg mu prześwidrowała myśl, by osiodłać konia i pocałować na koniec świata... Potem jednak głęboko westchnął i skierował się ku miastu.

Przez puste ulice kroczył powoli, jakby ulegając przepotężnemu przymusowi. Co go gnało, z tego sam sobie nie zdawał sprawy. Kilkakrotnie nakreślił w powietrzu znak krzyża i odmawiał szeptem modlitwy. W głowie jego szumiało i huczało, jakby się był opił winem.

Ujrzał wreszcie dom pani Violanty; z jednego z górnych okien przedzierała się wąska smuga światła; zatem nie spała jeszcze. Pomyślał, czy go wpuszczą i kogo tam zastanie... Nagły ból ścisnął mu serce; musiał się zatrzymać i zebrać siły. Gdy się właśnie zastanawiał, co ma począć, usłyszał z przeciwnej strony wąskiej ulicy ciche, szybkie kroki, również zbliżające się do domu. Wiedział, kto nadchodzi. Lecz nie radował się, jak ongi, tem niespodziewanem spotkaniem. Jakby na widok głęboko znienawidzonej osoby, z którą należy się rozprawić na śmierć i życie,

pobiegł szybko naprzód, by tamten nie uprzedził go w wniknięciu w nieszczęsny dom.

Tuż pod stopniami, prowadzącymi do bramy, spotkali się.

— To ty, Maso?

— Ja, nikt inny, Nino!

— Przez cały dzień napróżno cię oczekiwałem, Maso. Teraz nie czas na rozmowy. Przyjdź jutro do mnie. Teraz... tu mnie oczekują.

Po tych słowach chciał wejść do domu i wyciągnął już rękę, by ująć za kołatkę. Nagle uczył, że gwałtownie oderwano jego rękę i usłyszał chrapliwym głosem wypowiedziane słowa:

— I dziś i zawsze będą cię tu oczekiwali napróżno. Progu tego nie przekroczysz, klnę się na Chrystusa Pana i Najświętszą Matkę Jego.

Przez chwilę Nino milczał, potem powiedział smutnym, lecz spokojnym głosem:

— O Maso, dlaczego dziś rano pod wpływem pierwszego gniewu: mnie nie zabiłeś, co było i twem dobrem prawem i zgodne z moją wolą! Nie musielibyśmy stać tu teraz naprzeciw siebie! Nie mogę ustąpić. Gdybym nawet chciał... Czary znów działają, są one silniejsze niż twe ramię, które mnie chce powstrzymać, silniejsze niż nasza stara przyjaźń, ciężąca jak ołów u moich stóp. Gdyby podemną rozwarła się przepaść,

zaś nad nią stała ta kobieta i wołała na mnie, rzuciłbym się w otchłań i nikt nie miałby prawa mnie powstrzymać. Jeśli to wydaje ci się szaleństwem, niech i tak będzie. Bądź zdrow i pozostaw szaleńca jego losowi!

— Czekał! — zawołał Maso, z trudem tłumiąc głos. — Jeszcze słowo, zanim dojdzie do ostateczności. Wiedz, że i ja ją widziałem, że i ja jestem ogarnięty temsamem szaleństwem. Przez cały dzień napróżno szamotałem się w sieci, którą djablica rzuciła mi na głowę. Oto jestem tu, by bronić do niej wstępu każdemu, choćby był tym, kogo z pośród ludzi najbardziej kochałem. Kto osmieleł się stanąć między mną a tą kobietą, jest moim śmiertelnym wrogiem, tego nienawidzę, krwi jego łaknę, własnymi rękoma go...

Chwycił nagle Nina i odepchnął z taką siłą od bramy, że ten potoczył się kilka kroków. Napadnięty, wydawszy okrzyk oburzenia i wściekłości, objął swego przeciwnika i poczęło się ślepe, namiętne mocowanie. W uścisku, którym się zwarli, jakby jeden drugiego chciał udusić, twarze ich były tak blisko siebie, iż ich rozplamienione policzki dotykały się. Wtem zsunął się na ziemię sztylet, który Nino nosił za pasem, wypchnięty gwałtownymi ruchami ich ciał. I oto zdało się, jakby iskra przeleciała przez ich ciało i duszę,

budząc z odrętwienia dawną ich miłość i wierność, obecnie tak ohydnie sponiewieraną.

Nino! jęknął jeden; Maso! szepnął drugi; i zanim się spostrzegli, jak się to stało, wrogie mocomowanie zmieniło się w namiętny uścisk przyjacielskich ramion, łzy popłynęły z ich oczu, wargi przytuliły się do siebie, tłumiąc wyrazy skargi i usprawiedliwienia.

Trzymali się tak przez kilka minut w objęciach, zaś żaden nie zdołał niczego wypowiedzieć prócz: O Nino, czyż to możliwe!... O Maso, czyż miało do tego dojść!... Gdy jednak wzburzenie ich nieco opadło, łzy w ich oczach obeschły i wróciła świadomość sytuacji, w jakiej się znajdują, ujął Maso przyjaciela za rękę i powiedział:

— Ślubuję tu oto i stwierdzam uściskiem dłoni, że żadna inna miłość, jak tylko ku mojemu przyjacielowi, mną władać będzie!

Nino powiedział:

— To samo i ja tobie, Maso, ślubuję, tak mi dopomóż Panie!

— Amen! — dodał Maso.

Dłonią osuszył czoło i oczy, spojrział ku światłu w oknie i rzekł:

— Jeśli dotrzymać chcemy przysięgi, pozostaje jedyny ratunek: czarownica, która chciała się między nas wcisnąć, nie może żyć!

— Tak jest! — odpowiedział Nino. — Gdyby można myślami zabijać, byłaby teraz martwa.

— Myśli musi poprzeć ramię i wesprzeć broń. Kto z nas ma na niej wykonać wyrok?

Obaj zamilkli. Nino najpierw się opamiętał.

— Ja jestem bardziej winny i bardziej umęczony; Bóg mniej prędzej wybaczy, jeśli sprzątnę djablicę z powierzchni ziemi!

Pochylił się, by z ziemi podnieść sztylet. Lecz Maso powstrzymał go.

— Losujmy! — powiedział szybko. — Na kogo wypadnie, ten i przed wiekuistym sędzią i przed ziemską sprawiedliwością będzie się tłumaczył z krwawego czynu. Obaj równocześnie chwycimy za broń, która tu leży w ciemności, tak że jej dokładnie rozróżnić nie można. Kto chwyci za rękojeść, nie jest przeznaczony do wykonania czynu. Kto chwyci za ostrze, pójdzie do niej i pomści nas na tej przeklętej duszy, zanim nas znowu zamienić zdoła we wrogów!

Nigdy nie dowiedziano się, kto chwycił za rękojeść, a kto za ostrze, kto następnie pozostał sam u progu i z pukającym sercem nadśluchiwał odgłosów z wnętrza domu, zwiastujących, że straszny czyn został wykonany. W domu było jednak tak cicho, jakby się w nim właśnie spotykała para kochanków, usiłujących przytłumić



odgłosy pieśczoł i rozmów. Po pewnym czasie dało się słyszeć na schodach ciche stąpanie. Na progu pojawił się ten, który wyciągnął krwawy los. Był śmiertelnie blady, kolana się pod nim uginały.

— Stało się! — szepnął. — Niech Bóg wybaczy nam i jej! Sekunda jeszcze, a nie miałbym więcej siły... Nawet w chwili śmierci działał czar... Krew na jej piersi pokrywałem pocałunkami...

\* \* \*

Następnego dnia już wczesnym rankiem rozeszła się po mieście wieść, że Madonnę Violantę znaleziono w jej domu zamordowaną. Na tę wieść wziął ze sobą bargello (szef policji miejskiej) ośm osób i udał się w wielkim pośpiechu na miejsce zbrodni. Z trudem i siłą przedostał się przez zbity tłum, zalegający wąską uliczkę i ciemne schody domu. W sali spoczywała zamordowana przed zagasłym piecem, oparta górną połową ciała o krzesło, na którym leżała znieruchomiała głowa. Biust jej był obnażony; w lewej piersi, wbity pionowo, tak że dotarł do serca, tkwił sztylet z artystycznie ozdobioną rękojeścią, wepchnięty z taką siłą w ciało, że z trudem udało się wyciągnąć z rany. Znamię znikło; trójkanciasta stal wypełniała dokładnie zarys tej fatalnej ptasiej szpony.

Ponieważ było powszechnie wiadomem, kto broń tę sporządził i kto ją nosił, a ponadto młoda służąca głośno wskazywała na zaufanego bywalca w domu jako sprawcę zbrodni, udał się natychmiast bargello ze swą eskortą, w towarzystwie olbrzymiego tłumu ludu, do Casa del Garbo, mimo że zarówno jemu jak i wszystkim mieszkańcom miasta dziwnem się wydawało, by taki obywatel jak Nino, zażywający nieskazitelnej reputacji i sam sługa Temidy, mógł być popełnić taki ohydny czyn, choćby nawet miał do pomstwienia zlekceważoną miłość.

Gdy wstąpili do pokoju Nina, zastali go siedzącego spokojnie wraz z przyjacielem; na stole stał dzban wina i jedna tylko szklanka; Nino trzymał w ręce odpis „Purgatorio“, słynnego Dante Alligheri’ego i dźwięcznym głosem odczytywał swemu przyjacielowi, który miał na kolanach lutnię i od czasu do czasu wygrywał kilka cichych akordów. Na zapytanie, czy ten sztylet do niego należy i czy wie, w jaki sposób wdowa, Madonna Violante, postradała życie, odpowiedział Nino, nie zastanawiając się ani chwili:

— Broń ta należy do mnie. Śmierć tej kobiety obaj postanowiliśmy. Postanowienie nasze wykonaliśmy, gdyż była czarownicą, i póki żyła, nie można było ująć przed jej szatańską mocą.

Nic innego nie zeznali, gdy stanęli przed sądem i gdy ich usilnie wzywano, by przecież wyznali prawdę; bowiem sędziom się wydało nieprawdopodobnem, by jeden śmiertelny cios wykonali wspólnie dwaj mordercy. Ojcowie miasta smucili się też niepomierne, że kara za ten straszny czyn spotka dwu tak wybornych, nie-nieposzlakowanych dotychczas obywateli. Lecz oni wstrzymywali się od wszelkich dalszych wyjaśnień; również milczeli uporczywie, gdy ich wzywano, by bliżej wyjaśnili magiczny kunszt zamordowanej. Tylko przed jedyną Brygidą, gdy swego nieszczęsnego bratanka i ulubieńca odwiedziła w więzieniu, odkrył on swe serce i wyjawiał, jak się wszystko stało. Lecz również i przed nią nie chciał się przyznać, kto wykonał pchnięcie śmiertelne. Polecił jej pozdrowić biedną, młodą siostrę, leżącą w domu w gorączce i nieprzytomną od chwili, gdy dotarła do niej wieść o okropnym czynie. Prosił, by narazie szukała schronienia w klasztorze, aż czas uleczy rany, sercu jej zadane. Nino natomiast ukląkł przed staruszką, nie wymówił ani słowa, spojrział jednak na nią tak kornie, że mimo gniewu i bólu nie mogła się powstrzymać, by nie złożyć swych rąk na głowie sprawcy tyłu nieszczęść i wśród łez nie polecić go miłosierdziu nieba.

Ósmego dnia po dokonaniu zbrodni zaprowadzono skazańców na miejsce stracenia. Kroczyli ręką w rękę w pokutniczych strojach bez przekory, ale też i bez przejawów skruchy; poważnie lekkim skinieniem witali w tłumie znajomych, żegnających się z nimi ruchem rąk. Gdy wstąpili na pokryte czarnym kirem rusztowanie, padli sobie raz jeszcze w ramiona i długo tulili się do siebie; niejedno oko w tłumie widzów zwilżyło się na ten widok. Najpierw ukląkł Nino i głośno modlił się o zbawienie duszy swej i przyjaciela, poczem bez śladu słabości nadstawił głowę pod śmiertelny cios. Wtedy zerwał Maso płaszcz z szyi i obnażając kark pod topór katowski, zawołał:

— Idę za tobą, najdroższa i najwierniejsza duszo, czyto na wieczną mękę, czy na drogę łaski, gdyż bez ciebie nawet raj byłby dla mnie piekłem!

W kilka chwil potem również i jego okrwawiona głowa potoczyła się na rusztowanie.

Opowiadano potem, że obie głowy nawet w chwili śmierci szukały się jeszcze...

Lisabetta nigdy nie opuściła klasztoru, do którego schroniła się ze swą wierną opiekunką.

Piszący te słowa przypomina sobie, że gdy był dwunastoletnim chłopcem, pokazywano mu w święto patronki smukłą postać przeoryszy, a zarazem opowiedziano mu, jakie okoliczności

spowodowały, że z rozłogów życia schroniła się w zacisze klasztorne. Jeszcze wtedy, mimo że była staruszką o zwiędłych, żółkłych rysach, promieniowała tak wielkim, niemal nieziemskim urokiem, że chłopak nie chciał uwierzyć, iż za czasów jej młodości można było przenieść nad nią inną kobietę. Jednak później sam przekonał się o sztuczkach czarodziejskich, które kobiety się posługują, iż nie wątpił o prawdziwości tego, co mu opowiedziano.



*ANDRZEJ INGRAM.*





---

**W** parne południe wrześniowego dnia siedział młody chłopak w bujnie rozrosłym lesie winnych latorości, pokrywającym południowe stoki Küchelbergu, tuż obok miasta Meranu. Ocienione chodniki były tego roku tak przeladowane owocem i listowiem, iż długie, ciche drożyny tonęły w ciemno-zielonym półmroku. Dookoła panował żar, zapierający dech i powodujący wielkie zgnuśnienie; żaden przewiew nie rzeźwił w tej spiekocie. Tylko w miejscach, w których małe, kamienne schody między poszczególnymi winnicami stromo się piętrzyły, można było odetchnąć nieco świeżym powietrzem. Rzadko tu widać było można człowieka. Tylko niezliczone jaszczurki przelatywały po schodach i szeleściły w krzewach bluszczowych, obficie pnących się wzdłuż kamiennych parkanów pól winnych. Ciemno-niebieskie grona o wielkich, grubych łupinach zwisały gęsto ze sklepień altan, a w głęboką ciszę południa słyszeć się dawał niekiedy dziwny, perlący się ton,

jak gdyby ucho łowiło krążenie soków i wrzenie szlachetnego owocu w skwarze słonecznym.

Chłopak jednak, siedzący na stoku góry pod winoroślami, zdawał się być głuchy na te tajemnicze głosy przyrody; pogrążony był jedynie we własne, ponure myśli. Nosił prastary strój dozorców winnic, skórzaną kurtkę bez rękawów, z szerokimi naramiennikami, do których nad rękawami koszuli były przytwierdzone wąskimi rzemieniami lub srebrnymi łańcuszkami skórzane szelki; spodnie do kolan, opasane szerokim, grubym pasem, na którym widniało białą nicią haftowane imię właściciela; jasne, podwiązane pod kolanami pończochy; dokoła szyi łańcuszek z przedziwnymi ozdobami, zębami odyńców i świstaków. Ale główne przybory jego służbowego stroju leżały obok w trawie: wysoki, trójgraniasty kapelusz, oblamowany koguciami i pawiami piórami, liśćmi i wiewiórczemi ogonkami, jakoteż długa, ciężka halabarda, zapomocą której dozorca przydawał swej groźnej postaci powagi, jeśli kto niepowołany wtargnął do winnicy, a nie chciał dobrowolnie zapłacić okupu, lub zostawić zastawu.

Dniem i nocą, bez zluzowania, bez odpoczynku niedzielnego i możliwości pójścia do kościoła, za marną zapłatą, tkwią te „żywe straszzydła na

ptaki“ w wyznaczonych rewirach, od połowy lipca, gdy pierwsze grona nabierają słodkości, aż póty ostatnie dostaną się do tłoczni. Ciężka ich służba, wykonywana w skwarze i deszczu, w winnicy, nie mającej innych zabudowań, prócz nędznego, malutkiego schronu z kukurudzianych liści — jest jednak urzędem zaszczytnym, na który wyszukiwani bywają tylko najbardziej zaufania godni młodzieńcy. Właściciele winnic starają się też o sowite zaopatrzenie swych dozorców w wino i jadło, by ich utrzymać zarówno na siłach, jak też w dobrym humorze.

Lecz sposób ten widocznie u ponurego chłopaka nie prowadził do celu. Obok niego, na płaskim kamieniu, zastępującym stół, stał nietknięty dzban, pełen czerwonego wina, nienapoczęty bochen chleba i wielki kawał wędzonego mięsa; właśnie przed chwilą przyniósł mu to ze wsi mały chłopak. Mała, rzeźbiona fajeczka ze srebrnym łańcuszkiem dawno już przestała się dymić; trzymał ją w ustach i wgryzał zęby w miękkie drzewo. Liczył około dwudziestu trzech lat, na twarzy i brodzie kędzierzawiły się niedługie włosy, ostre rysy jego twarzy wykazywały ślady przedwczesnych ciężkich przeżyć; czoło było przesłonięte włosami, które we wczesnej młodości przycinane tuż nad brwiami, ułożyły się z czasem w loki,

opadające również i dokoła całej głowy na kark. To postaci jego dodawało uroku młodości, mimo ponurych cieni, zasnuwających oczy i ostrych, żłobionych rysów twarzy.

Powolne kroki, zbliżające się na dole na ścieżce, spowodowały, że nagle otrząsnął się z zamyślenia, wdział kapelusz i chwycił halabardę w dłoń. Można było teraz dostrzec, że wzrost miał pokaźny, zwracający od razu na się uwagę piękną symetrią sklepionych piersi i mocnych ud. Tylko głowę miał dziwnie małą, a ręce i nogi delikatne, jakby u kobiety. Bez szmeru posuwała się elastyczna jego postać pod sklepieniem prętów, pokrytych winoroślami, nie dotykając ani jednego grona, i wychyliła się poprzez najbliższą wyrwę w kamiennym murze, by wypatrzeć, kto idzie drogą.

Chuda, czarna postać w szerokim, wyszarzonym kapeluszu pilśniowym kroczyła drogą między winnicą a łąką, w cieniu wierzb, trzymając w ręce książkę, a spoglądając z wyrazem zadowolenia i zupełnie niepożądliwie w stronę pięknych winogron. Również i bez długiego surduta, sięgającego do kostek i zakrywającego czarne pończochy, każdy poznałby w tym wędrowcu osobę duchowną, a to przede wszystkim z kilku bardzo miłych rysów, właściwych temu kapłańskiemu za-

wodowi w tej okolicy. Nierzadko spotyka się tu u księży twarze pełne skromności, z których wyraźnie przebija pewne zakłopotanie wobec wielkiej godności, którą reprezentują, stała troska, by zarówno nie uronić nic z majestatu boskiego, którego są wyrazicielami, jak również wobec swych parafjan i owieczek nie okazać zbytnej niedostępności i dumy.

Księżulo w wyszarzonym kapeluszu był wikarym kościoła parafjalnego w Meranie, którego obowiązkiem było codziennie o godzinie dwunastej odprawić mszę, za co prócz izdebki na plebanji i kilku innych pomniejszych świadczeń otrzymywał dziennie jednego guldena. Lud, który go z powodu łagodnego usposobienia bardzo cenił i z wielkiem zaufaniem się doń odnosił, zwał go „księdzem z dwunastówki“ i objawiał mu w różny sposób swą życzliwość. Nie było daleko wszczególnie i wzdłuż domu, w którym za jego pojawieniem się nie postawionoby na stół dzbanu i przekąsek, tak iż dzielnemu temu człowiekowi udało się z biegiem czasu powadze swej postaci wydatnie dopomóc zapomocą wcale pokaźnego brzuszka. Do skromnego wyrazu twarzy dopasował się i ten wystający z poza cienkiego surduta ciężar, to też żadnej z jego owieczek nie przychodziło na myśl kpić z tego naddatku natury. Ogólnie ubiegano

się, by go ugaszczać najlepszymi produktami winnic, przyczyniała się do tego również i ta okoliczność, że wokół nie było lepszego języka, świeckiego czy duchownego, któryby tak dobrze znał się na dobroci wina, umiał określić jego trwałość; również w wypadkach, gdy należało zbiory jakimś srodeczkiem udoskonalić i uszlachetnić, umiał podać najwłaściwszy sposób. Mieć język jak ksiądz z dwunastówki — to przez pewien czas było najzaszczytniejszem określeniem, które przyznać można było znawcy wina.

Z pośród różnych zalet, które posiadał, odwaga nie była najsilniejszą z jego cnót. Mimo że pochodził z chłopskiej rodziny, która za czasów Andrzeja Hofera chlubić się mogła niejednym dzielnym strzelcem, nerwy zawodziły go podczas niespodzianych wstrząśnień duchowych, chyba że chodziło o wyratowanie obcej duszy lub o spełnienie ważnego obowiązku sumienia. Ale wówczas zwykł był swe siły moralne wzmacniać fizycznym pokrzepieniem i stale się starał o to, by w piwnicy zamieszkiwanego przez siebie domu nigdy nie widać było dna beczułki białego wina, któremu przypisywał mocno krzepiące właściwości. Dziś oto, wracając z odwiedzin chorego we wsi Algund bez pokrzepienia, nie miał dość sił psychicznych, to też bardzo się przestraszył,

gdy nagle tuż obok niego z muru winnicy zeskokczyła ciemna postać i przypadając doń, ujęła go za rękę.

— Niech będzie pochwalony!... — zawołał drżąc na całym ciele.

— Na wieki! — odpowiedział chłopak.

— Ach to ty, Andrzeju? Myślałem, że na szyję rzuca mi się szatan, błakający się po winnicy Pańskiej, by wypatrzyć, kogo ma połknąć. Gdy się tak idzie pogrążony w myślach i medytacjach, może się przytrafić, iż twój kapelusz wyda się jakby rogaty łeb jego djabelskiej mości. Więc tu bawisz? Zapewne to twoje pole, którego pilnujesz, a właściwie posiadłość twojej matki?

Oczy chłopca pociemniały, krew nabiegła mu do twarzy.

— Niech Bóg broni, — odpowiedział, — bym nogą przestąpił posiadłości mojej matki. Odkąd mi dała w twarz, myśląc, że to ja podpaliłem stajnię, nie jestem jej synem i nie przekroczę nigdy progu jej domu.

Ksiądz pojał dopiero teraz, że dotknął rany. Potrząsnął litościwie głową i rzekł:

— Ej, Andrzeju, takie słowa nie przystoją dobremu Chrześcijaninowi. Czyż Pan nasz na krzyżu nie wybaczył swym krwawym wrogom? Czyż syn ma mieć za złe matce, jeśli go skarciła,

choćby nie miała racji? Wiem, że to dla ciebie bardzo przykre i że nie po raz pierwszy ci się to od matki przytrafiło. Ale siedemdziesiąt siedem razy mamy wybaczać, Andrzej. Czy zapomniałeś już, o czym cię w dzieciństwie pouczyłem?

— Nie, księżę dobrodzieju, — odpowiedział młodzieniec. — Ślubowałem, nie myśleć o tem i udaje mi się to, dopóty jestem zdala od domu. Lecz gdybym wrócił, matka sama przypominałaby mi to, bo mnie nienawidzi i wciąż myśli, jakby mnie męczyć i upokarzać. Ona mnie również pozbawi testamentem dziedzictwa, wiem o tem, ale o to nie dbam. Nie zmarnię mimo to i chętnie wszystko pozostawię siostrze. Ale na zawsze rozszliśmy się; tego nikt już nie zmieni. Wynająłem się za parobka, tam za górą w Gratsch i tego lata jestem stróżem w winnicy, mam swe utrzymanie i nie potrzebuję z domu ani cencika. Gdyby matka posłała siedmiu gońców po mnie i chciała mię sprowadzić w dom czwórką koni — nie poszedłbym. Wszystko ma wreszcie swój koniec!

Ksiądz słuchał uważnie i doszedł widocznie do przekonania, że bardziej jest wskazaniem pozostawić sprawę swemu biegowi, niż nadal wkraçać morałami i upomnieniami. Oglądał wzrokiem fachowca winnicę i rzekł:

— Twój chlebobdawca dobrze zrobił, że za-



miast gatunków, które przedtem tu były, latoś zasadził inne. Są one jeszcze młode, ale za rok przyniosą podwójną ilość owoców. Ile hektolitrów spodziewacie się mniejwięcej?

— Zawszeć będzie stoczterdzieści do siedemdziesięciu.

— Jak ci się wie, Andrzej? Takie stróżowanie uprzykrza się wreszcie.

— Ha, być musi, księżo. Jeszcze kości zdzierzą trudom.

— Czy musisz pilnować i nocą?

— Ma się rozumieć. Mam jednak tylko dwoje oczu, a trzebaby ich mieć choćby z tuzin, by wszędy równocześnie wypatrywać. Żołnierze znowu poczynają krążyć nocą; winogrona są już tak słodkie, że dobrze niemi zwilżyć komyśny chleb. Przychodzi ich odrazu moc, a gdy jednego chwycimy, tymczasem inni robią swoje. Niema na to rady, bo u kapitana nie sposób uzyskać sprawiedliwości.

— Miasto powinno pójść na skargę.

— Ba, miasto! Trzebaby mieć świadków i dowody. A kto poprzysięże, że to tylko żołnierze byli, jeśli rankiem zastajemy wyboje, szabliskami w pnączach wyrąbane, podeptane lato-rośle, pokradzione winogrona? A jeśli kogo chwycimy za kark, to udaje niewiniątko i wie tyle

o gronach, co dziecko w łonie matki. Nie pozostaje więc nic innego, jak na własną rękę sprawę załatwić i tak go zbić, by mu się odechciało przyjść na drugi raz. Ale powiedziałem sobie: następnego, którego przychwycę, powieszę dali-pan za nogi! Niech do jasnego ranka w powietrzu bałamka!

— To biedacy, Andrzej, a pokusa jest zbyt wielka. Powinniście dla nich być wyrozumiali.

— A czy oni nie postępują jak bestje? Proszę spojrzeć, księżo, oto naprzykład latorość, gładko w połowie przecięta, listowie pożółkło i poczyną opadać; serce się krwawi, gdy się widzi tak zniszczoną, i to dla psoty, ze złości, zdrową, spokojną roślinę, która po to tylko jest na świecie, by nam napelniała beczki boskim trunkiem. Gdy takiego kiedy przychwycę, niech go Bóg ma w swej opiece!

Potrząsnął groźnie halabardą w kierunku miasta i wetknął ją gwałtownym ruchem w piasek.

Ksiądz nieco się przestraszył, jednak nie zapomniał o swej godności i rzekł:

— Pomówię jeszcze dziś z kapitanem, aby baczniej dopatrył, by po capstrzyku nikt nie opuszczał koszar. Ty jednak poskramiaj swą gorączkę i zważ, żeś tu jest w służbie. Władzy natomiast pozostaw sądzenie. Bóg z tobą, Andrzej!

Idę dziś do Hirzera. Czy mam co powiedzieć Frankowi albo Róży? Może pozdrowienia?

— Nie, księżę. Między mną a Hirzerem wszystko po staremu. On nie chce nas znać, więc i ja nie mam mu nic do powiedzenia. Dzieci ma przyzwoite, ale nie chcę im szkodzić u ojca, gdybym im posłał pozdrowienia. Ale jeśli ksiądz spotka moją siostrę — nie, i tej też proszę nic nie mówić; tak sobie tylko pomyślałem...

Szybko, jakby chcąc ukryć zakłopotanie, pochylił się ku ręce księdza, ucałował ją z szacunkiem i wetknąwszy drzewce halabardy mocno w ziemię, wskoczył na mur, poczem natychmiast zniknął w gęstych winoroślach.

Ksiądz udał się w dalszą drogę; rozmowa z młodzieńcem zaprzątywała długo jeszcze jego czuły na dolę ludzką umysł. Lecz długotrwała, codzienna praktyka i obowiązek duchowny uciśniania oliwą cierpliwości własnych i cudzych burz, stępiły już najsilniejsze ostrza jego wrażliwości. Nie przeczuwał nawet, co się działo teraz we wnętrzu młodzieńca, leżącego tam w górze w szalacie z przytuloną do skały twarzą, jakby się chciał ukryć w łonie matki ziemi, by w niej znaleźć schronienie przed nadmierną troską.

Przeleżał tam conajmniej z godzinę, wyzwolony wreszcie od naporu myśli litościwym pół-

snem, gdy go nagle zbudził głośny śmiech, rozlegający się na dole na drodze. Przez chwilę leżał cicho, jakby namyślając się, czy nie śni. Lecz wciąż dolatywał go śmiech, niewinny, czysty śmiech dziewczęcy, z daleka wywołujący wrażenie trelowania i gruchania ptaka. Natychmiast podskoczył i pobiegł do wyrwy w murze, skąd ścielił się widok w dół. Tą samą drogą między wierzbami, którą przedtem kroczył ksiądz, szła od strony miasta dziewczyna, licząca nie więcej jak siedemnaście lat, blondynka, raczej niska niż wysoka. Ruchy tej uroczej postaci, mimo że szła powoli i swobodnie, były tak lekkie i pełne gracji, że każdy mimowoli musiał się za nią obejrzeć. Ręce złożyła dłonią w dłoń, jak to tutejsze dziewczęta zwykle czynią, gdy nic nie noszą. Okrągała jej głowa jednak ani na chwilę nie pozostawała w spokoju, lecz wciąż się obracała to w jedną, to w drugą stronę, najczęściej oczywista w stronę swego towarzysza, który jej widocznie mówił bardzo pocieszne rzeczy, bo wciąż wybuchała głośnym, jasnym śmiechem. Był to ruchliwy, zgrabny drągał, wcale dobrze się prezentujący w płóciennej bluzie żołnierskiej, wąskich, niebieskich spodniach i na bakier noszonej niebieskiej czapce. Ciemna jego twarz i czarne oczy zdradzały włoską krew. Z trudem tylko porozumie-

wał się z dziewczyną łamaną niemiecczyną. Lecz właśnie dźwięki jego dziwacznie z włoska brzmiących słów bawiły ją niepomiernie. Kilkakrotnie rzucał żołnierz badawcze spojrzenia wokoło. Chłopa, pędzącego przy pomocy psa cieleń do najbliższej wsi, przepuścił umyślnie, zwalniając kroku, a gdy znikł mu z oczu za zakrętem drogi, począł bardziej natarczywie, namacalne starania o dziewczynę. Nagle wzrok jego spotkał się z groźną postacią dozorczy, który wyszedł z poza murów winnicy i z podniesioną halabardą zbliżył się.

Włoch stanął niezdecydowany. Również i dziewczyna zatrzymała się.

— Dzień dobry, Andrzeju! — zawołała bez wszelkiego zakłopotania. — To mój brat — dodała, zwracając się do żołnierza — idźcie sobie; on nie zna żartów.

Żołnierz widocznie uznawał dobrą radę, lecz na razie czuł się jeszcze bezpieczny wobec dość wielkiego oddalenia od wroga.

— Nie bać się, panienko — powiedział — dam mu centa a comprar tabacco, będzie cicho.

Włożył rękę do kieszeni, by wyjąć monetę, gdy usłyszał grzmiący głos dozorczy:

— Precz, żołdaku, bo ci pikę wrażeń w łeb, że ci się raz na zawsze odechce tu przychodzić!

Włoch spojrział na dozorcę wściekłym wzrokiem.

— Maledetto! — mruknął.

Lecz jeszcze nie mógł się zdecydować na odwrót, hańbiący w oczach pięknej dziewczyny. Bawiąc się widocznie doskonale jego zakłopotaniem, stała spokojnie obok niego i niemiłosiernie się zeń wyśmiewała. Lecz zajście całe widocznie dozorczy nie wydało się tak śmieszne, bo szybko podszedł i wlepił w przybladłą twarz żołnierza dwoje błyszczących oczu.

— Słyszysz? — krzyknął gniewnie. — Czy nie wiesz, że ta droga jest dla was wzbroniona? Czy mam ci zedrzeć z pleców bluzę i zatrzymać ją jako zastaw? Zapewne w nocy zapomniałeś winogrona i teraz w południe po nie przychodzisz! Natychmiast wynoś się, bo...

— Precz z ręką! — zgrzytnął włos, widząc, że go tamten zamierza ująć — gdybym miał moją sdegena...

— Robaku! Przynieś twą szablę na drugi raz, i karabin też. To byłby dobry zastaw. A teraz marsz, bo naszpikuję cię jak żabę i cisnę na podwórze koszarowe, że nie zdołasz pacierza dopowiedzieć do końca!

Odepchnął drągala, że kilka kroków się potoczył i potknąwszy się o kamień przyklął.

Natychmiast powstał i wymachując obiema rękami i wykrzykując przekleństwa i obelgi, cofnął się przed siłą i, kusztykając i wciąż się w tył oglądając, poszedł pod osłoną wierzb w stronę pobliskiej bramy miejskiej.

— Chwacko się z nim obszedłeś, Andrzeju — rzekła blondynka, zupełnie obojętnie patrząc na pobitego eleganta — mówił mi tak dowcipne słowa, że wciąż musiałam się śmiać. Dlaczego stałeś się odrazu taki dziki?

Brat nie odpowiadał. Myśli jego krążyły jeszcze dokoła pobitego.

— To nie koniec jeszcze między nami! — rzekł — on jeszcze przyjdzie, dobrze, niech i tak będzie! Maryś — rzekł nagle, zwracając się do dziewczyny — a ty... zawsze to samo... kto mi zagra, z tym tańczę! Czy nie wstydzisz się z takim djabełem wdawać się w rozmowy i z nim spacerować? Jeśli ci miły jest każdy, kto cię pobudza do śmiechu, stróż ode mnie. Wiesz przecież, że u mnie śmiech jest tak rzadki jak śnieg w Zielone Świąta.

Dziewczyna ucichła i spoglądała wokoło niepewnym wzrokiem. Przyglądała obiema rękami włosy, zaczesane gładko w tył i przytwierdzone nad szyją wielkim okrągłym grzebieniem, a jej twarz zaróżowiła się z zakłopotania.

— Andrzeju — rzekła wreszcie, nie patrząc nań — czy mam odejść?...

— Nie, zostań! — odpowiedział krótko — czy dla mnie przysłaś?

— Naturalnie! — powiedziała gorliwie i dopiero teraz odważyła się spojrzeć mu w twarz. — Już minął tydzień, a nie mogłam z domu oddalić się. Ciebie nigdzie nie widać. Matka zasnęła, było tak gorąco w kuchni, pomyślałam więc: pobiegnę i zobaczę, jak ci się powodzi. Masz, przyniosłam ci bułkę. Franek Hirzer mi ją kupił, wczoraj, w niedzielę, po kościele. Sama nie będę jadła, jest za słodka.

— Franek? A cóż ten ci ma do darowania? Gdyby się jego ojciec dowiedział, byłoby krzyku co niemiara. Czy i ten też cię pobudzał do śmiechu?

— Ten? Temu się tylko śmieje kieszeń, wypełniona guldenami. Wiesz, matka była przy tem, a gdy ona na kogo spojrzy, temu się odechciewa żartów, jak myszom, gdy poczują kota. Zmarniałabym, gdybym się czasem nie naśmiała do syta, bo mi tak smutno i ponuro z nią tam w górze, w chacie... samej...

Przez chwilę milczeli.

— Nie chcesz bułki? Kładę ją tu na ławce, zawsze się komu przyda. A tu mam kilka fig,



z naszego drzewa, dojrzałe. Zerwałam je dla ciebie. Masz, są dobre w tej spiekocie!

— Dziękuję ci, Maryś. Chodź, zjemy je wspólnie, tam w cieniu.

Poszedł przodem po schodach kamiennych, a ona za nim kroczyła szczebiocząc. Na żadne z jej słów nie odpowiadał. Pod jednym ze sklepień, utworzonych z winnych latorośli, położył się na ziemię, a ona przysiadła obok niego na szerokim kamieniu i skłoniła go, że skosztował figi. Zwolna się uspokajał. Lekki wietrzyk począł przewiewać, a wraz z nim doleciały turkoty dalekiego młyna nad Adygą i szum rzeki Passer i od czasu do czasu odgłosy z strzelnicy, w której strzelano do tarczy. Czas wcale im się nie dłużył. Ugościł ją winem, co przywróciło jej natychmiast dobry humor. Nie spuszczał z niej oka... Włożyła sobie na głowę jego ciężki, zdobny w pióra kapelusz, wzięła halabardę w ręce i poczęła z śmieszłą powagą i figlarnym błyskiem oczu kroczyć tam i z powrotem wzdłuż drożyn w winnicy.

— Andrzej, mnie się zdaje, że przede mną miałoby stracha, gdybym przychodziła co nocy do ciebie i stróżowała, zaś ty przesypiałbyś kilka godzin. Przede mną miałoby respekt, ci hultaje, prawda?

Chłopak zaśmiał się po raz pierwszy. Gdy

spostrzegła, że lody topnieją, przybiegła do niego, odrzuciła kapelusz i halabardę i przykucnąwszy w trawie tuż obok, rzekła:

— Tysiąc razy jesteś piękniejszy, Andrzeju, kiedy się śmiejesz, niż inni chłopcy, zamiast stale marszczyć czoło i patrzeć jak nasz Pan na krzyżu. Czyż nie jesteś młodym, dzielnym chłopcem, który nie ma powodu chować się przed kimkolwiek w mysią dziurę? Z matką... tak, to inna sprawa, ale ty przecież nie jesteś winien, o tem wiedzą wszyscy, a o mnie nie potrzebujesz się martwić, przyjdę do ciebie, ilekroć tylko się zdarzy sposobność, a przede mną matka nie odważy się coś złego o tobie powiedzieć, gdyż wie, że poszłabym sobie. Więc dlaczego zawsze zwieszasz głowę, a na mnie tak ponuro patrzysz, jakbym nie była twą ukochaną siostrą, lecz wrogiem? A jeśli mi jakiś chłopak powie słówko, od razu płoniesz jak słoma na dachu. Powiedz, czy chciałbyś ze mnie zrobić zakonnicę, lub bym u matki przez całe życie służyła jak służebna dziewczka i została starą panną?

Podczas tych słów podsunęła się całkiem blisko niego i złożyła lekko ramię na jego plecy. Ale on wstrząsnął się, jakby się go dotknął upiór i odsunął się przed pieszczotą. Piersi jego ciężko pracowały.

— Daj mi pokój, nie dotykaj mnie, nie pytaj o nic, odejdz ode mnie, jak daleko możesz i nie przychodź nigdy więcej!

Podskoczył, jakby chciał uciec, nie mógł jednak postąpić kroku. Musiał na nią spoglądać. Kłęcząca jakby skamieniała w trawie, z rękami złożonemi na łonie i patrzyła nań wzrokiem, rozkrawającym mu serce. Jej oczy rozszerzyły się; w na pół otwartych ustach ugrzązł bolesny krzyk; nozdrza drżały. Nie poraz pierwszy przerażał go ten wyraz twarzy dziewczyny. Czasem w trakcie dziecinnego śmiechu ogarniał ją nagle jakiś dziwny przestach i zatracala się na pewien czas przytomność; twarz przekrzywiała się w kurczach, które potem ustępowały w mniej lub więcej gwałtowny sposób. Sam nigdy dotychczas nie mógł sobie zarzucić, że wywołał taki atak. Przeciwnie, zawsze go wzywano, by odegnał złego ducha, co mu się też bez trudu udawało. Gdy jednak teraz ujrzał popadającą w omdlenie, i to z jego winy, przerażenie przez chwilę pozbawiło go spokoju i równowagi.

Lecz wkrótce się opamiętał; pochylił się nad nią, ujął zlodowaciałe dłonie, spoglądał jej w oczy.

— To ja, Marjo! — szeptał — ja, Andrzej, spojrz na mnie, słuchaj, wybac, jestem szalony;

minęło już jednak, bądź i ty dobra, wybacz, nie wiesz, co się we mnie dzieje, miałabyś litość ze mną...

Gorącemi swemi rękami ścisnął jej dłonie i klęcząc tuż nad nią, czekał ze strachem, aż w jej rysach zatli z powrotem życie. Lecz wciąż jeszcze leżała skostniała, rzęsy jej ani drgnęły, nie czuć było oddechu z jej ust, szeroko otwarte oczy patrzyły weń jakby w pustą przestrzeń. W tem odezwały się głębokie dźwięki dzwonów kościoła parafjalnego, wzywające na nieszpory i omdlenie poczęło zwolna ustępować. Westchnęła ciężko; powieki się najpierw zamknęły, gdy zaś potem je otworzyła i budząca się jej dusza uprzytomniła sobie to, co zaszło, wytrysnęły z jej oczu rzęśiste łzy. Oparta o jego piersi, płakała dziewczyna, nie wydobywając ze ściśnionego gardła ani słowa.

On również nie wyrzekł słowa, jeno ją tulił do siebie i słuchał falujących dźwięków dzwonu, w myśli powtarzając słowa modlitwy. Gdy dzwony umilkły, ujął za dzban i podał go jej. Ona zbliżyła wargi jak chora, nie zdobywająca się jeszcze na ujęcie naczynia w dłonie i długo piła. Potem zamknęła oczy i zasnęła obok niego.

Gdy po chwili usłyszał, że spokojnie oddecha, podniósł jej głowę, podłożył swój surdut, i ułożył jej ciało wygodnie na trawie. Sam, rzuciwszy

wzrokiem na swój rewir, przysiadł obok niej, oparł głowę o dłonie i spoglądał w uśmiechniętą twarz, uśmiechającą się teraz pogodnie jakby w miłych snach. Gdy liść się poruszył i światło przelotem dotknęło jej czoła, cichutko jęknęła. Lecz widocznie czuła się teraz zupełnie dobrze. W nim jednak rył ból i każde spojrzenie w tę spokojną już twarz wzmagało jego męki. . .

Co za tajemnicze losy otaczały to rodzeństwo?

By to wyjaśnić, musimy się cofnąć wiele lat wstecz, w czasy, w których matka, tak wrogo dzieląca obecnie rodzeństwo, nie była wiele starszą, niż jasnowłose dziecko, śpiące tam w winnicy pod krzewami. Dziadkowie jasnej Marysi posiadali na Küchelbergu skromną posiadłość chłopską, przepięknie położoną i na wsze strony w doliny spoglądającą, na lewo w dolinę rzeki Passer, na prawo w Vintschgau, a wprost siebie poprzez miasto Meran w szeroką nizinę Adygi aż po góry Bozen. Stary Ingram osiedle odziedziczył po swych ojcach, zasię urocze położenie mniej cenił, niż obszerne winnice, na wszystkie strony się rozpościerające, a tak intratne, iż mógł wyżywić swoje liczne potomstwo. Najwięcej trosk przysparzała mu najmłodsza Marja; o innych jego dzieciach nie można było powiedzieć nic dobrego ani złego. Ta najmłodsza była nietylko

brzydka i raczej podobna do wiedźmy, niż do dziewczicy z Meranu, gdzie jak wiadomo rosną piękne i kształtne panny, lecz również od maleńkości tak niesforna, że matka ją zawsze biła, a ojciec się jej wstydzić musiał. Z czasem jednak przestano ją bić, gdyż widocznem było, iż ta metoda wychowawcza potęguje jeno zło, a ponadto nawet dla chłopskich oczu stało się jasnem, że w tej biednej główce nie wszystko jest w porządku. Proboszcz ją dokładnie zbadał i doszedł do przekonania, że jej przywary są przejawem zdziczałych popędów słabego i próżnego serca; i rzeczywiście rozum jej przy bliższej obserwacji nie wykazywał wcale nienormalności; gdy ją egzaminowano, umiała mądrze odpowiadać i upiększać szereg dziwactw, które popełniała. Najbardziej rażącą u niej była zupełnie niewłaściwa i godna politowania żądza strojenia się, ściągająca tembardziej oczy wszystkich na jej niezwykłą brzydotę. To też przydano jej mnóstwo przydomków, z których najłagodniejsze były „czarny paw“ lub „dzika Maryś“; bracia zwali ją krótko „Czarna“, gdyż miała nietylko ciemną cerę i gęste, krzaczaste brwi, lecz również czarne jej włosy kędzierzawiły się jak u murzynek i opierały się uporczywie grzebieniom i wstążkom do zaplatywania włosów. Czy to dziwactwo natury miał na

sumieniu król murzyński na obrazie, który matka jej razu pewnego w Bozen ujrzała, tak to niektórzy sądzili — to pozostawmy nierozstrzygnięte. Faktem jednak było, że „dzika Maryś“, zamiast pogodzić się ze swym losem, używała śmiesznych środków, by zaradzić złemu i starała się upiększyć swą osobę przeróżnymi ozdóbkami i błyskotkami, wbrew zwyczajowi, obwieszając się niemi. Gdzie tylko dopaść mogła grosza — a czyniła to niezawsze w uczciwy sposób — kupowała sobie pstre wstążki lub sztuczne kwiaty, wplatała je w czarne włosy, a nawet ku zgorszeniu ludzi starszych i na pośmiewisko młodszych pojawiała się w takim stroju w kościele; matka zakazywała jej tego, zdierała ozdoby i karała biczem i głodzeniem.

Ta smutna skłonność ustąpiła dopiero, gdy weszła w dojrzały wiek i zaostrzyło się jej poczucie krytyczne wobec kpin młodzieży. Lecz na nieszczęście skłonność tę zastąpiła inna, fatalniejsza, której zupełnie uległa. Oto z pomiędzy wielu chłopców, którzy obcowali z jej braćmi, upatrzyła sobie właśnie najprzystojniejszego, i to takiego, który stale darzył ją widoczną niechęcią. Był to chłopak ciałem i duszą przypominający dawny typ ludzi z Meranu, umysł nieco gnuśny w silnem, wspaniale rozwiniętym ciele, gorliwy

brzydka i raczej podobna do wiedźmy, niż do dziewicy z Meranu, gdzie jak wiadomo rosną piękne i kształtne panny, lecz również od maleńkości tak niesforna, że matka ją zawsze biła, a ojciec się jej wstydzić musiał. Z czasem jednak przestano ją bić, gdyż widocznem było, iż ta metoda wychowawcza potęguje jeno zło, a ponadto nawet dla chłopskich oczu stało się jasnem, że w tej biednej główce nie wszystko jest w porządku. Proboszcz ją dokładnie zbadał i doszedł do przekonania, że jej przywary są przejawem zdziczałych popędów słabego i próżnego serca; i rzeczywiście rozum jej przy bliższej obserwacji nie wykazywał wcale nienormalności; gdy ją egzaminowano, umiała mądrze odpowiadać i upiększać szereg dziwactw, które popełniała. Najbardziej rażącą u niej była zupełnie niewłaściwa i godna politowania żądza strojenia się, ściągająca tembardziej oczy wszystkich na jej niezwykłą brzydotę. To też przydano jej mnóstwo przezwisk, z których najłagodniejsze były „czarny paw“ lub „dzika Maryś“; bracia zwali ją krótko „Czarna“, gdyż miała nietylko ciemną cerę i gęste, krzaczaste brwi, lecz również czarne jej włosy kędzierzawiły się jak u murzynek i opierały się uporczywie grzebieniom i wstążkom do zaplatywania włosów. Czy to dziwactwo natury miał na



sumieniu król murzyński na obrazie, który matka jej razu pewnego w Bozen ujrzała, tak to niektórzy sądzili — to pozostawmy nierozstrzygnięte. Faktem jednak było, że „dzika Maryś“, zamiast pogodzić się ze swym losem, używała śmiesznych środków, by zaradzić złemu i starała się upiększyć swą osobę przeróżnemi ozdóbkami i błyskotkami, wbrew zwyczajowi, obwieszając się niemi. Gdzie tylko dopaść mogła grosza — a czyniła to niezawsze w uczciwy sposób — kupowała sobie pstre wstążki lub sztuczne kwiaty, wplatała je w czarne włosy, a nawet ku zgorszeniu ludzi starszych i na pośmiewisko młodszych pojawiała się w takim stroju w kościele; matka zakazywała jej tego, zdierała ozdoby i karała biciem i głodem.

Ta smutna skłonność ustąpiła dopiero, gdy weszła w dojrzały wiek i zaostrzyło się jej poczucie krytyczne wobec kpin młodzieży. Lecz na nieszczęście skłonność tę zastąpiła inna, fatalniejsza, której zupełnie uległa. Oto z pomiędzy wielu chłopców, którzy obcowali z jej braćmi, upatrzyła sobie właśnie najprzystojniejszego, i to takiego, który stale darzył ją widoczną niechęcią. Był to chłopak ciałem i duszą przypominający dawny typ ludzi z Meranu, umysł nieco gnuśny w silnem, wspaniale rozwiniętem ciele, gorliwy

katolik, doświadczony rolnik, używający niewiele słów, a osnuwający swemi myślami tylko potrzeby domowe, mało czasu poświęcający na niepotrzebne amory, gdyż w tych romantycznych dolinach ludzie miłością i małżeństwem zajmują się przeważnie z większym spokojem i zimniejszą krwią, niżby się to wydawać mogło przelotnym podróżnikom. Wówczas, gdy się w nim zadurzyła czarna Maryś, żył jeszcze jego ojciec, Alojzy Hirzer, który od zadłużonego właściciela dóbr rycerskich zakupił prastary zamek, położony na wzgórzu nad miastem, by tam w pośrodku feudalnych zabytków założyć chłopskie gospodarstwo w wielkim stylu. Prócz syna Józefa miał córkę, która w Innsbrucku kształciła się na nauczycielkę. Po nagłym zgonie ojca sprowadził ją brat z powrotem do domu, by mu ulżyła w urzędzeniu gospodarstwa. Była to łagodne, blade, pięknookie dziewczę, starsze od brata Józefa. Koledzy jego, z których niejeden miał wielką chętkę przez ożenek przysporzyć sobie piękną połać ziemi, nie śmieli się zbliżyć do Anny, będącej zbyt delikatną i cichą; wkrótce poczęła ją opromieniać aureola świętobliwości, gdyż zawsze można ją było zastać w kościołach lub w chałupach, w których leżeli chorzy; nie przeszła nigdy mimo dziecka, by nie wziąć go na rękę, nie obdarować obrazkiem i nie

odmówić z niem pacierza. Brat był bardzo kontent, gdyż utrzymywała w porządku sale pałacu, w których można było jeszcze zamieszkać. Był on człowiekiem trzeźwym i niełatwo dającym się porwać sercowym sentymentom; to też bardzo mu dogadzało, że siostra pozostała niezamężną. Gdy stał na balkonie, przylepionym do murów zamkowych jakby gniazdo jaskółcze, i spoglądał w dal w swym stroju chłopskim, wełnianej kurtce z czerwonym oblamowaniem, szerokim kapeluszu z barwnym sznurem — wzrok jego spotykał z zadowoleniem wieże klasztorne, których krzyże tu i owdzie unosiły się na widnokręgu; myślał tedy, że dawni, szlacheccy panowie zamkowi tam umieszczali swe niezaopatrzone córki. Nie miałby też nic przeciw temu, by i siostra jego tam szukała schronienia przed niebezpieczeństwami i pokusami świata. Ponieważ jednak na razie nie okazywała ku temu zbytnej ochoty, zaś ponadto jeszcze była potrzebna w domu, kontentował się odblaskiem jej świątobliwości, której promienie i na niego padały i był wielce dumny, gdy osoby duchowne przybywały do Goyen i przy szklance czerwonego wina omawiały sprawy kościoła.

O swej własnej przyszłości myślał tylko wówczas, gdy mowa była o jakiejś bogatej dziedzicze; myślał o tem w poczuciu obowiązku, przypada-

jącego nań, powiększenia ojcowizny o piękny nabytek. A że był jednym z najpostawniejszych i najprzystojniejszych chłopców w okolicy, miał pewność, że niedługo będzie szukał, jeśli kiedyś na serjo przystąpi do rzeczy. Z początku traktował też nieukrywane wcale zalecanki czarnej Marysi z pełnem godności lekceważeniem. Potem jednak, gdy gadaniny stały się częstsze i bardziej uprzykrzone, gdy na każdym jarmarku, odpuszcie i wogóle na publicznych zebraniach naprzykrzano mu się tą zdobyczą, rozgniewał się naprawdę i zapomocą kpin, obrażających dziewczynę, starał się odwrócić od siebie podejrzenie.

Inny byłby może litościwszy; gdyż jej zalecanki wyrażały się tylko w uporczywej wytrwałości, z jaką dziewczyna wlepiła weń oczy, gdy go tylko zoczyła; wzrok jej, jakby urzeczony, ścigał go, mimo że na twarzy jego wtedy pojawiał się wyraz gniewu i rysy się groźnie chmurzyły. Nawet w kościele zwracała w jego stronę pół twarzy i wpatrywała się z takim podziwem, jakby zupełnie zapomniała, co się wokół dzieje. Kto zna prosty, chłodny obyczaj ludu i przyzwoitą obojętność, cechującą obcowanie ludzi różnych płci ze sobą, pojmie, jakie zgorszenie wywoływało jej zachowanie się. Większość była przekonana, że Maryś jest niespełna rozumu i że trzeba jej na

wszystko zezwalać, gdyż nie można jej przecież powstrzymywać od uczęszczania do kościoła, jeśli złe duchy nie mają silniej jeszcze jej opanować. Młodzi chłopcy byli jednak mniej łaskawi i zwali ją poprostu babą oszalałą za swym chłopcem, a że również i dziewczęta się od niej zupełnie odsunęły, szła zawsze samotnie z Küchelbergu na mszę, wypatrując już zdaleka przenikliwemi oczyma między zebranymi przed kościołem ludźmi swego wybrańca.

Zupełnie była niewrażliwą, gdy bracia ostro wypominali jej zachowanie; nie odpowiadała wcale i nie zmieniała zupełnie swego postępowania; nawet surowe upomnienie proboszcza nie pomogło wcale, jak nie pomaga żadna rada żelazu, gdy się doń zbliży magnes.

Wreszcie jedna z litościwszych dziewcząt postanowiła wyprowadzić Marysię z błędu. Powiedziała jej, że Sepp Hirzer się wyraził: Gdyby mu na tem zależało, by mieć w kołysce czarnego pudła, ożeniłby się z Marysią.

To poskutkowało. Od tego dnia była „Czarna“ jakby przeobrażona; nigdzie jej widać nie było, przed wschodem słońca zakradała się na pierwszą mszę, przyklękała w najciemniejszym kącie kościoła, a gdy w drodze w góry spotkał ją jakiś chłopak, odwracała głowę i nie odpowiadała na

żadne powitanie. Żądza strojenia się znikła zupełnie. Nosiła najchętniej grube, proste suknie; kręte jej włosy, tygodniami nie czesane, latały dokoła jej skroni; sprawiała niesamowite wrażenie i każdy od niej stronił.

Pozatem bez szemrania wykonywała swą ciężką pracę; to też rodzice zupełnie byli z niej zadowoleni i nie krępowali jej w niczem. Tak minęła zima. Gdy na wiosnę zazieleniały łąki, zwróciła się do ojca z prośbą, by jej wolno było udać się na poloniny. Wybrała najwyższe i najsamotniejsze. Na całe lato czarna Maryś znikła z oczu ludzkich.

Tembardziej zadziwił się świat, gdy jesienią, po powrocie trzód z gór, rozeszła się wieść: córka starego Ingrama przyniosła z sobą chłopaka, śliczne, białutkie, różowe dzieciątko, mające czarne, ale wcale nie murzyńskie włoski, przepyszny okaz niemowlęcia. Mimo hańby Maryś jest bardzo kontenta; bez skargi zniosła bicie, którem ją matka przywitała, a ojcu, gdy nalegał, by wszystko wyznała, nie chciała nic powiedzieć. W szopie, dokąd ją matka wygnała, by nie widzieć wciąż hańby, urządziła dla dziecka wygodny, ciepły kącik; dniem i nocą nie rusza się z miejsca.

Wieść ta, a zwłaszcza o piękności dziecka, wydała się wszystkim zgoła nieprawdopodobna; lecz

następnej niedzieli mieli wszyscy sposobność przekonać się o jej prawdziwości. W jasny dzień zeszała czarna Marysia z Küchelbergu, nosząc na ręku jakby w triumfie dziecko, zawinięte w najdelikatniejsze płótna i najpiękniejszą chustkę i podała je z wyrazem wyzywającej dumy macierzyńskiej do chrztu. Gdy kto się zbliżył, by popatrzeć na mały ten dziw natury, natychmiast nakrywała śpiącą główkę welonem i mówiła kpiąco: Ha, chcielibyście zobaczyć czarnego pudła? — i śmiała się z widocznem ukontentowaniem.

Rzadko chrzest w Meranie odbył się wobec takiego tłoku świadków. Gdy jednak ksiądz zapytał o ojca chrzestnego, okazało się, że Maryś o tem zupełnie zapomniała. Nikt nie zgłosił się na pytanie, kto z parafjan chce wyświadczyć dziecku tę przysługę; gdyż nikt nie miał zamiaru wchodzić w bliższą komitywę z matką, zaś dziadkowie, by uniknąć hańby, tej niedzieli udali się do kościoła w Lana. Wtedy zbliżyła się, gotowa do każdego miłosiernego uczynku, córka starego Hirzera, klęcząca dotychczas w przedniej ławce i wzięła Marysi dziecko z rąk. Wszyscy uznali to za najprostsze rozwiązanie sprawy, gdy Anna Hirzerówna, wzór cnoty i miłosierdzia, biednej grzesznicy udzieliła pomocy. W ten sposób został ochrzczony chłopak. A że zakrystjan zgodził

się, by dać swoje imię, nazwano dziecień Andrzejem. Promieniejąc szczęściem, niosła Maryś swego chłopaka przez miasto i wróciła do nędznej szopy, gdzie w pośliżu zwierząt domowych jej dziecień miało rozpocząć pierwsze kroki na świecie.

Wkrótce zapomniano o tych zdarzeniach, tembardziej, że Maryś była zgoła niewidoczna, żyjąc tylko dla dziecka, zestrzeliwując wszystkie swe namiętności w bezgranicznej ku niemu miłości. Jak dawniej siebie, tak obecnie stroiła małego Andrusia we wszystko, co tylko dało się użyć do ozdobienia dzieciaka. Można ją było widzieć siedzącą godzinami w cieniu, wijącą wieniec dla dziecka i zszywającą z pstrych jedwabnych szmatek dziwaczne sukienki, któremi ozdabiała je jak lalkę i z dumą pokazywała przechodniom.

W rok potem poślubił jej dawny wybraniec bogatą dziewczynę z Algundu. Gdy się o tem dowiedziała, nie okazała najmniejszego śladu zmartwienia. Cała przeszłość, aż do chwili, gdy dziecko przyszło na świat, była jakby wytarta z jej pamięci; także o tajemniczym ojcu dziecka nigdy nie wspomniała i nie czyniła żadnych prób, by mu dać znać o sobie i dziecku.

I oto stało się, że w przeciągu jednego roku zaraza, która w tych dolinach porwała wiele ofiar, pozbawiła życia jej rodziców, a potem po



kolei jej braci. Los czarnej Marysi zmienił się gruntownie. Bo jeśli nawet za życia rodzeństwa nie potrzebowała się lękać ubóstwa, to teraz stała się jedyną właścicielką domu i wielkich winnic i bogatą partją; szkoda tylko, że posag jej ciemnej skóry i jeszcze ciemniejszego pierwszego stosunku miłosnego, którego owocem było dziecko, odstraszał niejednego kandydata do jej ręki.

Lecz praktyczność, tkwiąca tu w ludzie, wysła jej na dobre. Nie potrzebowała nawet patrzeć przez palce, gdy jej wreszcie przyswatano męża. Był to wcale pokaźny chłopak ze wsi Tyrol, leżącej obok słynnego zamku tej samej nazwy. Ojciec go namówił, a choć chłopak niezbyt prędko umiał myśleć, to jednak w kilku słowach załatwiono sprawę.

Tak samo było i z Marysią. I ona uważała, że wszystko jest w porządku, jeśli teraz mimo przeszłości kolej i na nią przychodzi. Podczas omawiania sprawy bawiła się z małym Andrusiem, liczącym już czwarty rok życia; spoglądał on na obcego człowieka ze strachem i złością. Gdy ten jednak wyciągnął z kieszeni wielką torebkę z cukierkami i podał ją dziecku, ostatnie skrupuły Marysi się rozwiały. W porównaniu z Józkiem Hirzerem niezbyt chwacko się wydawał Franek Wolfhart. Jego płaska, okrągła, zadowolona

twarz, okolona jasnymi włosami, przypominała obrazki szablonowe, spotykane często na domach, bramach, a nawet kościołach. Ale Maryś sama posiadała dość czerni, by ocieniać nadmierną jasność swego przyszłego męża, a ponadto schlebiali jej to, że młody chłopak się o nią mimo wszystko ubiega. Toteż wobec szybkości, z jaką się w tych okolicach załatwia tego rodzaju sprawy, po czterech tygodniach zajął Franek jako młody małżonek miejsce w domu na Küchelbergu, a temsamem po raz wtóry umilkły plotki i gadania na temat losów czarnej Marysi.

Lecz nie na długo. Po roku małżeństwo to wydało dziewczę, o którym sąsiedzi mówili nie mniej niż ongi o Andrusiu. Było ono zupełnie podobne do ojca, bielutkie, jasnowłose, zupełnie nie przypominające wyglądem swym matki, chyba tylko tem, że już od wczesnej młodości przejawiały się w dziecku jakieś fantastyczne naloty, niezwykła siła wyobraźni i kobiecej próżności, bardzo niebezpiecznej u dziecka, nie kierowanego silną dłońią, któraby poskramiała pociąg ku lekkomyślności i z młodej duszy wyrwała z korzeniem osty.

Bowiem mała Marja o władnęła sercem matki tak dalece, że pozbawiła brata nawet obowiązkowej części czułości. Dotychczas ulu-

bieniec matki, stał się jej teraz zupełnie obojętny; ba, z biegiem lat obojętność przeobraziła się w zdecydowaną niechęć, spotęgowaną wreszcie do jawnej nienawiści. Nie wiele pomogło, że dobroduszny ojczym ujmował się za chłopcem. A gdy mała siostrzyczka podrosła i z wielką serdecznością lgnęła ku bratu, nie mogła nawet ona, która wszystko u matki zdołała przeprzeć, zmienić jej nienawiści do syna. Przeciwnie, jej słowa potęgowały tylko tę nienaturalną nienawiść, do której dołączyła się zazdrość wobec zażyłości, jaką dziewczynka darzyła swego brata.

Tyle tylko mała Marja zdołała biednemu chłopcu dopomóc, że chroniła go przed cielesnem znieważaniem. Gdyż tylko raz jeden zwyrodniała matka czynnie zdołała skarcić swego dawnego ulubieńca. Wtedy to dziewczynka po raz pierwszy popadła w wstrząs nerwowy, który przeżyliśmy na początku niniejszej opowieści. Na szczęście był ojciec w domu i mógł zapobiec głupim próbom ratowniczym przestraszonej matki. Dopiero bratu udało się lekkim głaskaniem drżącą dłońią opanować atak, aż łkające dziecko rzuciło mu się na szyję i dało się zanieść do łóżka, w którym potem długo spało.

Od tego wypadku omdlenia, który częściej się potem powtarzał, ilekroć ktoś dziewczynę nagle

przeraził — matka nie podnosiła ręki na syna, aż do fatalnego dnia rozstania. Lecz jej niechęć tem bardziej się potęgowała, iż nie mogła się przejawiać w rękoczynach. Syn przestał po prostu dla niej istnieć; zajmowała się tylko dziewczynką. Niezmordowaną była w staraniach o jej zdrowie, sprowadzała lekarzy i znachorów, pielgrzymowała do przeróżnych miejsc odpustowych, dawała wciąż na mszę, a przede wszystkim okazywała dziewczynie we wszystkim ustępliwość, by uniknąć każdej pobudki, mogącej spowodować atak nerwowy. Słaby i łagodny ojciec godził się na wszystko. Nie było mu dobrze we własnym domu. Miasto było tak blisko, że widać było zielone krzewy przed drzwiami szynków. Więc obchodził solennie wszystkie chłopskie święta, od których czerwieni się obficie kalendarz tyrolski, i opowiadał każdemu z dumą i spokojem, że w ostatnich pięćdziesięciu latach trzech z jego rodziny zmarło na delirjum, co zaprawdę nie jest najgorszym rodzajem śmierci.

Swej żonie stał się oddawna obojętny. Nie kochała na świecie nikogo prócz córki. Również sąsiedzi i krewni stronili coraz bardziej od niej, gdyż wybryki jej budziły w nich zgrozę. Dom stał samotnie na skale, zdala od drogi, wijącej się dokoła Küchelbergu do wsi Tyrol. Nikt tu

nie wstępował; do nikogo nie przychodziła; w kościele, do którego szła nad ranem, miejsce obok niej pozostawało zawsze puste.

Toteż w tych okolicznościach nie dziwota, że Józef Hirzer unikał wszelkiego zbliżenia; zabronił stanowczo swej siostrze zajmować się chrześniami, zakazał swym dzieciom, które Andrusia i jasną Marysię spotykały w szkole, wspominać o nich w domu. On sam stawał się coraz zamożniejszy, uchodził za tęgiego gospodarza, doskonałego hodowcę winorośli i z wszech miar honorowego obywatela, podczas gdy siostra jego w równej mierze zyskiwała sobie łaskę u Boga i ludzi, zwłaszcza gdy cały swój majątek testamentem zapisała kościołom i klasztorom, za co jej księża przyobiecali, że z pewnością pójdzie wprost do nieba. Brat nie mógł temu przeszkodzić. Syn jego i trzy córki były i bez spadku po ciotce dostatecznie zaopatrzone w kwitnące, obszerne dobra obojga rodziców. A gdy ich matka przedwcześnie umarła, zastąpiła ją ciotka Anna i tak się dziećmi zaopiekowała, że również i bez brzęczących dowodów miłości zachować ją miano po najdłuższem życiu w dobrej pamięci.

Jednak dzieci, mimo że bały się ojca, nie słuchały go tak ślepo i wcale nie unikały w szkole w Meranie Andrzeja i jego siostry. Ma-

jąc łagodne, pogodne usposobienie, zbliżała się do nich Marysia zupełnie swobodnie, jak wogóle do każdego, kto wobec niej był uprzejmy; Andrzej mniej był przystępny, jednak dcsyć się z nimi zgadzał, gdyż wiedział, że jego matka chrzestna, ciotka Anna, tylko ze względu na jego matkę tak mało się o niego troszczy. Był to zresztą cichy, zamyślony chłopak, najchętniej nie wdający się z nikim w zbytnią zażyłość; od wczesnej młodości przejawiał dziwną zazdrość wobec wszystkich, którzy się zbliżali do jego siostry. Najmilej mu było w niedzielę, gdy hen w górze bez obcych dzieci przez cały dzień pozostawali razem z sobą, a mała dla nikogo się nie stroiła, jak tylko dla niego jednego. Urządzili sobie pod wystającą skałą, pokrytą gęsto bluszczem, schronisko z wieloma pilnie strzeżonemi, a tylko przez jaszczurki nawiedzanemi schowkami. Latem, gdy winorośle sięgały do stóp ich schroniska, siedzieli tam dniami całemi, a dziewczynka nizała niemordowanie ostrą szpilką błyszczące, żółte ziarna kukurydziane na długie nici, z czego powstawały przepiękne sznury. Gdy łańcuszki były gotowe, przyklękał brat przed Marysią i zdobił jej czoło, szyję, ramiona w kunsztownie wijące się pierścienie. Przytem wyobraźnia ich ulatywała w wyśnione krainy, a dziewczyna uczuwała taje-

mną rozkosz, być przedmiotem podziwu i uwielbienia. Zdało się jej, jakby odblask świętości opromieniał jej głupią główkę. Chłopak był jeszcze uroczystszy; biada temu, ktoby w tej chwili nadzedł i przeszkodził mu w jego hołdach. Miał też za złe siostrze, jeśli nagle poczyniała się śmiać i z przekory czy nudów rozrywała żółte łańcuszki, a ziarnka staczały się szybko z góry.

Przez pierwsze lata matka nie przeszkadzała im w samotnych zabawach i znikaniu w kryjówkach i skrytkach. Lecz gdy Andrzej stał się większy, i z coraz silniejszym wyrzutem w twarzy i ostrym wzrokiem spotykał przejawy nienawiści matki, starała się go wobec dziewczynki zozydzić różnemi podejrzeniami i złemi słowami, korzystała z widoczną satysfakcją z każdej sposobności, by dzieci poróżnić. Skłoniła nawet męża, by nieużytego chłopca, nie mającego ochoty do pracy, oddać do „księdza z dwunastówki“; niech się tam uczy i zostanie księdzem. Więc Andrzej opuścił dom matki. Był bardzo cichy i smutny przy pożegnaniu z małą, która się śmiała i nie rozumiała, co to rozstanie. Wikary mieszkał w Meranie przy ulicy, otoczonej dwoma rzędami kamiennych arkad, poprzez które słońce nie ma przystępu. Wąskie domy z ciasnemi podwórkami i ponuremi schodami są prastare i prze-

ważnie brudne, do suteryn przylegają od północy dalekie winnice, sięgające aż do podnóży Küchelbergu, od południa ścieli się widok na mury miejskie. Tu są jaśniejsze izby, a z okien wzrok sięga poprzez mur i rzekę w dolinę Adygi. Skromna kwatery wikarego była położona w tej stronie. Lecz chłopcu, przyzwyczajonemu do rześkiego powietrza w górach, wydała się jakby więzienie. Chętnie zamieniłby swą słoneczną izdebkę na poddaszu na ciemne okienko od strony północnej, z którego mógłby spoglądać na górę i małą skalną jaskinię tam ponad ostatnimi winoroślami, miejsce swych zabaw dziecięcych. Stał się jeszcze bardziej milkliwy, mimo uprzejmości swego nauczyciela. Nauka mu obrzydła, jadł mało, nie mógł sypiać, w ciągu czterech tygodni przybladł i zmizerniał. Pewnego dnia stanął przed nauczycielem i powiedział, że umrze, jeśli się go dłużej przetrzyma w mieście. Nigdy nie wymienił imienia swej siostry. Ale litościwy opiekun zrozumiał odrazu, że nieposkromiona tęsknota za siostrą trawi go, więc podjął się przekonać matkę o konieczności powrotu do domu. Stara pomstowała i ani słyszeć o tem nie chciała. Jednak z wieczora zapukał chłopak do drzwi chaty; po burzliwej scenie, zakończonej znowu atakiem nerwowym dziewczynki, zgodziła się wreszcie matka na po-



wrót syna, ale pod warunkiem, że będzie spełniał roboty parobka, a łoże swe miał w kącie szopy za domem.

Mała była bardzo szczęśliwa, że go znowu ma przy sobie; on sam za tą cenę nie unikał żadnych robót i nie lękał się niedostatku. Wykonywał wszystko, co mu ojczym zlecał, pracował w winnicy, chętnie szedł z posyłkami, a matkę widywał tylko przy jedzeniu; nigdy ani słowa do siebie nie przemówili. Ponieważ nie otrzymywał pieniędzy i miał marne ubranie, stronił od chłopców swego wieku, szynków, kręgielni. W święta przesiadywał jak ongi z siostrą, a mimo że oboje podrośli, on był silnym młodzieńcem, zaś ona przedmiotem pożądliwych spojrzeń i zalecanek niejednego chłopca — obcowali z sobą jak dzieci, rozmawiali swobodnie i niewymuszenie. Ona z wszech sił starała się ulżyć mu w ciężkim życiu, przynosiła mu najlepsze kaski, otrzymywane od matki lub kupowane w mieście. Nigdy nie chciał brać matczynych darów, natomiast widoczną radość mu sprawiało, gdy go obdarowała czemś zakupionem. Często po ciężkim dniu pracy, zwłaszcza w czasie zbiorów, zakradała się do niego i siedziała w ciemności obok jego posłania, składającego się z wiązki siana i nędznej derki. Bawiło ją to, gdy w ciemności nie rozpoznawał, kto

jest przy nim i nawpół jeszcze śpiący odsuwał jej rękę, bawiacą się jego włosami, jak gdyby odpędzał od siebie mysz polną. Gdy się budził i słyszał jej jasny śmiech, udawał, że śpi dalej, by dłużej z nim figlowała. Zawsze ją odprowadzał do kościoła, tu jednak zazdrość zżerała jego serce, gdy zbliżali się do niej chłopcy, zaś ona wcale się przed nimi nie opędzała. Spotykał też tu swą chrzestną matkę, ciotkę Annę; chętnie do niej zbliżałby się, gdyż witała go zawsze dobrem i serdecznem spojrzeniem, lecz zawsze stał, jakby na warcie, Józef Hirzer i groźnym wzrokiem dawał do poznania, że nie życzy sobie żadnego zbliżenia. Toteż witano się zdaleka oziębłe, choć Maryś często opowiadała bratu, że Różyczka, najmłodsza córka Hirzera, pozostała po zamążpójściu obu swych starszych sióstr sama w domu, niejednokrotnie długo nań spogląda i z pewnością jest w nim zakochana.

Ilekoć o tem wspomiano lub czyjeś wesele było przedmiotem rozmów, popadał Andrzej w zamyślenie i przerywał dalszą rozmowę. Miał widoczny wstręt do mówienia o kochaniu. Nie można było też zgadnąć, czy wogóle myśli kiedy o założeniu własnego ogniska domowego. Ale z dziwnym wyrazem strachu patrzył w twarz

siostry, gdy zajmowała się swą przeszłością i mowa była o możliwości rozstania się.

— Dzieckiem jesteś! — mawiał wtedy. — Wszyscy mężczyźni są źli, małżeństwo to niedola. Zostaniesz ze mną, będę dla ciebie pracował i zapewnię ci życie bez trosk. Po co ci inni? Prędeż rzeka popłynie w górę, zanim się trafi taki, coby był dla ciebie odpowiedni.

Śmiała się wtedy, gdyż jej takie słowa schlebiali. Lekkomysłna jej natura nie skłaniała się też dotychczas poważniej ku żadnemu z zalotników. Zresztą i matka przyczyniała się do tego, by odstraszyć poważniejszych konkurentów. Toteż przez szereg lat w zagrodzie na Küchelbergu żyła ta gromadka ludzi obok siebie i nie zanosilo się na żadne zmiany.

Wreszcie pewnego dnia uległa głowa rodziny wpływowi tej gwiazdy, która już godnym jego przodkom oświeślała drogę do grobu. Umarł na obłęd opilczy. Od tego czasu wszelkie starania wdowy zmierzały do tego, by syna pozbyć się z domu. Darujmy sobie dokładny opis dzikiego zajścia, które jej dopomogło do osiągnięcia tego celu. Rodzeństwo rozstało się; jasna Maryś nie miała odwagi namawiać brata, by się narażał na dalsze znieważania.

— Idź! — rzekła. — Tak będzie lepiej. Ja cię

męką; oddech jej, owiewający twarz jego, pobudzał krew jego do szybszego krążenia.

Zapadał mrok. Śpiąca obudziła się, podniosła głowę i rozejrzała się. Gdy zobaczyła obok siebie brata, uśmiechnęła się serdecznie.

— Jak długo spałam? — zapytała zdziwiona.  
— Jak to się stało, że się tu położyłam?

— Było gorąco. Teraz idź do domu, Maryś. Ja muszę obejść rejon i przekonać się, czy wszystko w porządku.

Powstała i podała mu rękę.

— Dobranoc, Andrzeju — powiedziała szybko, a w świadomości jej błysło niejasne wspomnienie tego, co zaszło przed zaśnięciem. — Pojutrze niedziela. Przyjdiesz przecież do kościoła!

— Nie, Maryś, wiesz przecież, że muszę tu pozostawać na posterunku, dopóki się nie skończy okres stróżowania.

— Tak, to prawda — odpowiedziała w zamysleniu — przyjdę znowu do ciebie. Dobranoc!

Walczył z sobą, by jej powiedzieć, aby więcej nie przychodziła. Lecz zanim się zdecydował, odeszła. Stał u wylotu ocienionej drożyny i spoglądał, jak wstępowała szybko na strome schodki kamienne. Jej sukienka poruszała się zgrabnie dokoła kolan, za każdym krokiem fałdując się i rozchodząc wachlarzowato. Na skrócie ski-

nęła ku niemu raz jeszcze ręką. Nie pozdrowił jej; poręcz, o którą się opierał, drżała; długo powstrzymane westchnienie nie przyniosło mu ulgi; czuł ucisk w piersiach.

W tej chwili usłyszał szybkie kroki z dołu i poznał jednego z kolegów, brodatego, silnego draba, również odzianego w strojny, stróżowski kapelusz; zamiast halabardy miał w dłoni olbrzymią świerkową palkę, którą wesoło potrząsał.

— Andrzej! Co z nocą? Czy mam z tobą czuwać? Miałeś zajście z Włochem, widziałem to. Bądź pewien, że ci tego nie daruję i sprowadzi ci innych na kark. Patrz, mam tu coś takiego, co pokiereszuje plany tym zbójom!

Wyciągnął z kieszeni swej skórzanej kurtki mały pistolet.

— Dziękuję Ci, Jasiu — odpowiedział Andrzej. — To tchórz. Sam nie przyjdzie, a jeśli ich będzie chmara, to we dwójkę nie damy rady. Dam ci wtedy znak, a ty uwiadomisz naszych, by się mieli na baczności. To zaś — wskazał na kieszonkowy pistolet — zostaw w spokoju. W ciemności jest nieprzydatne. Gdy kogo z nich schwytamy, to uczciwa porcja kijów przyda się więcej, niż dziura w ciele, która potem będzie świadczyła przeciw nam w sądzie.

— Jak chcesz. To na wszelki wypadek. Chciał-

bym, by przyszli. Mam zakarbowany wcale pokazny obrachunek z nimi, a Kuba też jest rozwścieczony na tych lotrów. Raz wreszcie musimy się z nimi rozprawić.

Andrzej milczał; brodacz poszedł sobie... Wszyscy bowiem znali Andrzeja jako dziwaka i samotnika i nie narzucali mu się.

Słońce zaszło już za górami, lecz godzinami jeszcze noc nie władnęła światem całkowicie. Spływając poprzez pasma górskie docierała jeszcze jaśń dzienna, nad rzeką unosiły się niebieskawe opary, gdzieniegdzie przetykane smugą słoneczną, zakradającą się w doliny z poza ścian górskich. Pasterze spędzali w dole na łąkach swe trzody, a wszystkie drogi ku wsiom ożywiły się przecho-dem krów, które przez dzień pasły się nad strumieniami. Od południa góry trientyńskie i śmiało w niebo wystrzelający szczyt góry Mendel zasnute były wilgotną mgłą. Potem ukazała się wąska smuga księżyca, który, rzuciwszy niepewne spojrzenie w cichą głębię, znikł wkrótce w ciężkiej wilgoci, leniwie posuwającej się nad górami. Przebrzmiały ostatnie szmery w mieście, ostatnie głosy dzwonów na wieżach. Huczały tylko chyże wody górskie, zdala szemrzał wiatr południowy, uniósł nieco w górę kurz na drogach i zaszeleścił w zeszlę, zeszlórocznem listowiu. Około je-

denastej i te szmery zamilkły, dokoła rozpostarła się nieruchoma, czarna noc bezgwiezdna, bezgłówna, wilgotna, a ciepła...

W takie nocy dozorczy w winnicach czuwają bez chwili snu. Wiedzą, dlaczego. Gdyż w takie bezksiężycowe noce najłatwiej wdrzeć się w winnicę i wyrządzić wielką szkodę.

Pod swą szopą, krytą liśćmi kukurydzianemi, siedział Andrzej, pykał z małej fajeczki i często sięgał w ciemności do dzbanka, który z nastaniem mroku mu przyniesiono. Ciężkie krople deszczu, które pojedynczo nań kapwały poprzez liściasty dach, nie przeszkadzały mu i nie raziły. Wyteżał słuch w stronę miasta, a gdy wybila jedenasta, podniósł się cicho i zakradł się ku miejscu obok drogi, gdzie miał w wylocie skalnym, ukrytym wielkimi liśćmi dyni, wyborny punkt obserwacyjny. Tu przysiadł za kamieniami, oparł halabardę wygodnie, by ją mieć stale pod ręką i zapalił swoją fajeczkę. Czuł się teraz o wiele spokojniejszy niż za dnia. Było mu dobrze z tem, że swojemu wewnętrznemu niepokojowi miał niebawem dać ujście w spodziewanem niebezpieczeństwie. Był bowiem pewien, że żołnierz tej nocy zechce się zemścić.

Lecz wróg nie kwapił się; widocznie zamierzał usnąć jego czujność. Z wieży doleciały już dźwięki

dwunastu uderzeń, północ minęła, a nie ruszyło się nic na drodze. Jeden z dozorców, stróżujących w pobliskiej posiadłości, dotarł w swym roncie do Andrzeja.

— Dziś nie przyjdą — szepnął. — Idę w górę do chaty. Gdy się co zdarzy, zagwizdaj.

— Dobranoc! — mruknął Andrzej.

Był kontent, że tamten sobie poszedł. Najchętniej sam jeden rozprawiłby się z Włochem.

Znów upłynęło pół godziny. Nagle począł nadsluchiwać...

Niedaleko, tam gdzie sadyba chłopska opierała się o górę, między winnicami, rozległ się gwałtowny ryk i wkrótce wśród łomotu trzaskających desek oparkanienia, potoczyła się ciemna masa, niepodobna do ludzkiego tworu. Andrzej podskoczył, serce mu biło, zrobił znak krzyża. Stał nad wyrwą w murze, ujął silnie w dłoń halabardę i starał się wzrokiem przebić ciemności, ścielące się nad miejscem, z którego dolatywał hałas. Ryk zbliżał się, zdało mu się, jakby ku niemu toczyło się postrzelone dzikie zwierzę, szukające w swej wściekłości myśliwego. I oto teraz dopadło muru, kamienie potoczyły się po krzewach nad murem; zagadkowe cielsko trzasnęło z taką siłą o ziemię, że mur, do którego Andrzej był przyparty, zatrzęsł się.



Zapanowała nagle cisza; tylko ciche jęki do-  
latywały z miejsca, w którym legła czarna masa.  
Andrzej nie miał więcej żadnych wątpliwości, że  
leży tam jedna z krów sąsiada, którego stajnia  
graniczyła z winnicą. Obudziły się w nim straszne  
podejrzenia. Gwizdnął, pobiegł po schodkach  
w dół i dopadł drogi.

Zwierzę leżało na skraju drogi, wciśnięte w ka-  
mienię, biło odnóżami i ryło rogami w ziemię.  
Lecz widocznie ból, który je wprzód pędził w dal,  
ustąpił; czasem tylko głucho ryknęło, jakby  
chciało wołać o pomoc.

Z różnych stron podeszło obecnie kilku chłop-  
ków i poczęło krowę podnosić i stawiać na nogi. An-  
drzej milczał, jeno uważnie szukał czegoś na ziemi.  
Ostrzem swej halabardy podniósł coś tłącego się-

— Tak jest! Odrazu sobie pomyślałem. No-  
sem wyczułem, gdy tu podszedłem. To jeden  
z ich łotrowskich kawałów. Patrzcie!

Pokazał im kawał lontu, tłący jeszcze mimo  
wilgoci.

— Łajdaki! Wsadzili go do ucha niewinnego  
bydlęcia. Gdyby krowa nie była tu runęła, byłby  
lont jej łeb przepalił do mózgu, i bydle poszłoby  
na marne. Padając, krowa wytrząsnęła z siebie  
lont. Chłop ma szczęście. Ale gdybym tu miał  
łotra, Boże święty!...

Jaś odwiódł kurek swego pistoletu.

— Pójdiesz, ze mną, Andrzeju?

— Nie. Zostaw w spokoju ten kawał żelaza. Postawcie krowę na nogi i zabierzcie ją do stajni. Sam pójdę.

Skoczył wielkimi krokami poprzez brzozy na łąkę. Żądza walki władała nim i ostrzyła jego zmysły. Deszcz padał teraz silnie, wiatr szumiał. Mimo to usłyszał Andrzej, gdy się zbliżył do bramy miejskiej, kroki z oddali i ujrzał przed sobą dwie uciekające postaci, w których poznał po białych kurtkach swych znienawidzonych wrogów. Jeszcze sto kroków, a dopadną murów miasta. Lecz poruszali się widocznie bardzo powoli. Jeden z nich — a można było już dokładnie rozeznąć — kulał, oparty o ramię swego towarzysza. Widocznie bydle broniło się rogami. Szli rozmawiając o swym bezecnym czynie, kulejący śmiał się głosem, w którym mściciel poznał żołnierza, spacerującego rankiem poprzedniego dnia z Marysią. Lecz śmiech ten nagle zamienił się w okrzyk przerażenia. Rażony pchnięciem halabardy, padł żołnierz na kolana i skomlił jedno tylko słowo: pardon. Nowy cios zwałił go na ziemię. Towarzysza, szykującego się do pomocy, chwyciły dwa stalowe ramiona i poczęło się w ciemności straszne mocowanie; żaden nie rzekł ani słowa;

zgrzytały tylko zęby obu wrogów; oczy ich wpatrywały się w siebie z nietajoną wściekłością. Wtem udało się żołnierzowi wypchać swego wroga na krawędź fosy przydrożnej; Andrzej pośliznął się i wpadł w rów. Gdy się po chwili podniósł, żołnierz zdołał już zbiec; przystąpił tedy do drugiego, leżącego nieruchomo; potrząsał nim i chciał podnieść; bezskutecznie; nie dawał znaku życia.

— Umarł! — powiedział Andrzej głośno.

Na dźwięk własnego głosu wstrząsnął się. Nagle uprzytomnił sobie własne, nędzne życie. Sumienie jego nie było wcale tem ruszone, że zabił człowieka, który nocną porą jak rabuś się zakradł do cudzej własności, za co go spotkała słuszna kara. Gdyby tak przed nim leżał ten drugi żołnierz, nieznany mu zupełnie, z rozbitym łbem, w kałuży krwi — nie byłby się tem zbyt przejął. Boć to był ten, którego znienawidził, gdyż Maryś była dlań uprzejmą, Maryś, siostra jego!... Teraz nagle po raz pierwszy z nieubłaganą jasnością uświadomił sobie swój przeklęty los. Przez cały dzień i pół nocy czatował z myślą o krwi i zemście. Czy chodziło mu o zemstę za kradzież winogron i męki, zadane bydłeciu? Miał pomścić inne przestępstwo: ten człowiek ośmielił się wdać z dziewczyną... Maryś śmiała się, gdy

do niej mówił... Maryś broniła go przed gniewem brata... To musiał odpokutować, dlatego jedynie leżał teraz w kałuży krwi, zaś nad nim stał nie stróż prawa, lecz morderca, potępiony przez własne sumienie.

Właśnie nadszedł Jaś i kroki jego przerwały ponure rozmyślenia Andrzeja. Nie rzekł ani słowa. Gestami dał swemu towarzyszowi do poznania, że należy trupa podnieść i zanieść do klasztoru Kapucynów, tuż pod murami miasta się znajdującego. Dopiero pod bramą klasztorną, gdy ciało złożyli pod progiem, rzekł glucho:

— Pociągnij za dzwonek, Jasiu, i poczekaj, aż otworzą. Możesz im powiedzieć, że ja to zrobiłem. Bóg z tobą! Mnie nigdy już nie ujrzysz!

Odwrócił się i znikł w ciemnej ulicy.

Spieszno mu było bardzo, jednak kroczył powoli, ociężale. Gdy wszedł w ciemne arkady ulicy, wiodącej na plebanję, nie uczuwał więcej rzęsiatego deszczu, od którego cały przemokł. Usiadł na kamieniu i oparł głowę o filar. Tu za dnia przesiadywała starucha, piekąca w piecyku żelaznym kasztany. Ziemia wokół była pokryta lupinami, trzeszczącymi pod okutymi butami Andrzeja. Jakże często koił tu głód, gdy mu duma nie pozwalała prosić własną matkę o jedzenie! A tam, kilka domów dalej, był sklep cukiernika, do któ-

rego Maryś zanosila zaoszczędzone swe grosze. Miał teraz wyraźnie przed oczyma wielkie biskoptowe serce, pierwszą łakotkę, którą sobie kupiła. Chciała się z nim podzielić, a gdy odmówił, rzuciła biskopt do rzeki, mimo że miała wielką chętkę zjeść go; płakała bowiem, rzucając łakocie do wody. Teraz jeszcze myśląc o tych dziecinnych łzach, uczuwał triumfującą radość, iż posiadał tyle władzy nad jej serduszkim. Lecz tej samej chwili przeraził się własnej radości. Zmieszany podskoczył z kamienia i począł iść wzdłuż pustych podsieni, aż doszedł do domu, w którym mieszkał wikary. Brama domu była otwarta, sień z spruchniałemi, krętymi schodkami tak ciemna, że groziła każdemu, nie rozpoznającemu się w terenie, runięciem ze schodów i złamaniem karku. Andrzej stąpał cicho a pewnie, znał każdy stopień i każdy skręt. Nietoperze za-furkotały, gdy dostał się na poddasze, na którym znajdowała się kwatery księdza. Przystanął pod drzewami i nasłuchiwał, czy usłyszy wewnątrz oddechanie śpiącego. Potem zdecydował się wejść.

Izba jednak była pusta; również i w sąsiedniej komórcy, w której ongi sam mieszkał, nie było nikogo. Ogarnęło go poczucie, że teraz przez wszystkich jest opuszczony, przez Boga i ludzi;

siadł na łóżku i począł rozmyślać o przeszłości, o latach, które minęły...

Wielki kocur, domownik wikarego, zakradł się cicho do łóżka, poznał swego dawnego przyjaciela i począł ocierać swój miękki grzbiet o jego piersi. Andrzejowi potoczyły się łzy z oczu; zanurzył twarz w jedwabistą sierść swego starego ulubieńca. To mu sprawiło widoczną ulgę. Podniósł się potem i po omacku zszedł ze schodów. Właśnie wybiła pierwsza godzina. Musiał się spieszyć, jeśli miał wykonać to, co sobie przedsięwziął.

Skierował się w stronę zamku, w którym Hirzer mieszkał. Wikary był tam bardzo chętnie widziany; może tam przedłużył swe budujące dyskusje z ciotką Anną lub zasiedziało się przy winie i pozostał na noc. Przeszedł więc znowu przez ulicę, ocienioną arkadami, przekradł się przez bramę miejską i wszedł na kamienną kładkę na rzece. Deszcz przestał padać, chmury rozeszły się, z północnego wschodu powiał wiatr i wypogodził kawał nieba, tak że słabe promienie księżycowe padały na pieniające się fale, huczące w skalnym parowie. Oto po lewej stronie góra, kwadrans drogi, a mógłby dojrzeć okna, za którymi śpi siostra... A tu... kamienny parapet... ostatnia modlitwa i szybki skok... byłby wyzwolony

z ziemskich mąk. Lecz jakby pędzony lękiem przed obiema pokusami, przyspieszył kroku, niemal biegł po kamiennych płytach mostu i otarł sobie pot z czoła, gdy wstąpił na stok góry.

Dozorcy w winnicach wołali nań, gdy przechodził po drożynach, pnących się w górę. Dawał znak powitania halabardą, ale nie zatrzymywał się i nie odpowiadał na pytania. Coraz niecierpliwiej spoglądał wzwyż, ku zamkowi, czarnej, nieforemnej masie kamieni, w której szumiały wierzchołki drzew kasztanowych i dokoła której płynęły błyste potoki w nizinę. Tą drogą nie szedł Andrzej od siódmego roku swego życia, gdy raz jedyny odwiedził dzieci Hirzera, zaś w głębi duszy pragnął ujrzeć swoją cichą, bladą matkę chrestną, ciotkę Annę. Wówczas chłop skrzyczał go ostremi słowy i zakazał się pokazywać tu kiedykolwiek na oczy. Poszedł oburzony i żadna siła nie byłaby go skłoniła, by przestąpił próg tego złego człowieka. Lecz w swem obecnem utrapieniu musiał zapomnieć o dawnym gniewie.

Gdy się znalazł na górze, po męczącym błędzeniu w skałach, uczuł wielkie zakłopotanie, gdyż nie znał rozkładu olbrzymiego zamczyska. Przystanął na chwilę bezradnie pod sklepioną bramą, wiodącą do wewnętrznego podwórza. Ujrzał wąskie, drewniane schodki, przyklepione pod go-

łem niebem do zmurszałych murów, a prowadzące do sal jeszcze zamieszkałych. Lecz gdyby obudzil wrogię sobie chłopę, a nie zastał wikarego — co powie, by usprawiedliwić nocne odwiedziny? W głowie miał taką pustkę, iż z trudem mógł o tem wszystkim myśleć. Już zamierzał pójść sobie, nie dotarwszy do celu, gdy rozległo się szczenie psa, umieszczonego na łańcuchu w wgłębieniu muru.

Stary ten wartownik z biegiem lat stał się zbyt leniwy, by się ruszyć z miejsca, lecz w lekkim swym śnie słyszał każde stąpienie obcych nóg.

Natychmiast u wylotu drewnianych schodów otwarły się drzwi i pojawiła się kobieca postać. Andrzej słyszał, jak uspokajała psa słowami, które snadnie mogły być zwrócone i do człowieka. Cichaj! — mówiła — masz na stare lata niespokojne sny, nie dajesz spać ciotce Annie...

— Różyczko! — zawołał Andrzej.

Dziewczyna wzdrygnęła się i cofnęła ku drzwiom. Przez chwilę nasłuchiwała. Gdy poraz wtóry usłyszała swe imię, postąpiła kilka kroków i nachyliła się nad poręczą schodów.

— Kto tam w dole? — zawołała drżącym głosem — to ty, Andrzej?

— Ja. Czy wikary jest w domu?

Jakby nie dosłyszawszy zapytania, pobiegła



z powrotem do domu. Andrzej stał na miejscu, srodze się niecierpliwiał. Wołał jej imię głośno, iż odbrzmiewało echem w zwaliskach zamkowych. Wreszcie wyszła z powrotem; miała na sobie zarzuconą chustkę; szybko zbiegła w dół po stromych schodach.

— Andrzej! czy to możliwe? — szeptała — czego szukasz tu o tej porze? Czy co zaszło? A może Maryś, albo...

— Szukam wikarego — przerwał. Powiedz, czy jest tu, lub gdzie go mogę zastać.

— Jest tu — odpowiedziała szybko. — Chodź! Sprowadzę cię do niego, ojciec śpi mocno, nikt prócz ciotki nie dowie się.

— I ona też nie! Nie mam wiele czasu. Dobrze, żeś się zjawila. Chciałem właśnie wracać.

Wyszli po schodach. Pies skomlał zrzędnie, lecz nie przeszkadzał w wejściu do domu.

— Śniłam o tobie, właśnie zanim przyszedłeś — rzekła dziewczyna, zapalając w kuchni lampkę. — Był to straszny sen. Leżałeś martwy na brzegu. Wyciągnęli cię z rzeki i usiłowali przywrócić do życia... Stałam obok i powtarzałam wciąż: dajcie mu pokój, to wszystko nie pomoże! Mróz szedł przez moje ciało i lękałam się własnego głosu, a jednak musiałam wciąż powtarzać: to wszystko nie pomoże, on jest nieżywy... wtem zaszczekał

pies, i oto stoisz żywy przede mną, Andrzeju, chwała Bogu!

— Sen może się sprawdzić — mruknął między zębami, zaś głośno dodał: — Żyję jeszcze, Rózo, ale muszę stąd pójść precz, wkrótce się dowiesz, dlaczego. Tej nocy jeszcze muszę pójść, po rozmowie z księdzem.

Dziewczyna puściła z rąk lampę, oliwa polala się na ziemię. Jej delikatna, blada twarz zaróżowiła się, piękne, brunatne oczy patrzyły z przestraszeniem, jakby zoczyła upióra.

— Chcesz pójść precz? Czy to możliwe, Andrzeju? Opuścisz Marysię i nas wszystkich? A kiedy wrócisz? Co się stało? Czy matka znowu...

— Milcz o matce! — przerwał szybko. — Nie pytaj, wszystko się wyjawia. A teraz powiedz, gdzie ksiądz śpi. Nie mam ani chwili do stracenia.

Podniosła z podłogi lampkę i szła przodem przez korytarz, z którego białe tynkowane ściany spoglądały na nich prastare, brązowe figury świętych. Wąskie schody kamienne prowadziły do górnych pięter; wszędzie dolatywał zapach pięknych, dojrzałych jabłek, leżących w kącie korytarza. Stary zegar ścienny tykotał twardo długiemi wahadłem; myszy umykały do swych dziur, spłoszone zbliżającemi się krokami.

— Tu! — powiedziała dziewczyna, wskazując na wielkie, prastare drzwi. Dała mu do ręki lampę i zatrzymała się pod drzwiami, czekając, aż wejdzie. Przez chwilę brała ją pokusa, by przyłożyć ucho do dziurki od klucza. Potem potrząsnęła smutnie głową i wróciła do pustej kuchni, by tu czekać, aż powróci.

On zaś stał czas jakiś w olbrzymiej, dokoła ciemnymi, drewnianymi płytkami pokrytej sali, do której przylegała nyża z łóżkiem wikarego. Nie mógł się zdecydować na obudzenie pogrążonego w spokojnym śnie. Po raz pierwszy wy czuł, że drogi jego nauczyciel i duchowy opiekun nie ma tej władzy, by uśmierzyć burzę, szalejącą w jego duszy. Sprowadziła go tu żądza schronienia się ze swem ciężko grzechami objuczonym sumieniem do pewnego portu, za jaki uważał rozum i serce księdza. Lecz spokój, rozpostarty na tej cicho oddechającej, lekko zaróżowionej twarzy, zaniepokoił go. Pocóż swą nędzę i biedę i ból wyznawać, jeśli nikt dopomóc nie może?

Zabierał się już do wyjścia z sali tak cicho, jak niepostrzeżenie wszedł, gdy śpiący, widocznie pod wpływem blasku lampki, poruszył się na łóżku i ze snu, z zamkniętymi oczyma, mówił:

— Tegoroczne wino będzie dobre, ale zeszłoroczne było lepsze. Pilnuj uważnie, Andrzeju...

— Przewielebny księżu — powiedział chłopak podniesionym głosem — to ja tu jestem, proszę o wybaczenie, że przeszkodziłem we śnie. Ale nie chciałbym pójść w świat, nie pożegnawszy się z księdzem.

Przerażony podskoczył ksiądz i patrzył z rozwartemi oczyma na nocnego gościa.

— Na rany boskie! — zawołał — co się stało? Andrzej... czy to ty naprawdę, tu na górze, na zamku Goyen, o tej porze, z twarzą raczej podobną do trupa niż do żyjącej istoty?

— Tak jest, księżu, podobnym do trupa. Muszę uciekać jak Kain, zabiłem człowieka, nie ma dla mnie więcej spokoju na ziemi.

— Andrzej! — krzyknął przerażony ksiądz — ty za...

Słowo zamarło mu na języku; siedział drżąc na łóżku, ręce mu opadły na czerwoną kołdrę.

Andrzej począł krótkimi słowy opowiadać dzieje ostatniego dnia i nocy. O siostrze nie wspomniał ani słowem.

Zakończył tem, że na razie zamierza schronić się do klasztoru i prosi księdza o list polecający, by go nie odprawiono z kwitkiem, gdy bez wszelkich dokumentów zapuka do furty. Potem zamilkł i czekał niecierpliwie, co na to wszystko odpowie jego opiekun duchowny.

Lecz ten patrzył przed się pogrążony w głębokie myśli.

— To nie dobry sposób, synu — powiedział wreszcie, a twarz jego przybrała wyraz troski. Sądy zażądają twego wydania, a że nie masz święceń, więc cię z pewnością tu sprowadzą. Ale cóż mogliby ci złego zrobić, gdybyś wcale teraz nie uciekał? Nie ty przecież byłeś stroną atakującą, uderzyłeś w ciemności; biedna dusza ohydneho zbroja nie może cię nawet oskarżyć przed tronem Boga. Pójdiesz więc spokojnie do władz, zrobisz doniesienie i będziesz oczekiwał wyroku sądowego. Pomyśl, gdybyś uciekł z kraju, coby poczęła twa siostra, która żadnej podpory nie będzie miała, gdy matka oczy zamknie.

Żar buchnął chłopcu do twarzy; odwrócił głowę.

— Nie, nie zmienię postanowienia — powiedział głucho. Zostać tu, tłumaczyć się, ponieść karę, być przedmiotem litości! Raczej odrazu do piekła... Boże, wybacz grzeszne słowa! Jeśli przewielebny panie nie raczycie mi dopomóc, powiem: z Bogiem! i pójdę swoją drogą!... Jest coś — począł, ociągając się — nie mogę księdzu powiedzieć... co mnie stąd wypędza... zdaje mi się, że udusiłbym się, gdybym dłużej między temi górami czerpał tchu... A gdyby

nawet wobec władz wszystko dobrze poszło, nie pozostałbym tu, poszedłbym i tak do klasztoru, gdyż Pan Bóg zakazał samemu kres kłaść własnemu życiu, co zresztą najchętniej zrobiłbym. Ale przecież dokądś muszę pójść, gdziebym był dla wszystkich jak umarły i pogrzebany, i też sam zapomniał, że są jeszcze ludzie na świecie.

Ksiądz zmarszczył czoło, ściągnął ku górze brwi i pokiwał głową.

— Cóż to za tajemnicze sekreta? Nawet swemu spowiednikowi ich nie wyznasz?

— Tak jest, powiem — rzekł Andrzej, czerwieniąc się coraz bardziej — ale dopiero, gdy będę w klasztorze. I dlatego błagam usilnie, księże, dopomóż mi do odzyskania spokoju i nie odprawiaj mnie bez listu polecającego.

— Niech i tak będzie, biedny synu — rzekł ksiądz litościwie. Ongi czyniłeś wcale dobre postępy w studjach duchownych, a z łaciny coś przecież zostało w twojej pamięci. Polecę cię ojcu Benedyktowi (wymienił nazwę jednego z klasztorów Kapucynów, położonego wysoko w górach i z powodu ostrości klimatu mało odwiedzanego). Pokłoń się mu odemnie; jutro pošlę za tobą list, który wyjaśni mu twoje położenie. A teraz polecam cię świętej opiece Jezusa Pana i łask pełnej Matki Jego, zasię gdyby ci serce kazało, Andrzej,

zbyć się twych tajemnych bólów i mąk, wiesz, że mi możesz napisać i że zawsze u mnie znajdziesz chętny posłuch i współczucie. Bóg z tobą, synu!

Z widocznem wzruszeniem podał mu rękę, którą młodzieniec uniósł do swych warg. Andrzej uczuł nagle wielką ulgę w sercu i powoli zamknął za sobą drzwi.

Chociaż posuwał się z możliwą ostrożnością i cichością wzdłuż sklepionego korytarza i kamiennych schodów — nie chciał bowiem spotkać starego Hirzera — na dole wysłuchiwały przecież każdego jego kroku dwa pukające serca; wąska, blada ręka otworzyła drzwi izby, znajdującej się obok kuchni i przedwcześnie postarzała twarz śledziła za blaskiem światła, padającym z wąskich schodów. Ciotkę Annę przebudziły szmery w kuchni i wezwała do siebie dziewczynę.

— Nie chce nikogo zobaczyć prócz księdza — powiedziała Róża.

— Mnie będzie musiał widzieć — brzmiała cicha, ale stanowcza odpowiedź.

Ciotka szybko się ubrała i, nie mówiąc więcej ani słowa, usiadła na krześle przy łóżku i czekała, aż nocny gość zejdzie ze schodów. W ciasnej izdebce nie było innego światła, prócz słabego odblasku księżycy, wnikającego przez małe szybki. Krucyfiks nad łóżkiem, klęcznik w kącie, skromne

mebelki, przystające do ścian, wszystko to wionęło ową melancholijną tajemniczością, rozpościerającą się dokoła staropanieństwa, dokoła rezygnacji z wszelkich nadziei i radości życia. Ta izdebka widziała wiele spadających łez i słyszała wiele wyszeptanych modlitw. Róża ujrzała i teraz, że ciche wargi ciotki poruszają się i nie śmiała przerywać pobożnych myśli.

Wtem zabrzmiały na górze kroki; ciotka powstała z krzesła i podeszła do drzwi.

— Andrzej! — zawołała w sień.

Młodzieniec przystanął na schodach niezdecydowany. Chciał bez dalszej przeszkody ruszyć w drogę, a jednak nie mógł przejść mimo, tembardziej, że nie miał więcej w życiu ujrzeć tych cichych, pełnych miłości oczu...

— Nie śpisz, matko chrzestna? — powiedział wreszcie. — Prosiłem przecież Różę...

— Sama się obudziłam. Wejdzże, Andrzej! — ujęła go za ramię i wprowadziła do izdebki — a teraz powiedz mi, co zamierzasz, co zaszło, że o tej porze tu przybyłeś. Wszak jesteś dozorcą w winnicy; jakże mogłeś opuścić swój postereunek?

Trzymała go za rękę i mówiła prędko, jakby chciała swe wewnętrzne obawy jaknajszybciej ukoić jego odpowiedzią.



Spoglądał ponuro na podłogę i zastanawiał się, ile ze swych tajemnic może jej zdradzić. Od lat wielu nie zamienił z nią słowa, lecz wiele o niej przemyślał i niejednokrotnie z utęsknieniem wyobrażał sobie, jakby to dobrze było spotkać ją kiedy samą i tak wprost od serca powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak mu źle z tem, że musi jej unikać. I teraz czuł też, że jeśli jest na świecie człowiek, któremu by mógł powierzyć swe tajemne bóle, to tym człowiekiem jest tylko ona! Ale Róża stała u okna, czas naglił, a zresztą... cóżby to pomogło? Również i ta świątobliwa osoba nie posiadała takiej władzy, któraby mu zwróciła z powrotem pokój duszy.

— Matko chrzestna! — rzekł — ksiądz wikary jutro ci opowie, dlaczego muszę opuścić te okolice. Od urodzenia byłem nieszczęśliwym człowiekiem, bez ojca i matki, bez szczęścia i gwiazdy. Najlepiej, że zamrę dla świata, zanim się stanę złym człowiekiem. Dlatego też chcę pójść do klasztoru; cieszę się, że cię przedtem mogłem jeszcze zobaczyć. Bo zawsze uczuwałem dla ciebie miłość i szacunek; Bóg wie, że byłoby lepiej ze mną, gdybym był mógł częściej cię widzieć i mówić z tobą. Gdyż jedynie przy tobie było mi dobrze na duszy i spokojnie, jak nigdzie na świecie. Dziękuję ci, matko, żeś mnie wtedy, gdym był bezradnem

dzieckiem, trzymała do chrztu i proszę cię, byś się i w przyszłości modliła, by się Pan Bóg nademną ulitował. Bo, zaprawdę, trzeba mi tego.

Uścisnął jej ręce i chciał opuścić izbę. Lecz stara zatrzymała go.

— Do klasztoru? Nigdy cię nie ujrzę? Muszę wszystko wiedzieć, Andrzej! Wyjdź, Rózo! Przyniesz szklanekę wina; jest blady i zimny jak śmierć. Na rany boskie, co się stało?

— Nie wysyłaj Róży, matko chrzestna! — rzekł ze strachem w głosie; czuł bowiem, że gdyby z nią został sam, zwabiłaby mu na język wszystko, co miał ukryte w głębi serca; taki bowiem wpływ wywierał jej łagodny głos i jej boleściwie spoglądające oczy.

— Nie gniewaj się, matko chrzestna, nie możesz niczego zmienić, a gdy kiedyś pomyślę, że mojami zgryzotami również i ciebie zmartwiłem, będę się czuł tem bardziej nieszczęśliwy. Jeśli mi chcesz wyświadczyć łaskę, to złoż mi ręce na głowę i pobłogosław mnie, bo żegnamy się na wieki.

Przyklęknął, a ona uczyniła, o co prosił. Podniosła go potem, a gdy ze łzami w oczach spojrzała w jego bladą twarz, nie mogła się powstrzymać, przycisnęła go do piersi i długo całowała w usta i oczy. Przez czas jakiś stali tak przytuleni do siebie, a w chwili błogości wzajem-

nego uścisku zapomniała stara panna o tem, co przyszłość przynieść miała, zaś młodzieniec o tem, co przeżył w przeszłości.

— Matko chrzestna! — rzekł wreszcie — nigdy nie zapomnę, jak dobrą dla mnie byłaś. Nie zapominaj i ty o mnie. Koguty wkrótce poczną pisać. Czas już, bym poszedł.

— Andrzej, moje biedne dziecko! — szepnęła stara i opadła na łóżko, kiedy przekraczał próg. Nagle podniosła się, myśl jakaś błysnęła w jej głowie, zawołała go po imieniu, jakby mu miała jeszcze coś do powiedzenia; potem wzrok jej padł na krucyfiks nad łóżkiem, potrząsnęła smutnie głową i ociężałym krokiem poszła ku oknu, by poprzez ciemności nocy wypatrywać jego kroków, jego postaci.

— Do klasztoru! — szepnęła. — Miłosierny Boże, bądź wola Twoja...

Na dworze, pod drzwiami domu, stała Róża, która przedtem już wykradła się z izdebki.

— Andrzej! — powiedziała, gdy chłopak się do niej zbliżył. — Jesteś bez kapelusza i kurtki. Wzięłam z rzeczy mego brata ubranie i czapkę. Jest w Insbrucku i nie potrzebuje tych rzeczy.

— Dziękuję ci, Różyczko. I ty jesteś dobra, jesteś jak ciotka. Myśl o mnie, gdy mnie nie będzie. Rzeczy ci kiedyś odeślę.

Dziewczyna milczała i walczyła z naporem łez.

— Czy Maryś wie o tem? — rzekła wreszcie.

— Nie. Możesz jej powiedzieć. Pozdrów ją odemnie po raz ostatni, a potem... dobranoc na zawsze, Różyczko!

Dotknął się lekko jej drżącej dłoni i zstąpił po drewnianych schodach; przeszedł przez ponure podwórze i znikł w bezgłośnej nocy, rozpościerającej się nad górami i parowami. Powietrze było chłodne i czyste i zwiastowało pogodny, wesoły dzionek.

\* \* \*

Wczesnym rankiem zstępował z zamku do miasta ksiądz. Obok niego szła Róża; miała ona ciotce Annie przynieść bliższe wiadomości o krwawem zajściu nocnem, zaś Marysi ostatnie pozdrowienie zbiega.

Na dole, w Meranie, wrzało. Lud gromadził się na ulicach i z nietajoną złością mówił o niecnym czynach niekarnego żołdactwa; imię Andrzeja było na ustach wszystkich. Gdzie dojrzano mundur, tam uciszały się rozmowy, lecz twarze stawały się groźniejsze, a dłonie ściszały się kurczowo.

Wikary szedł z rosnącym niepokojem w duszy. Uspokoił się nieco, gdy dowiedział się u Kapucy-

nów, że Włoch żyje; po wielu godzinach nieprzytomności otworzył oczy i usta, zaś lekarz spodziewa się wkrótce przywrócić go do zdrowia. Również i w dowództwie otrzymał pomyślne wiadomości. Panowała tam tendencja zatajenia całej sprawy, o ileby zbieg cicho siedział w klasztorze, lub zgoła przywdział habit na stałe. Obiecano stosować ostrzejszą dyscyplinę, by się podobne wykroczenia nie powtórzyły. Towarzysz zbójckiej wyprawy siedział w areszcie, chłop, któremu winnicę zniszczono częściowo, miał otrzymać odszkodowanie. Wszystko więc zwracało się ku dobremu, toteż zatroskany wikary mógł przesłać ciotce Annie dobre wieści, zaś do klasztoru dwa listy, jeden do swego przyjaciela, przeora, drugi zaś do Andrzeja, w którym odwoływał się do jego sumienia, by nie zwlekał, jeśli przygniata go ciężar grzechu, wypowiedzieć się listownie przed duchownym opiekunem swej młodości.

List taki nie przybywał jednak ani w najbliższym czasie, ani też po upływie tygodni i miesięcy. Przeor przysłał uprzejmą odpowiedź, że Andrzej Ingram rzeczywiście przybył do klasztoru i nosi już strój laika, bowiem wielokroć już i to bardzo stanowczo wypowiedział życzenie pozostania w klasztorze do śmierci. W późniejszym liście,

nadeszłym w Boże Narodzenie, wspomniał przeor krótko, że nowicjusz Andrzej zachowuje się ku ogólnemu zadowoleniu, wykonuje swą służbę cicho i skromnie, w godzinach wolnych od pracy studjuje w księgach klasztornych, jednak nie daje się namówić do napisania jakiegobądź listu. O wypowiedzanej tajemnicy nie było oczywiście w piśmie przeora ani słowa.

Ciotka Anna, otrzymawszy od wikarego pierwsze wiadomości, zamknęła się na cały dzień w swej izdebce, by bez przeszkód postem i modlitwą ubłagać niebo o łaskę dla swego chrześniaka. Różyczka chodziła po domu z zaczerwienionymi oczyma, a nawet matka, czarna Maryś, zdradziła pewne odruchy uczuć, oskarżając się wobec domowników o złość i surowość wobec biedaka, którego z domu wypędziła. Tylko siostra, która przecież najwięcej postradała wskutek jego zniknięcia, najmniej przejmowała się jego losem. Utrzymywała, że chce jej się śmiać, gdy sobie wyobrazi Andrzeja w sukni zakonnej z ogolonym łbem. Nie wierzy też, by rzeczywiście był w klasztorze. Nie ma on wcale usposobienia do samotnego życia, a wszystko to wymyślono po to tylko, by zwieść sąd wojskowy. Siedzi on zapewne w górach, poluje na kozice, pije wino i zjawi się pewnego pięknego dnia bez długiej,

kapucyńskiej brody i w świeckim stroju, w jakim sobie poszedł.

Dopiero, gdy w Boże Narodzenie nadszedł list od przeora, zaniepokoiła się. Przez trzy dni ani razu się nie zaśmiała, potem zaś zasiadła, by napisać list do brata, pełen żartobliwych słów, zakończony jednak poważnem upomnieniem, by wkrótce wrócił, gdyż „bardzo go potrzebuje.“ Pokazała list Róży, z którą teraz się częściej spotykała; odkąd bowiem Andrzej poszedł do klasztoru, chłop na Goyen nie miał nic przeciw obcowaniu swych dzieci z samotną dziewczyną. Róża przeczytała list w milczeniu. Wydawał się jej niezbyt serdeczny.

— Jeśli na taki list nie wróci — rzekła Maryś — to ma kochankę gdzieś tam w górach.

— Co pleciesz? — odpowiedziała Róża. — Posłaniec z Algundu widział go w sukience zakonnej.

Maryś zbladła.

— Gdyby to było prawdą, zagryzłabym się na śmierć.

Chciała powiedzieć: nikt temu nie jest winien, jak tylko — matka; lecz nie powiedziała. Usłyszała bowiem w drugiej izbie kaszel i jęki matki, która zimą pośliznęła się na lodzie i od tam leżała chora. Noc w noc trawiła ją gorączka,

która wyrywała z niej jakieś dzikie i dziwaczne słowa; na szczęście córka zasypiała i nie słyszała ich. Wikary pilnie przychodził, ciotka Anna przybyła także kilkakrotnie na Küchelberg, gdy się już miało ku wiośnie, a stan czarnej Marysi coraz bardziej się pogarszał.

Z ciotką przybywał zawsze Franek Hirzer, który już wrócił z Innsbrucku. Podczas gdy obie staruszki były w izbie, rozmawiał przed chałupą z jasną Marysią; stale się śmiała, aczkolwiek on mówił zawsze bardzo serjo.

— Maryś — zapytała pewnego dnia Różyczka — czy to prawda, że z Frankiem doszliście do porozumienia? On tak mówi, życzyłabym sobie tego, ale jakoś nie chce mi się wierzyć.

— Dlaczego nie? — powiedziała Maryś i pogładziła sobie z obojętną miną włosy. — Kogoś przecież muszę wreszcie wziąć, a Franek jest taki dobry jak każdy inny. Jednak to jeszcze nie ostatnie słowo, wiesz przecież, Rózo, że nie mogę opuścić matki. Nie spieszno mi też. Jest tak nudno na świecie, odkąd Andrzej poszedł, a gdy Franek przychodzi i powiada mi coś ciekawego i siedzi na ławce i patrzy na mnie tak zakochany, iż sobie koniec nosa omal nie spali fajeczką, mogę się przynajmniej porządnie uśmieć.



Róża przysłuchiwała się w milczeniu. Nie pojmowała, jak miłość może się komu wydawać tak wesołą.

Nadeszła wiosna, łąki zazieleniały, kasztany miały nowe pędy, rzeka toczyła olbrzymie wody i huczała pod groblą tak głośno, iż słycać było jej szum w małej osadzie na Küchelbergu, gdzie na łożu spędzała czarna Maryś swe ostatnie noce, a córka bezsennie czuwała przy umierającej matce. Nie doniosła wcale bratu, że z matką jest tak źle. Wiedziała, że nie przybędzie, a też i matka nie okazywała najmniejszej ochoty ujrzeć go przed śmiercią, choć w gorączce wielokroć imię jego wspominała. Ostatnie słowo z jej ust, gdy w burzliwą noc kwietniową kończyła życie, brzmiało: Andrzej...

Drżąc ze strachu na całym ciele, pozostała córka z umarłą matką w izbie. Zamknęła jej oczy, odmówiła kilka pacierzy i wyszła z bijącym sercem w noc wiosenną. Stała sama na górze, spoglądała w daleką dolinę Anizy i czuła się tak biedną i samotną, że rzewnie zaczęła płakać. Ogarnął ją nagły gniew, gdy pomyślała o Andrzeju. Sam siedzi bezpiecznie w celi klasztornej, a bezradną siostrę, która przecież nikogo na świecie tak nie kocha jak jego, zostawia samą w udręce i mękach! Deszcz padał coraz mocniej,

zimny wiatr obijał się o stoki gór. Drżąc, poszła sierota w stronę szopy, w której chłopiec miał ongi swe legowisko. W ciemności położyła się na to samo miejsce, i myśląc o tem, głośno płakała. Była głodna i odczuwała zabobonny lęk w obecności trupa matki. Wreszcie zasnęła na barłogu z kukurydzianej słomy...

Gdy późnym rankiem się obudziła, groza ostatniej nocy uleciała zupełnie z jej pamięci; musiała sobie dopiero przypominać, że matka naprawdę umarła. Mimo, że się przymuszała, nie odczuwała prawdziwej żałoby; jeno jakieś niesamowite uczucie wstrzymywało ją od przekroczenia progu domu. Lecz wreszcie przemogła się i weszła. Wewnątrz był ksiądz wikary i przyjaciółka jej, Róża; była rada, że zbywa się dalszych trosk i trudów. — Następnego dnia po pogrzebie siedziała znów w słońcu na ławce przed domem i śmiała się z figlowania młodych kotków, igrających po ziemi z badyłem kukurydzianym. W czternaście dni potem siedziała na lekkim wózku obok Różyczki; Franek zajmował przednie siedzenie i powoził; jechali drogą, wiodącą do Vintschgau, a każdy przechodzień oglądał się za piękną, jasną dziewczyną, przybraną w strój żałobny, jednak wesołemi oczyma rozglądającą się w przepychu młodej, zieleniejącej się wiosny.

Dopiero gdy ujrzała w górze klasztor, na gó-  
łym, ciemnym złomie granitowym, otoczonym  
mizernym kosodrzewem, stała się cichą i po-  
ważną i nie odezwała się ani słowem więcej do  
Róży, która również w milczeniu spoglądała na  
ponurą wieżę, zasnutą u wierzchu zwałami chmur.  
U stóp góry znajdowała się nędzna wioszczyna,  
nie otoczona wcale szlachetnym kasztanem, wino-  
roślą i figowym drzewem, jak wesołe wioski do-  
koła Meranu. Na ten widok ścisnęło się serce  
Marysi. Nigdy nie była dalej jak na odległość  
jednego dnia jazdy, wyobrażała sobie zawsze, że  
im dalej, tem świat jest wspanialszy. Mocno za-  
smucona zsiadła z wozu, gdy zatrzymali się przed  
drzwiami mizernej szynkowni. Nie chciała wejść  
do środka; nakłaniała Różę, by natychmiast  
poszła z nią drożyną, pnącą się w górę do kla-  
sztoru. Koniecznie bowiem chciała rozmówić się  
z bratem, zanim noc zapadnie. Franek pozostał  
przy koniach. Już dawniej niezbyt chętnie szukał  
jego towarzystwa, iżby teraz miał się mu pokazy-  
wać na oczy.

Więc dziewczęta poszły same, równym, pew-  
nym krokiem chłopskim, trzymając się za ręce  
i nie mówiąc ani słowa. Dopiero gdy zbliżyły się  
do szarego, prastarego klasztoru i mogły już do-  
strzec trawę, rosnącą na dachu, przystanąła Ma-

ryś, spojrzała wzrokiem zalęknionego dziecka na mury i głęboko oddychając, rzekła:

— Czy mogłabyś tu mieszkać, Różyczko?

Przyjaciółka potrząsnęła tylko głową.

— Serce pękłoby mi tutaj — mówiła dalej Marysia, — nie ma zieloności, ani winnic, ani pól uprawnych. Zobaczysz, nie jest prawdą, że tu był przez zimę. Nie zastaniemy go tu wcale. Kto wie, gdzie przebywa na dalekim świecie!

I na to Róża nie odpowiedziała. Wiedziała dobrze, że go tu zastaną i lękała się tego, nie wiedząc dlaczego. Gdy pociągnęły za dzwonek u bramy klasztornej i zapytały furtjana o Andrzeja Ingrama, spojrzał staruszek badawczo na piękne dzieci.

— Proszę mu powiedzieć, by wyszedł — rzekła szybko Maryś, — przyszedł ktoś z Meranu, ale proszę nie powiedzieć mu, ojciec, kto.

Usiadły na kamiennej ławce obok bramy i czekały.

— Więc to prawda, Różyczko, że on jest tu?! Ale jak mógł to przetrzymać!

Ręką posuwała po gorącym czole i poczęła potem porządkować na sobie sukienkę, by ukryć swój niepokój. Róża siedziała oparta o mur, obie ręce złożyła na kolanach, oczy przymrużyła, jakby oślepiła ją blask zachodzącego słońca.

Nagle zadźwięczało u bramy i z okrzykiem: Andrzej! to ja! — rzuciła się Maryś na szyję wychodzącego. W tejże chwili cofnęła się przerażona. On to, czy nie on? W ciągu jednej zimy zestarzał się o lat dziesięć... Również i on stanął przed nią w milczeniu i spoglądał na nią wzrokiem ponurym, zalęknionym, jakby wyczekującym, czy się ta zjawia rozplynie w nicość, czy też on sam przebudzi się ze snu... Ona zawsze myślała, jak to będzie śmieszne, gdy go ujrzy w zakonnym habicie. Teraz jednak była bliższa płaczu niż śmiechu.

— Andrzej — rzekła wreszcie — patrzysz na mnie tak dziko... Czy źle zrobiłam, że przyszłam do ciebie? Jest tu też Różyczka. Nie witasz się z nią? Franek nas przywiózł; jutro chcemy wrócić, tu tak pusto i smutno; jak ty mogłeś tu wytrzymać? Widać, że ci tu źle było, jesteś bledy i chudy, jakbyś wyszedł z grobu. Ale to się zmieni! Tu powietrze takie surowe, musisz wrócić do Meranu, wikary napisze do przeora, rok jeszcze nie upłynął, a potem zamieszkaś w naszej chatce; czy wiesz, Andrzej, że matka umarła?

Gdy mówiła, ustępowało jej zakłopotanie, rysy jej wygładziły się i poweselały, tak że ostatnie słowa, wiadomość o śmierci, wypowiedziała niemal

pogodnym tonem. On również zdołał się uspokoić i powiedział swym zwykłym, tak dobrze jej znanym głosem:

— Dziękuję ci, Maryś, że przybyłaś, i tobie, Rózo. Że matka zmarła, to nie zmienia położenia; o tem, by wrócić i znów żyć w Meranie, nie ma mowy; raczej pójdę stąd dalej, do klasztoru we Włoszech, a może nawet we Francji. Masz bowiem rację, tutejsze powietrze nie służy mi.

Spoglądał ponuro na szare skały.

— Andrzej — poczęła znowu, — nie wolno ci tak mówić, jeśli nie chcesz, bym była smutna i zła. Bez ciebie nie było dla mnie radości przez całą zimę, a teraz, gdy tylko mogłam, wszystko zostawiłam i przyjechałam do ciebie, a ty mówisz o wyjeździe do obcych krajów, jakbym cię wcale nie obchodziła. Gdy słyszę to, myślę sobie, że matka miała może rację, jeśli stale powtarzała w gorączce, że nie jesteś wcale jej dzieckiem, że zabrała cię innej kobiecie, by się pochwalić pięknym chłopcem, gdy sama była taka brzydka. O tem godzinami całemi majaczyła, a gdy teraz widzę, jak mało o mnie dbasz, poczynam się naprawdę lękać, że nie jesteś moim bratem, jeśli możesz być dla mnie taki zimny, bez serca.

Mimowoli cofnął się o krok i wybałuszył w nią oczy.

— Maryś! — wyjąkał — czy to prawda? Czy możesz przysiąc, że tak istotnie matka mówiła?

Chciała go ująć za rękę i posmutniała, gdy szybko cofnął swą dłoń. Spojrzał na Różę, która pozostała na ławeczce, by im nie przeszkadzać w rozmowie. Potem popatrzył na Marysię takim wzrokiem, że zadrżała.

— Rózo, mam z Marysią coś do omówienia, wkrótce wrócimy.

Skinął na siostrę, by szła z nim i szybko poszedł wzdłuż muru klasztornego; otworzył furtkę do ogrodu, w którym jeden ze służebnych braci sadził warzywa. Zupełnie się teraz zmienił, twarz jego płonęła, odmłodził znowu o dziesięć lat, kroczył żwawo, jak wówczas, gdy stróżował w winnicy.

Gdy wszedł głęboko w ogródek, zwrócił się ku niej.

— Maryś — rzekł drżącym głosem — powiedz raz jeszcze, co słyszałaś od matki, wszystko, i, jeśli życzysz sobie zbawienia swej duszy, nie dodawaj nic, ani nie ujmuj ani jednego słowa! Życie i śmierć od tego zależą.

Ujął ją za rękę i przyciskał gorączkowo.

— Nie wiem, dlaczego tak dziwnie mówisz —

rzekła spokojnie. Więc i cóż, jeśli tak powiedziała? A powiedziała tak, słowo w słowo, i to nie raz. Ale wiesz przecież, że cię nienawidziła. Może tak mówiła po to tylko, byś nie dostał części spadku, który chciała w całości dla mnie przeznaczyć. A może tylko tak mówiła, bo żałowała krzywd, które ci stale wyrządzała. Chciała wmówić w siebie, żeś nie jej dziecko, gdyż zawsze przecież obchodziła się z tobą jak z cudzem. Ale cóż ci na tem tak zależy?

— Przypomnij sobie — nalegał — czy nie powiedziała, kto jej oddał dziecko? Czy nie było kogo przy tem, gdy mówiła? Czy zawsze mówiła tylko w gorączce, czy też, gdy budziła się w nocy i myślała, że śpisz; wszak często mówiła do siebie, gdy ojciec jeszcze żył.

— Kto cię do niej sprowadził? Nie, o tem nigdy nie mówiła — rzekła dziewczyna i widocznem było, że bardzo się natężyła, by sobie wszystko dokładnie przypomnieć. — Czekał, oto wpada mi na myśl, że wikary siedział raz obok jej łóżka, gdy właśnie znowu tak majaczyła, wyskoczyła wtedy z łóżka i zażądała sukien, powiedziała, że chce pójść do dziekana, do sądu; do cesarza dotrze, by wszędzie ogłoszono, że nie jesteś jej synem. Przybiegłam z kuchni i widziałam, że ksiądz stał obok niej wielce przestraszony



i powstrzymywał ją, a gdy ujrzał mnie, pochylił się nad nią i mówił jej długo coś do ucha, czego nie mogłam dosłyszeć; potem uspokoiła się i leżała cicho. Czy to mówiła w gorączce, czy też sobie tak tylko wmawiała, cóż to cię może obchodzić, Andrzej? A gdyby tak było naprawdę, czyż miałbyś powód mnie mniej kochać? Czyż nie byliśmy bratem i siostrą, odkąd pamięć nasza sięga, i czy to odrazu miałoby się zmienić? Andrzej, ja się nie zmienię. A choćby nawet sam cesarz ogłosił, jak to matka chciała, pozostałbyś i nadal dla mnie bratem, i twoją byłaby osada i winnica i wszystko. A resztą, ja tam przecież nie pozostanę. Musisz bowiem wiedzieć, że zmówiłam się z Frankiem, w jesieni będzie wesele i zamieszkam potem w Goyen. Nie jesteś przecież zły, że cię wprzód nie zapytałam?

Nie śmiała nań spojrzeć, gdy to mówiła, nie wiedziała sama dlaczego, lecz wydało się jej teraz wielkim grzechem, że dała słowo Frankowi i chętnie w tej chwili byłaby je cofnęła; wiedziała bowiem, że nie był przyjaźnie usposobiony dla brata. Stała drżąca i pokorna jak dziecko, oczekujące bury. Lecz on uporczywie milczał. Jej stawało się coraz smutniej na duszy. Wolalaby, by ją skrzyczał; wytłumaczyłaby się i byłoby potem znów dobrze. Lecz ta śmiertelna cisza

między nimi była straszna. Wielkie krople łez pojawiły się w jej oczach i potoczyły po młodej twarzy. Wtedy przerwał milczenie.

— Maryś, czy uczyniłaś to chętnie, czy też namawiano cię tak długo, byś go wzięła, aż wreszcie powiedziałaś: tak?

Patrzała nań nieśmiało i wciąż jeszcze ze łzami w oczach.

— Andrzej, wybac mi. Sama nie wiem, jak to się stało. Wzięli mnie do Goyen, gdy matka umarła, spałam z Różą, obchodzili się ze mną jak z rodzonym dzieckiem. I ciotka Anna też powiedziała, że Franek jest dobrym chłopcem i gdybym go wzięła, byłoby to najlepiej dla wszystkich, a on był taki we mnie zadurzony, a ciebie nie było, bym się mogła zapytać i poradzić.

— A gdybym był powiedział: nie, czy bardzo martwiłabyś się? — zapytał szybko.

Położyła obie ręce na jego szyi i spojrzała nań z wzruszającą miłością.

— Ja go przecież tak nie kocham jak ciebie, chętniej uczynię to, co ty mi powiesz, niż to, czego on żąda. Ale stało się, Andrzej, i śmiertelnie obraziłabym go, gdybym teraz wróciła i powiedziała: nie chcę cię. Bądź zatem dobry i wróć z nami, ciotka Anna kazała cię pięknie pozdrowić, mówiła, byś przyszedł, ma ci wiele

do powiedzenia, a mnie się zdaje, że choć jest taka pobożna i święta, byłaby rada, gdybyś zrzucił habit i znów był pięknym, smukłym Andrusiem jak dawniej. Zrób to dla mnie, nigdy nie będę zaznawała chwili radości, gdy pomyślę, że żyjesz tu tak smutnie, a gdy ci się co przytrafi, choroba lub cośkolwiek, mnie nie będzie, nie będę się przy tobie krzątała i tobą opiekowała. Przyrzeknij mi, Andrzeju, że conajmniej na wesele przyjdiesz i z ciotką wszystko wtedy omówisz.

Głaskała go, mówiąc to, po twarzy, a on stał z przymrużonemi oczyma; lekkie drganie jego ust zdradzało wewnętrzną walkę.

— Teraz ani słowa więcej! — rzekł wreszcie głęboko oddechając. — Jutro rano przyjdę do gospody, by cię jeszcze raz zobaczyć. Wtedy powiem ci, co się ma stać. Bądź dobrej myśli, Maryś! Stanie się, jak Bóg każe. Dobranoc!

Nie spojrział więcej na nią, przeszedł przez ogród, potem wzdłuż muru i zniknął w bramie klasztornej, nie obróciwszy się ani razu. Ona spoglądała za nim i w głowie jej toczyły się ciężkie myśli; rozpamiętywała jego słowa i usiłowała odgadnąć, jak się zapatruje, co zamierza. W wielkiem strapieniu opuściła wreszcie ogród i zbliżyła się do Róży, która na jej widok uczuła bolesne

ukłucie w sercu. Więc Andrzej nawet nie pomyślał, że i jej należy się dobre słówko, kilka słów powitania?

— Nie wiem, co on myśli — rzekła Maryś. — Zdaje mi się, iż nie bardzo jest kontent, że biorę Franka. Ale co mam zrobić? Jutro rano przyjdzie i powie mi swoje zdanie. Nawet na mnie nie spojrział, a o powrocie do domu nie chce słyszeć. Ale dlaczegoż miałabym się tem tak przejmować? Niech robi co chce, a ja to samo. A jednak od maleńkości przywykłam go słuchać; był zawsze dla mnie taki dobry. Ach, dlaczego do tego wszystkiego doszło!

Zeszły z góry klasztornej i spędziły resztę dnia w milczeniu i zakłopotaniu. Franek nigdy nie był wielkim mówcą, dalsze zaś losy Andrzeja obchodziły go serdecznie mało. Pił z kilku chłopcami w szynkowni, gdy dziewczęta dawno już leżały w łóżkach.

Spała tylko jedna — Maryś. Róża przez całą noc nie zmrużyła oka.

Zanim dzień zaświtał, usłyszała kroki na podwórzu, zbliżające się do okna izdebki, w której spały. Psy zaszczekały, jednak wkrótce się uspokoiły. Serce jej pukało i szybko wyskoczyła z łóżka. Maryś spała spokojnie.

Kroki zbliżyły się do samego okna i ktoś

zapukał cicho w szybę. Maryś! — zawołał znany jej głos.

— Nie śpię, Andrzeju — szepnęła Róża. — Marysia śpi. Czy mam ją obudzić?

— Tak, Różyczko. Niech się prędko ubierze i wyjdzie; mam jej wiele do powiedzenia, zanim odjedziecie z powrotem do domu.

Minął kwadrans, potem cicho otwarły się drzwi, wiodące z oberży na podwórko i wyszła Marysia; twarz jej wyrażała zarówno lęk jak i ciekawość.

— Aleś wcześniej przyszedł! Dzień dobry. Jeśli przychodzisz z dobrą nowiną, Andrzeju, będę bardzo rada.

— Zapnij szczelnie płaszcz. Jest chłodno, a ty nie jesteś przyzwyczajona do tutejszego powietrza. Chodźmy stąd.

Uśluchała i pokazała mu roześmianą twarz, wyzierającą z pod ciepłej chustki. Milczenie dookoła, obcość krajobrazu, pustka w górach i brat obok niej w kapucyńskim habicie — wszystko to wydało się jej jakby pocieszna awantura i pobudzało do śmiechu.

Lecz on ujął ją poważnie za rękę i poprowadził w milczeniu przez podwórze. Ze stajni dobiegały już odgłosy koni, szarpiących łańcuchy, drób otrząsał pierze z nocnego znierucho-

mienia, kogut okrzykiwał przedwcześnie ranek. Lecz ludzie w niskich chałupach spali jeszcze. Wszyscy — prócz jednej młodej, biednej osoby, która boleśnie spoglądała przez zbrudzoną szybkę w podwórze, a potem dygotając z zimna, a mimo to płonąć wewnętrznym żarem, położyła się do łóżka, by przeleżeć wśród rozmyślań do rana.

Słońce było już wysoko, a rodzeństwo nie wracało. Franek siedział w szynkowni. Na stole stała butelka, z której co chwila nalewał do szklanki. Czoło miał nachmurzone. Co pewien czas wybiegał na drogę i spozierał, czy nie ujrzy wreszcie narzeczonej. Wreszcie poszedł do stajni, wyprowadził konie i zaprzągnął, klnąc Andrzeja w duchu i na głos. Róża milczała, było jej na sercu smutno i ciężko; niech się stanie, co się ma stać, dla niej skończyły się wszelkie nadzieje...

Wreszcie, około dziesiątej, przyniósł braciszek klasztorny list, który Andrzej jeszcze w nocy napisał do Róży. Pisał w nim, że ślubował pielgrzymkę do świętego obrazu, by modlić się za duszę matki. Maryś będzie mu towarzyszyła; niech nie oczekują jej powrotu, jeno wróćą do domu. Maryś sama przybędzie do Meranu.

Gdy Franek przeczytał list, uderzył pięścią o stół, że szklanki zadźwięczały i w porywie pierwszego gniewu przedsięwziął pogonić za An-

drzejem. Lecz w liście nie była wymieniona nazwa kościoła, do którego Andrzej pielgrzymował, a braciszek klasztorny wiedział tylko tyle, że przeor dał bratu Andrzejowi urlop. Zatem nic innego Frankowi na razie nie pozostawało, jak pocieszyć się tem, że innym razem i przy najbliższej sposobności wywrze swą złość na Andrzeju.

Była to smutna droga powrotna, którą Róża przebywała, siedząc obok rozwścieczonego brata, wciąż odnowa pomstującego ohydnyemi wyrazami na Andrzeja i kilkakroć powtarzającego przysięgę, że po ślubie z Marysią zatrzaśnie przed nim drzwi, jak to zresztą przez długie lata robił ojciec. Od samego początku był przeciwny tej podróży do nicponia, znajdy, którego sobie nawet wyobrazić nie może jako szwagra. Ale kobiety ubrdały to sobie, a przedewszystkiem ciotka Anna. Niech tylko Maryś wróci, a powie jej też kilka słówek! Ciotce zaś nie daruje tego nigdy! Przedewszystkiem jednak winna jest Róża. Nie powinna była z rana pozwolić, by Maryś z nim poszła.

Róża słuchała tego wszystkiego, ale niezbyt się tem przejmowała. Bo o wiele twardsza troska uciskała jej serce.

\* \* \*

Przyszło lato, winorośla na Küchelbergu dawno już przekwitły, grona pęczniały i czerwieniły się, pierwszy zbiór fig skończył się — a wciąż nie było śladu po obu pielgrzymach. Gdy zaś minęło winobranie i nie wrócili, poczęto po kątach szeptać, że nigdy już para zbiegów się nie pojawi. Z biegiem czasu przestano się nimi zajmować. Z początku oczywista stanowili przedmiot ożywionych dyskusyj. Dziwnem bowiem było nie to, że rzekomo udali się na pielgrzymkę, gdyż pątnicy wśród Tyrolczyków są bardzo liczni i ludek ten chętnie pielgrzymuje do miejsc świętych, lecz fakt, że tuż za klasztorem wszelki ślad o nich ginął. Pasterz kóz z wioszczyzny u stóp klasztoru widział ich, wspinających się powoli po ścieżce, wiodącej w góry. Para ta wydała mu się bardzo dziwną: mnich, rozmawiający żywo z piękną blondynką i kroczący coraz dalej w skalne przestwory. Gdy po kilku tygodniach na żądanie wikarego czyniono poszukiwania we wszystkich okolicznych wioskach, nie mógł sobie żaden góral i żaden oberżysta przypomnieć, by taka para zapukała kiedykolwiek do drzwi. Zażądano pomocy policji, również z nielepszym skutkiem. Rodzeństwo znikło, jakby góra się rozwarła i je pochłonęła.

Gdy wikary o tem opowiadał na zamku Goyen, słowa jego wzbudzały sprzeczne wprost uczucia.



Stary Hirzer pił spokojnie wino i rzekł, że właściwie jest bardzo kontent, gdyż zapewne już nigdy nie będzie kłopotu z tymi Ingramami! Gdyby ta lekkomyślna dziewczka, ta Maryś, kiedykolwiek jeszcze ośmieliła się przekroczyć jego próg, wtedy — zaklął tak szpetnie, jakby się w innych warunkach nigdy nie odważył wyrazić w obecności księdza. Synowi nakazał, by zaraz następnego dnia przybrał się paradnie i udał do pobliskiej wsi i prosił o rękę bogatej, młodej wdowy, której włości bardzo wygodnie są położone i poważnie przymnożą dobytku. Lecz Franek nie traktował sprawy z taką zimną krwią. Zadurzył się naprawdę w Marysi; jedynie myśl o niej zdołała leniwą jego naturą rozruszać. Ciotka Anna znikła na szereg dni w swej izdebce, przywdziała strój żałobny, gdyż była przekonana, że przytrafiło się im w górach nieszczęście, a może też popełnili samobójstwo. Płakała całymi dniami i nie chciała nikogo widzieć prócz księdza i Róży. Z nią spędzała bezsenne noce, nizając różaniec między blademi palcami, spędzając czas to na modlitwie, to na długich rozmowach z dziewczyną. Ta natomiast stanowczo utrzymywała, że oboje żyją i starała się przekonać o tem ciotkę. Że jednak kiedykolwiek wróca, w to nie wierzyła...

Najspokojniejszy był wikary. Ba, zdawaćby się mogło, że przez ucieczkę Andrzeja spadł mu ciężar z piersi. Przychodził pilnie do zamku, wysłuchiwał życzliwie i dobroduszenie zdania każdej z osób i skierowywał prędko rozmowę na tego-roczone zbiory i dobroć wyjątkową wina — temat, który głęboko opanował i któremu stanowczo dawał pierwszeństwo nawet nad teologicznymi dyskursami z ciotką.

Przyszły dni listopadowe, pusty domek na Küchelbergu przybrał szatę zimową wśród ogołoconych z zieleni winnic, w mieście było huczno i gwarno, gdyż był to właśnie dzień jarmarku na bydło. Zbliżał się sobotni wieczór, a wikary, postanowiwszy więcej nie wychodzić z domu, zdjął ze ściany swe stare skrzypce, by w mroku coś rzewnego wygrać, zanim służąca wraz z wieczerzą wniesie do pokoju lampę. Kocur leżał w fotelu i mruczał z ukontentowania; w piecu trzeszczał ogień, gdyż zapowiadała się zimna noc; od okna, na którym stało kilka wazoników, płynął słodki zapach, który z rozkoszą wchłaniał nos duchownego. Wyczarowując ze swych skrzypiec najdelikatniejsze, flażoletowe tony i krocząc w ślad taktu między czterema ścianami swej izby, przemyślał, że przecież do pełni szczęśliwości niczego mu nie brak, tembardziej, że jeden z kolegów w Sankt

Valentin przysłał mu próbkę drogocennego czerwonego wina, jakie bogobojni bracia uprawiają w słonecznej dolinie u stóp góry Ifinger, butelczkę, która dziś wieczorem miała uświetnić jego skromną wieczerzę.

Wtem usłyszał pukanie do drzwi; przekonany, że to służąca z miłym gościem z Sankt Valentin, zawołał „wejść!“ i nie przerywał dalszej gry. Ale smyczek wypadł mu z ręki, gdy drzwi się rozwarły i jak cień z innego świata przed nim stanął Andrzej.

— Proszę się niebać, księżę, to ja — rzekł młodzieniec, wchodząc do pokoju. — Proszę patrzeć, kot mnie poznaje, nasrożyłby się, gdybym był widziadłem. Byłbym księdza uprzedził, ale nie ma poczty tam, skąd przybywamy...

Pochylił się nad kotem, by ukryć wzruszenie. Z całej jego postaci promieniowała łagodność, która zmieniła go do niepoznaki.

Ksiądz przystanął na środku pokoju. Był wzburzony do najwyższego stopnia. Zdołał tylko powiedzieć:

— A Maryś?

— Ona jest też tu. Ksiądz się o wszystkim dowie, nie mam nikogo na świecie, a jeśli ty, przewielebny panie, nie zdołasz mi poradzić, to przepadłem na tym i tamtym świecie.

Wtem zabrzmiały na schodach kroki służącej. Ujrawszy Andrzeja, przeraziła się, lecz wkrótce poczęła radośnie wykrzykiwać, co jej zresztą nie przeszkadzało w szykowaniu stołu do kolacji i ustawieniu butelki i szklanek. Przez ten czas obaj mężczyźni mieli możność zebrania swych myśli i przygotowania się do rozmowy, która miała nastąpić. Wreszcie służąca wyszła. Chętnie byłaby wysłuchała odpowiedzi na setkę pytań. Lecz ulękła się niezwykle uroczystej miny swego pana, który zajął miejsce za stołem, kilkakrotnie otarł sobie czoło kraciatą chustką i w milczeniu nalał pierwszą szklankę czerwonego Walentynera, nie wychylając atoli jeszcze ani kropli wina. Na języku bowiem czuł gorzki przedsmak słów, które niebawem miały paść.

Andrzej przerwał wreszcie milczenie.

— Proszę, przewielebny panie, pozwolić mi usiąść. Dziś szliśmy przez góry czternaście godzin, a trapił mnie strach o biedną kobietę i głód i zgryzoty... kolana się pode mną uginają. Gdyby ksiądz wiedział, cośmy przebyli, nie patrzyłby tak surowo na mnie. Zawsze byłeś, księżę, pełen miłosierdzia i nigdy nie odprawiałeś pokutującego grzesznika bez pocieszenia i pokrzepienia.

Słowa te, pełne pokory, wywarły na wikarym głębokie wrażenie. Podniósł szklankę, spojrzął

w czerwień wina poprzez światło lampy, wypił powoli a niewiele i podał szklanekę swemu wychowankowi, po raz pierwszy patrząc mu wprost w twarz.

— Wypij, Andrzej, zrobi ci dobrze. Jest to wino walentyńskie; dopiero przed czterema tygodniami wyszło z pod tłoczni; dziś właśnie je otrzymałem.

Andrzej wziął szklanekę, skłonił się z uszanowaniem przed księdzem i wypił duszkiem. Potem rzekł:

— Dziękuję, księżu dobrodzieju. Przyszedłem zapytać... a ksiądz musi mi dać odpowiedź: czy jestem synem Marji Ingram, niech ją Bóg przyjmie do swej łaski, czy nie jestem jej synem?

Poczem powstał. Oparł ściśnięte pięści o stół i skierował wzrok na swego duchownego przyjaciela.

— Synu, jeśli mi przyrzekniesz, że nie będziesz więcej zadawał pytań, odpowiem ci na twe pytanie. Twoja matka wydała na świat tylko jedno dziecko, Marysię. Gdy więc to już wiesz, ukontentuj się tą wiadomością i nie pytaj dalej, gdyż więcej powiedzieć zabrania mi obowiązek posłuszeństwa, a zresztą gdybyś więcej wiedział, na nicby ci się nie przydało.

Napięcie na twarzy młodego człowieka nagle

zelżało, rysy jego powlokły się teraz wyrazem beznadziejnego smutku.

— Dziękuję, księżu — rzekł — to mi nie na wiele jest przydatne, gdyż o tem wiedziałem. Gdyby mi nawet nikt tego nie był powiedział — ona moją matką nie była! Ja zadowolilibym się tem, boć przecie, jeśli moi rodzice mogli się beze mnie obejść, to i ja muszę sobie sam dawać radę. A zresztą zawsze to czynilem. Ale biedna Maryś, księżu, nie ma ona ni za dnia ni w nocy spokoju, gdyż jej się wciąż zdaje, że wszyscy ją okłamali; matka, gdyż mnie znienawidziła, ja, gdyż pokochałem ją innem niż braterskiem uczuciem... nie, księżu, tu pomoc może tylko rzetelne świadectwo i pieczętka, w przeciwnym bowiem razie lękam się, że ta biedna istota długo nie pociągnie... strach patrzeć, jak sobie to wzięła do serca, jak się jej mózg wysila i męczy, a ksiądz wie przecież, że ma ona w głowie jakiś słaby punkt, z którym nie poradzi...

Usiadł znowu z wyrazem głębokiego zmęczenia. Wikary jadł i pił mechanicznie, raczej jakby chciał ukryć zamieszanie, niż, by mu smakowały potrawy.

— Powiedz, jak do tego doszło. Potem obmyślimy, co się da zrobić. Gdzie tkwiłeś przez tyle miesięcy, gdyś nagle znikł jak kamień w wodzie?

— Nie w habicie! — rzekł chłopak, a twarz jego nieco poweselała na wspomnienie niebezpiecznych przejść i podstępu, którym wszystkich przechytrzył. — Otóż księżę, gdy mi Maryś powiedziała, że jej matka przyniosła mnie z połonin jako znajcę czy Bóg wie skąd, miałem uczucie, że opadają ze mnie rozżarzone łańcuchy, które stale ze sobą wlokłem, a które mnie również i w klasztorze nie opuszczały. Gdyż nawet przy świętej spowiedzi nie mogło mi przejść przez usta, co przez lata całe przecierpiałem z powodu Marysi i że nie przeżyłbym tego, gdyby ją inny był poślubił. A wiedziałem przecież, że jest to grzech śmiertelny, gdybym naprawdę był synem jej matki; ale nie mogłem się z tego otrząść, bo było to silniejsze niż odrobina mego rozumu, niż wiara, niż wszystko, czego się u księdza nauczyłem i w świętych księgach wyczytałem. Gdy zaś teraz stało się oczywistym, że przez długie lata niepotrzebnie się dręczyłem, że wcale nie ma grzechu w tem, jeśli dziewczynę kocham ponad własne życie, odrazu poweselałem i powiedziałem sobie: musi być moją, choćby sam cesarz nas chciał rozerwać!...

... Tego wieczora nie dałem jeszcze nic po sobie poznać; siedziałem w celi, a z trudem wstrzymywałem się, by nie krzyczeć z radości i śpiewać

tak głośno, by aż do Meranu słyhać było! Musiałem jednak załatwić jeszcze mnóstwo spraw i napisać list do Róży, więc tak zeszła noc. A potem, jeszcze przed świtem, byłem przed karczmą i zabrałem ją, nie mającą najmniejszego pojęcia, co się ma stać. Zachowywałem się też z początku zupełnie spokojnie i rozsądnie, aż uszliśmy spory kawał drogi; mówiłem tylko o pielgrzymce, a ona nie była wcale zła, że ją ze sobą zabrałem. Gdyż bardzo była rada, że ujrzy szmat kraju. Gdy jednak znaleźliśmy się wysoko w górach, a ona z coraz większą ciekawością pytała, dokąd idziemy, kazałem jej na chwilę usiąść, poszedłem za skałę i wkrótce wróciłem, ale już nie jako mnich, lecz w kurtce, spodniach i wszystkim, co nosiłem tej nocy, gdy z Goyen uciekałem; bowiem rzeczy, należących do Franka, wcale nie odesłałem. Wówczas głośno się zaśmiała i powiedziała, że podobam jej się tak o wiele lepiej, niż w długiej sukni zakonnej. Potem zjedliśmy zapasy, które wziąłem z sobą na drogę. Nagle stała się cicha i smutna; widocznie wszystko to wydało jej się jakies dziwne, gdyż poczęła się natarczywie dopytywać, a gdy nareszcie otwarłem przed nią moje serce i powiedziałem, że nigdy więcej nie włożę habitu, że wcale nie jesteśmy pątnikami, idącymi do świętego obrazu, że prowadzę ją w daleki świat



jako moją kobietę — przeraziła się i poczęła łkać. Ja wtedy mówiłem do niej bardzo łagodnie, by tylko nie dostała znowu ataku nerwowego; zaś, gdy jej łzy poczęły coraz powolniej spływać, tłumaczyłem jej, że nie ma sensu wracać do Meranu i każdego z osobna zapytywać, czy nie ma nic przeciw temu. Ludzie mieliby wtedy więcej do gadania, niż gdybyśmy wcale nie wrócili, zaś gdybyśmy kiedyś zatęsknili za naszym domkiem i zjawili się jako mąż i żona, wszyscy musieliby się z tym faktem pogodzić. Niechże pomyśli o starym Hirzerze i o Franku; coby to był za krzyk, gdybym nagle przed nimi stanął i powiedział: Maryś jest moja i nie dam jej nikomu! A ciotka Anna, a ksiądz dziekan, a całe miasto, które nas znało od urodzenia jako brata i siostrę, a pisanina i gadanina w sądzie i u wszystkich djabłów! Wreszcie wygrałem najlepszego atuta i rzekłem: Jeśli ci jednak Franek jest miłszy niż ja, powiedz śmiało, jeszcze czas wrócić i pożegnać się na wieki...

... Wtedy rzuciła mi się płacząc i śmiejąc się na szyję i powiedziała, że moja wola jest i jej wola. I sama mi pomogła potoczyć ciężkie kamienie na suknię zakonną, by jej nikt nie znalazł i nie wyszpiegował kierunku naszego marszu. Tego samego dnia uszliśmy przez wiele godzin

olbrzymi kawał drogi, zawsze zupełnie samotni; czasem spoglądaliśmy w tył w okolicę, w której się znajduje Meran i żartowaliśmy z Franka, jadącego teraz bez narzeczonej do domu, gdzie zeń zapewne wszyscy będą kpili. Myślałem też o tobie, księże, że pewnie weźmiesz mi to za złe; i o mojej chrzestnej matce i o Różyczce, która była zawsze dla mnie taka dobra. Ale to nie długo trwało. Gdyż gdy spojrzałem na Maryś obok siebie, którą wolno mi było teraz pieścić i całować dowoli, a która cierpliwie się temu poddawała — tak, księże, ty oczywiście nie wiesz, co się w człowieku dzieje, gdy tak sam jest pod niebem ze swą ukochaną... ale wiem na pewne, że nie uważałbyś tego za ciężki grzech i życzyłbyś nam tej odrobiny szczęścia, które niestety trwało tak krótko...

Zamilkł i patrzył przed się w głębokim smutku. Wikary odsunął talerz, westchnął z całego serca i napelniwszy szklanekę, podał ją spowiadającemu się. Chłopak wypił, westchnął również i począł cichym, miarowym głosem:

— Pierwszą noc przespaliśmy w szałasie na poloninie; pasterz nakarmił nas i nie pytał o nic; łatwo mógł przecież odgadnąć, co nas z sobą łączyło. Obiecał nam następnego ranka, że nikomu nie powie, iż ugościł nas w swem schronisku;

poszliśmy więc dobrej myśli i byliśmy jeszcze szczęśliwsi i bardziej zakochani, niż dnia poprzedniego. Okolica była mi zupełnie obca; wiedziałem, że wędrując zawsze na zachód, dojdziemy wreszcie do Szwajcarji; a że tu ludzie mają wolność i mogą żyć, jak chcą i nie ma tu też policji, chciałem tam na razie pozostać; również nie lękałem się, by na granicy zapytano nas o paszport, gdyż tu, gdzie szliśmy, hen w górach, od szalasu do szalasu, nie docierają strażnicy graniczni. To też ani razu nas nie zatrzymano. Muszę zaś jeszcze wspomnieć, że drugiego dnia przyszliśmy na miejsce, na którem wznosi się stromy grzbiet, o wiele wyższy, niż Muttspitz lub Ifinger. Namawiałem Marysię, by ze mną wyszła i z góry oglądała olbrzymią połąć świata. Miałem zupełnie inny zamiar; bo zaprawdę nie o to mi chodziło, by widziała lodowce. Na wierzchołku stoi bowiem krzyż, a na nim Chrystus Pan, z gruba rzeźbiony kozikiem przez jakiegoś pasterza. Gdy znaleźliśmy się na szczycie, a Maryś spoglądała cicho i zadowolona dokoła, ująłem ją lekko za rękę i przykląknęłem z nią pod krzyżem. Najpierw pomodliliśmy się... Chciała powstać. Wtedy powiedziałem: zostań na klęczkach, Marysiu, to jeszcze nie koniec... I po łacinie powiedziałem wszystko, czego trzeba, by zawrzeć rzetelne mał-

żeństwo; zdjąłem jej z ręki srebrny pierścionek i dałem jej swój i położyłem swoje ręce na jej głowie, a jej ręce na swojej i wyrzekłem słowa błogosławieństwa; myślałem sobie, że trzeba sobie umieć dopomóc; jeśli jest dopuszczalny chrzest z konieczności niepoświęconą wodą, to niechże raz będzie i ślub taki, zasię kiedyś to się dodatkowo zrobi porządnie i przepisowo. I ona sobie to pewnie myślała, bo pozwoliła mi robić, co chciałem i klęczała pobożnie pod krzyżem. Gdy skończyłem ze swą łaciną, ucałowałem ją serdecznie i powiedziałem: Oto jestem teraz twym mężem, a ty moją żoną, a tylko śmierć może nas rozdzielić!... Skinęła głową i w oczach jej ukazał się błysk radości i szczęścia... Powstaaliśmy i jeszcze przez chwilę staliśmy cicho na szczycie i było nam tak cudnie na duszy w tej wielkiej ciszy i tajemniczości, gdyśmy spoglądali poprzez dziesiątki mil w kraje, osady, rzeki, a nikt nie był przy nas jak tylko nasz Pan Bóg, w którego obliczu ślubowaliśmy sobie wierność do śmierci...

... Znacie przecież, księżu dobrodzieju, Marysię; ona zawsze chętniej się śmieje niż płacze, a głowy jej stale czepiają się zbytki. Ale przez cały nasz ślubny dzień nie śmialiśmy się ani razu, ani też nie mówiliśmy wiele z sobą; szliśmy tak

uroczyście, jakby góry te były wielkim kościołem. Po drodze zrywała Maryś kwiaty i przypięła mi do kurtki weselny bukiet, poczem związała kwiaty w wianuszek i położyła sobie na głowę. Pieniądze mieliśmy też jeszcze, toteż kazaliśmy sobie w najbliższym szałasie podać, co tylko pasterz chciał wydać ze swoich zapasów. Było to więc wcale zacne wesele, i ani ona ani ja nie myśleliśmy o przeszłości, ni też o tem, co przyjąć miało...

...Dopiero gdy się skończyły pieniądze, musieliśmy o tem pomyśleć; minął już conajmniej tydzień, Szwajcarja była jeszcze daleko, gdyż nie trzymaliśmy się jednej drogi, jeno szliśmy, gdzie się nam spodobało. Pierwszego wieczora, gdyśmy stwierdzili, że kieszenie nasze są puste, a chciałem właśnie z Marysią schronić się na noc w stogu siana, dojrzałem samotną sadybę i pomyślałem: może tu spróbujemy przenocować. I rzeczywiście dostaliśmy tu schronienie, jeno że z jednej nocy zrobiło się pół roku. Osada należała do pewnej wdowy; miała właśnie poślubić swego pierwszego parobka, gdy go na śmierć przywaliła sosna, którą nieostrożnie w lesie podcinał; wdowa nosiła po nim żałobę jak po swym pierwszym mężu. Gdy jej opowiedziałem, że musiałem uciekać, gdyż zaabiłem żołnierza, zaś siostra moja — podałem ją za siostrę, gdyż wdowa nie byłaby się zgodziła na

przyjęcie do służby pary małżeńskiej — zatem siostra moja nie chciała mnie samego puścić w drogę, a teraz jesteśmy bez grajcara przy duszy, zaofiarowała mi służbę u siebie, przyczem i dla siostry znajdzie się robota. Naturalnie ucieszyło nas to bardzo, tylko Maryś czyniła mi potem wyrzuty, że nie przedstawiłem jej jako żonę i miałem dużo trudu, zanim się pogodziła. Zostaliśmy więc; lato minęło i nie mogliśmy się na nic uskarżać. Bo że właścicielka rzuciła na mnie oko i zrobiła mnie pierwszym parobkiem, zapewne, by mnie potem i wyżej awansować, to mnie mało obchodziło; wszak mogłem zawsze powiedzieć: nie...

...Nagle stało się coś, co mnie zupełnie pozbawiło spokoju. Było to przed tygodniem; kosiłem na górnej łące trawę i ujrzałem wydrapującą się w górę Marysię. Przeraziłem się wyrazu jej twarzy... Pada przede mną i zaklina mnie, ręce podnosząc do góry, bym się nad nią ulitował i zabił ją, gdyż żyć nie może, mając taki grzech na sumieniu; nosi pod sercem dziecko, a w nocy pojawiła się jej matka i szepnęła: Andrzej jest jednak moim synem, a twoje i jego dziecko będzie przeklęte na wieki...

...Proszę sobie wyobrazić, księżo, jak się przeraziłem; powtarzała to uporczywie, więc wreszcie i ja się uląknęłam, boć przecie nie mam

żadnych pewnych i niezbitych dowodów, że tak jest, jak przypuszczamy. Boże! pomyślałem, gdyby to przecież było prawdą! Mróz mnie obleciał i przez chwilę naprawdę myślałem, widząc u mych stóp tę biedną, załamującą ręce kobietę: a może lepiej byłoby pójść z nią i stanąwszy gdzieś nad głęboką przepaścią, zamknąć oczy i wskoczyć z nią wprost do piekła!... Ta desperacka myśl opuściła mnie oczywiście wkrótce; uspokoiłem się, jeszcze raz wszystko rozważyłem i wreszcie powiedziałem sobie stanowczo: nie może być! Ale biedna kobieta nie dała się pocieszyć. Już nie pragnęła śmierci, gdyż byłoby to podwójnym grzechem ze względu na dziecko, jednak zażądała, byśmy wrócili do Meranu, bo tu wszystko się musi rozstrzygnąć. Myśl o tem była mi bardzo przykra; wiedziałem przecież, że w domu nie obejdzie się bez krzyku i awantur. Ale Maryś była coraz bardziej markotna i patrzyła jej z oczu tak strasznie, a ponadto właścicielka osady coś wymiarkowała i zaproponowała mi, bym sam został, zaś siostrę odesłał — więc nie pozostało nic innego, jak spakować manatki i rozpocząć ciężką, twardą drogę pokuty...

...Nie chcę, księżo, nużyć cię opowieścią, jak nędznie się czułem, gdy przybywaliśmy na miejsca, w których przed sześciu miesiącami zażywa-

liśmy szczęścia i rozkoszy, zaś obecnie biedna kobieta w każdym poszumie wiatru słyszała głosy oskarżenia i potępienia. Jeśli grzeszyliśmy, ruszając w świat jako mąż i żona bez pytania kogokolwiek i bez błogosławieństwa kościoła, to stokrotnie odpokutowaliśmy to w drodze powrotnej...

...Proszę pomyśleć: gdyśmy znowu przybyli na szczyt, na którym z wiosną sobie ślubowaliśmy, nie było więcej krzyża... Pewnie wiatry go zerwały i strąciły w przepaść. Ale Marysia srodze się tem przejęła, gdyż sądziła, że wówczas był to majak szatański, który nas skusił do grzesznego ślubu; padła mi zemdlona w ramiona i przez godzinę musiałem ją cucić...

Zamilkł i cały się zatrzęsł na wspomnienie przebytych cierpień.

Wikary powstał i począł długimi krokami przemierzać izbę, od czasu do czasu wyjmując niuch tabaki z brzoźowego pudelka. Ostatnią szczyptę trzymał długo w palcach i przystanął przed wielkim sztychem, wyobrażającym Magdalenę na pustyni, jedyną ozdobę pustych ścian jego pokoju. Nie miał odwagi spojrzeć spowiadającemu się w twarz, gdyż miał mało nadziei, by wszystko szczęśliwie załatwić.

— A gdzie ona teraz? — zapytał wreszcie.



— Na górze, w naszej chatce na Küchelbergu. Przed kilku godzinami przybyliśmy, przez wieś Tyrol, ludzie poznawali nas i wskazywali palcami; gdy szedłem tu ulicą, widocznie wszyscy już wiedzieli, bo mnie wymijali, jakbym był tknięty zarazą. Tam na górze siedzi biedna kobieta i czeka, bym cię, księżę, sprowadził; a jeśli nie znajdziesz dla niej pociechy, to marny będzie jej koniec. Bo z oczu jej patrzy rozpacz i szal; rozum jej jakby wisiał na cienkiej nitce. Jeszcze jedno szarpnięcie, a zleci w otchłań...

Powstał również, jakby chciał przez to pobudzić milczącego księdza do powzięcia decyzji. Lecz ten stał wciąż przed sztychem, mimo że przecież nie mógł rozeznac w cieniu, padającym na ścianę, ani jednej kreski na obrazku. Dopiero gdy dzwon na wieży wydzwonił godzinę ósmą, ruszył się. Odwrócił się od ściany, kazał Andrzejowi poczekać, i zabrawszy lampę ze stołu, począł schodzić ze schodów, coraz głębiej i głębiej, aż znikł ostatni blask światła.

Nie minął pacierz, a światło znowu pojawiło się na schodach; a wikary wszedł z wielką flachą, napełnioną żółtawym winem; niósł ją na ramieniu jak niemowlę. Za nim szła służąca z czystymi szklankami.

— Patrz, oto prawdziwy pocieszyciel; zanim

innych pocieszymy, należy wzmocnić własnego ducha. Pij, biedaku! Poznajesz je przecież. Wino to stało się wytrawniejsze w tych dziesięciu latach i dojrzałe i stateczniejsze, patrz, jak pięknie wyklarowane.

Spojrzał najpierw w czyste złoto poprzez światło, a potem trącił się szklanką ze swym strapionym, młodym przyjacielem.

— Spodziewam się, że wszystko będzie dobrze — rzekł, gdyż samo poblizie szlachetnego napoju przepajało go optymizmem — „gaudete in Domino semper“, napisano, to też pij, synu, a potem napełnimy flaszeczkę dla biednej pokutnicy, bo i jej się to przyda.

Potem nie mówili do siebie ani słowa więcej, tylko wikary chodził po pokoju tam i z powrotem, jak generał w swym namiocie, obmyślający plan bitwy; od czasu do czasu popijał wielkimi haustami i za każdym razem mocno stawiał szklankę na stół. Gdy flacha była do połowy wypróżniona, zdjął szybkim ruchem ze ściany skrzypce i począł, wciąż krocząc tam i z powrotem po pokoju, wygrywać starą włoską kantatę, upstrzoną wieloma trudnemi fioriturami, pieśń, którą grał zwykle w ważne i poważne dni, zresztą również i ulubioną pieśń kocura, który radośnie mruczając, skoczył na stół, okrążał lampę i swemi zielonemi oczyma

patrzył na Andrzeja, jakby wzywał go, by również był dobrej myśli. Lecz ten wielce się niecierpliwił; tylko uszanowanie wobec księdza i poczucie własnej winy wstrzymywało go, by nie przerwać koncertu przypomnieniem, że Maryś liczy tam minuty i czeka na pociechę.

Wreszcie odłożył ksiądz skrzypce, osuszył sobie połą wyszarzałego surduta czoło i prędko ubrał się w swą czarną suknię. Służąca weszła, wlała resztę wina do flaszeczki, którą Andrzej włożył do kieszeni, przyniosła swemu panu kapelusz i ujęła ręką lampę, by poświecić, gdy szli schodami w dół.

W podsieniach na ulicy było już cicho, tylko z szynków dolatywały śmiechy i śpiewy włoskich mularzy i robotników; wartownicy siedzieli przed budami i szykowali się na noc, zapowiadającą się mroźnie.

Gdy przybyli na plac kościelny, zatrzymał się wikary i rzekł:

— Idź przodem, synu. Muszę najpierw pójść do księdza dziekana. Za pół godziny będę u was. A powiedz tymczasem Marysi, że ja mówię: wszystko będzie dobrze!

Podał Andrzejowi rękę, którą ten ucałował, i zatrzymał się przez chwilę u bramy domu, zanim się zdecydował wejść.

Co tam tego wieczora powiedział i co mu odpowiedziano, nie chciał nikomu zdradzić. Gdy jednak po kwadransie wyszedł, malowało się na jego twarzy głębokie przygnębienie. Wzdychał często, idąc w górę drożyną na Küchelberg, a gdy wreszcie ujrział domek, z którego małych okien wybliskiwało blade światelko, westchnął jeszcze głębiej; na chwilę przemknęło mu po głowie, czy też raczej nie należałoby cofnąć się z powrotem. Ale jeśli nie mógł pomóc, to przynajmniej nie zostawi biedaków samych w nieszczęściu...

Więc nie pukając, otworzył drzwi i wszedł.

Zastał młodą parę w kuchni. Andrzej stał przy piecu i dmuchał w ogień, by ugotować polentę, Marysia siedziała cicho i obojętnie na łóżku pod ścianą, jeszcze owinięta w płaszcz, w którym odbyła daleką drogę, jakby nie była wcale w swym domu i nigdy już nie miała zaznać szczęścia przebywania przy ognisku domowym. Gdy ksiądz przystąpił i powiedział „dobry wieczór“, zadrżała, uczyniła ruch, jakby chciała wstać, lecz opadła z powrotem na łóżko i siedziała skulona, rękami zakrywając twarz i nie mówiąc ani słowa.

— Maryś, czy mnie nie poznajesz?

Skinęła szybko głową.

— Czy nie chcesz mi spojrzeć w twarz? Nie masz zaufania do mnie?

Nie odpowiadała. Drżała na całym ciele. Ksiądz potrząsnął smutnie głową.

— Andrzej, wyjdź tymczasem do drugiej izby. Zostaw mnie z Marysią sam na sam. Mam z nią do pomówienia.

Chłopak natychmiast usłuchał, lecz nie wszedł do izby, jeno wyszedł na dwór; było mu za duszno w domu, w którym zaznał tyle złego.

— A teraz, dziecko moje, teraz wysłuchaj, co ci powiem. Zgrzeszyliście coprawda bardzo, a jeśli wam teraz źle i ciężko, to macie to uważać za słuszną karę i pokutę. Ale grzech wasz nie jest tak wielki, iżby się nie dało wszystko naprawić, zaś od tego, co ci najbardziej dokucza i obciąża twe sumienie, mogę, Bogu dzięki, zwolnić cię, gdyż powiadam i zaświadczam: Andrzej nie jest synem twej matki, a błogosławieństwo kościoła może z was uczynić chrześcijańskie małżeństwo. Więc pociesz się, podnieś twarz do góry i nie martw mnie i Andrzeja urojeniami, które zło jeno zwiększają, a złego ducha tylko zachęcają, by tem silniej psował duszę twoją.

Spodziewał się, że po tych słowach kobieta się uspokoi i zacznie wreszcie mówić. Lecz siedziała nieruchomo, jakby wszystkie jego słowa nie odnosiły się do niej. Przybliżył się jeszcze bardziej i oderwał od jej twarzy zimne i wilgotne

ręce. Ujrzał, że jej miękkie, niemal dziecięce rysy w tych kilku miesiącach wiele się zmieniły. Miała oczy mocno zamknięte, brwi były napięte, usta nawpół otwarte, zaś blade policzki nagle zalała mocna czerwień, gdy ksiądz oderwał od twarzy ręce.

Patrzył na nią z głęboką litością.

— Rzeknij słowo — powiedział z naciskiem. — Nie mogę ci pomóc, gdy nie wiem, co ci dolega. Czy ci nie wystarcza, jeśli cię zapewniam, że Andrzej nie jest twoim bratem?

Potrząsnęła silnie głową i otworzyła oczy. Miały one tak dziki wyraz, że przeraził się.

— Wiem to lepiej — rzekła głucho. — Matka mi powiedziała, że ocyganiła wszystkich, księży, urzędy, wszystkich. Ale Pana Boga nikt nie może ocyganić. Gdzie jest matka Andrzeja, dlaczego mu nie pomaga, teraz, gdy się znalazł w takim położeniu? Ja wiem lepiej! Nikt nam nie pomoże, nikt nas nie połączy jeno śmierć, a teraz idźcie, księżę, i zostawcie mnie samą. Muszę, co prawda, najpierw dziecko...

Zatrzymała się; znowu zadrżała na całym ciele i zamknęła oczy; nagle uspokoiła się, jakby nad czemś przemyśliwała.

— Więc to prawda? Mam pójść z nim do kościoła, a wy, księżę, dacie nam błogosławień-

stwo? Tak, gdyby to było możliwe, byłoby to bardzo pięknie. Ale ja wiem lepiej, wy wszyscy jesteście ocyganieni; bo gdyby nadeszła ta chwila, w której zapytują, czy protestuje kto przeciw temu, by Andrzej i Marysia połączyli się ślubem małżeńskim — wtedy z pewnością świętej pamięci matka moja pojawiłaby się u ołtarza i z śmiechem rzekłaby, że was wszystkich ocyganiła i że księdzu nie wolno udzielić błogosławieństwa. Tak się stanie. Ja wiem lepiej!

— Maryś — rzekł wikary głośno — jesteś poczciwą kobietą, ale wszystkie twoje obecne gadaniny są omamieniem złego ducha, by cię skusić do jeszcze większych grzechów. Czy ci nie wystarcza, jeśli ci powiadam, że wiem, kto jest ojcem i matką Andrzeja, zaś nie wolno mi tego powiedzieć tobie, bo mi zakazali ci, którym winien jestem posłuszeństwo?

Spojrzała nagle nań wielkimi oczyma, nie mówiąc ani słowa. Ale w jej twarzy był taki ból że wstrząsnął nim głęboko; musiał się odwrócić, by się opanować. Nagle poczęła śmiać się cicho, a ironicznie.

— Tak jest, ksiądz nie śmie mi spojrzeć w twarz, wszystko to jest wymyślone, bym znowu stała się spokojną i wesołą; Andrzej księdza prosił o to, jemu to tak uciska serce... Ale czy można

nam wogóle pomóc? Gdyby ksiądz znał prawdę jego rodziców, poszedłby do nich i powiedział: pokazują palcami na Marysię i Andrzeja, bo ludzie utrzymują, że są bratem i siostrą, a będą mieli dziecko... Ale wy, księżę, nie możecie tego powiedzieć rodzicom Andrzeja, bo gdzie oni są? Matkę znam, powiedziała mi to we śnie, mnie nikt nie ocygani, ja wiem to lepiej...

Ksiądz nie mógł się więcej powstrzymać.

— Słuchaj! — rzekł i przystąpił do łóżka. — Nie mogę więcej znieść twych biednych słów, zatem powiem ci, co wiem, a co jest tak prawdziwe, jak prawdą jest, że w niebie mieszka miłosierny Bóg. Ale ślubuj mi wprzód na twą biedną duszę, że nigdy nie powiesz nikomu, a zwłaszcza Andrzejowi, to, co ci powierzę wbrew memu obowiązкови i posłuszeństwu. Czy ślubujesz, że zatrzymasz przy sobie wszystko?

Skinęła trzy razy głową, a w oczach jej przez chwilę błysnęła iskierka nadziei.

— Widzisz, dziecko — począł ksiądz — Andrzejowi to jest niepotrzebne; on nie ma wątpliwości, sumienie go nie dręczy i bez lęku zaprowadziłby cię do kościoła. Myślę też, że wtedy siedziałyby w gronie innych parafjan i jego matka i po cichu modliłyby się o błogosławieństwo dla was, lecz nie byłby to duch Marji Ingram, twej



biednej matki, lecz... zbliżył swe usta do jej ucha — byłyby to ciotka Róży, Anna Hirzer, która go do chrztu trzymała...

Wypowiedział swe słowa szeptem a szybko, i jakby przerażony tem, co powiedział, rozejrzał się po izbie, czy też kto trzeci tego nie słyszał. Młoda kobieta siedziała cicho i apatycznie, jakby objawienie tej tajemnicy żadnego wrażenia na nią nie wywarło.

— A teraz, gdy wiesz tyle, dowiedz się, jak to wszystko się stało, gdyż inaczej sądziłabyś, że i to jest mamieniem cię. Wiesz przecież, że twoja matka przyniosła małego Andrzeja z połonin. Tam go urodziła Anna Hirzer. Rok przedtem przybył z Niemiec do Innsbrucku obcy oficer; odbył on kampanję przeciw Napoleonowi, a gdy rany jego się wygoiły, posłali go lekarze do Tyrolu, gdyż powietrze mu w jego ojczyźnie nie służyło i potrzebował dłuższego, krzepiącego wypoczynku. Razu pewnego ujrzał w Innsbrucku na ulicy Annę Hirzer; wkrótce się zaznajomili i pokochali; on był szlachetnym i rycerskim człowiekiem, a przytem upartym; co sobie ubrdał, to musiało się stać. Pamiętasz, że i Andrzej od małości był taki uparciuch? Ale sprawa ta nie była wcale łatwą... Bo oficer ten... Czy ty słuchasz, Maryś, co ja mówię?

Prędko skinęła głową i podniosła do góry ręce, jakby prosząc go, by się nie dziwił jej wyrazowi twarzy, jeno dalej opowiadał.

— Uważasz więc, oficer ten był dzielnym człowiekiem, szlacheckiego stanu, bogaty. Chciał też Annę poślubić. Lecz był to luteranin i nie chciał uznać naszego świętego kościoła. Anna płakała dniami i nocami, widząc, że jest potępiony, a nie można mu pomóc. A gdy spostrzegła, że jej prośby i modły nie pomagają, poszła do swego spowiednika; ten poradził jej, by ofiarowała swe serce Bogu i uciekła przed tym, który ją kusi. A że była wielce pobożna, usłuchała; tajemnie opuściła Innsbruck, tak że narzeczony dowiedział się o tem dopiero wtedy, gdy już wróciła do Goyen, do brata. Ten ją bardzo pochwalił, że raczej uciekła niż przyczyniła się do zgorszenia; boć przecie wiesz, że Hirzerowie zawsze byli gorliwymi katolikami, a Józef mawiał, że raczej wolałby stracić prawą rękę, niż postradać dla tych kacerzy i antychrystów kogoś z rodziny. Anna jednak nie mogła przeboleć utraty kochanka, po krótkim czasie przybladła i zmizerniała, przestała się odżywiać; miałem wrażenie, że zgaśnie jak lampa, do której się nie dolewa oliwy. Zbyt pokochała obcego, i Bóg wie, cobym był dał, gdybym ich mógł połączyć. Wtedy też wiele o tym wypadku roz-

prawiałem z księdzem dziekanem, ale zawsze rozbijało się to, że przecież i ich dzieci byłyby pętione, a tego nie chciałyby też i Anna. Minęło kilka dni, gdy pewnego ranka przychodzi do mnie Józef Hirzer i mówi mi, czerwony ze złości i zmartwienia, że narzeczony przyjechał w nasze okolice i mieszka na zamku Trautmannsdorf, gdyż jest przyjacielem hrabiego. Cóż więc zrobić?... Idę znowu do dziekana i znowu otrzymuję tę samą odpowiedź; idę potem do Anny, a wreszcie do cudzoziemca — do końca życia będę o tem pamiętał, ile mnie to potu i mordegi kosztowało! Ale gdy się tak trudziłem i byłem niemal przekonany, że ten oficer, który zresztą zachowywał się wobec mnie z wielką czolobitnością i uprzejmością, stanie się wreszcie wiernym synem naszego kościoła — dowiaduję się, że śmiały ten człowiek nocną porą zakrada się do zamku Hirzerów i mimo czujności Józefa widuje się ze swą ukochaną. Przez cztery tygodnie trwały te nocne schadzki. Lecz pewnego razu, gdy zaledwie szarzało, a on opuszczał izdebkę swej kochanki i to oknem, obok którego rosła wysoka sosna, po której się zawsze wdrapywał i zląził — ujrzał go przypadkowo Józef, który tego ranka wcześniej niż zwykle wstał. Poczęła się dzika walka między nimi, a Anna widziała z okien, jak brat wreszcie

zmógł jej kochanka i deptał nogami. Obcy runął o skałę i zranił się tak ciężko, że leżał najpierw nieruchomo przez dłuższy czas, a potem z trudem dowlóknął się do Trautmannsdorf. Hrabia kazał go odwieźć do Wenecji, a po trzech tygodniach nadeszła wiadomość, że umarł...

Wikary zamilkł na chwilę, wyjął z puszek brzozonej szczyptę tabaki i począł znowu:

— Pokój jego duszy! Był to wytworny i szlachetny kawaler, a postać miał postawną i piękną. Andrzej jest do niego zupełnie podobny, tylko że jest niższy i ma oczy matki. Przemyślałem tedy długo, dlaczego też między ludźmi mają być różne wiary i dlaczego jeden ma żyć w potępieniu, a drugi w oświeceniu i łasce. Ale Bóg tak ustanowił, a my krótkowzroczni ludzie musimy się z tem pogodzić... Ja sam miałem uwiadomić Annę o smutnej wiadomości z Wenecji. To była ciężka droga, córko moja! Lecz potem u Hirzerów było cicho i spokojnie, Józef i Anna nie powiedzieli sobie złego słowa, gdyż oboje mieli sobie wiele do wybaczenia. A gdy przyszło lato, wyjechała Anna rzekomo do Bozen, naprawdę zaś udała się na połoniny do twej matki, gdyż prócz nas pięciorga nikt nie był wtajemniczony. Nawet na zamku w Trautmannsdorf nie wiedziano, do kogo oficer no ą szedł w odwiedzin. A gdy potem było po

wszystkiem, a matka twoja z polonin sprowadziła w dom chłopaka, napisała Anna testament i połowę swego majątku zapisała kościołowi w Meranie, drugą połowę kościołowi w Innsbrucku, w którym to mieście poznała swego narzeczonego i ufundowała pewną ilość mszy rocznie za duszę zmarłego, by się Pan Bóg nad nim ulitował i przyjął go do łaski swej. Tak więc to się wszystko stało i nie da się więcej zmienić i lepiej jest nie tykać tego, niech spoczywają te dawne zajścia w pyłe zapomnienia. Również nie wypada, by Andrzej kwestjonował testament i chciał pozbawić duszę swego ojca łaski kościoła. Jest więc dla niego lepiej, jeśli się nigdy nie dowie o swym ojcu i matce, tem bardziej, że wcale nie pożąda tego. Ty jednak, córo moja, pamiętać będziesz, coś mi ślubowała, a wtedy Matka Boska wstawi się za tobą, by wam grzechy były darowane i byście wiedli spokojne, bogobojne życie po tylu ciężkich próbach. Amen.

Ostatnie słowa wypowiedział uroczystym, upominawczym i podniesionym głosem. Czekał teraz, czy zapyta go lub będzie miała jeszcze jakie zastrzeżenie. Lecz Marysia siedziała na łóżku cicho, z zamkniętymi oczyma, mając głowę opartą o ścianę, a ręce złożone na kolanach. Z twarzy jej znikł wyraz lęku, czoło wygładziło się, pierś falowała

spokojnie. Po chwili głowa jej opadła na ramię. Opowiadanie wikarego zakolysało ją jak piosnka matczyna, śpiewana niemowlęciu; po mękach i trudach ostatnich dni po raz pierwszy zapadła w głęboki sen...

Wikary powstał, a na twarzy jego malowało się zakłopotanie; takiego skutku swej przemowy nie spodziewał się! Teraz dopiero poczuł pewne wątpliwości, czy właściwe było powierzyć tajemnicę tej biednej, widocznie nie całkiem za swe myśli odpowiedzialnej istocie. Tembardziej, że przecież nie złożyła nawet ślubowania, iż wszystko zachowa przy sobie; na wszystko przytakiwała tylko głową, a ani słowa nie rzekła. Ale co się stało, to się odstać nie może — pomyślał ksiądz — a zyskał przynajmniej to, że zasnęła i na razie nic nie grozi. Zaś jutro się zobaczy, co dalej...

Cicho odstąpił od łóżka i wyszedł z izby. Andrzej siedział jeszcze na ławce, lecz nie wstał na widok księdza. Również i on, wiedząc, że biedna jego żona jest tam pod opieką wikarego, uległ przemęczeniu i zasnął...

\*            \*            \*

O tej samej godzinie na zamku Goyen nikt nie myślał o śnie. Późnym wieczorem przybył ze wsi Tyrol chłopak do Franka i powiedział mu no-

winę o powrocie obojga zbiegów i o tem, w jakim stanie Maryś się znajduje... Ludzie — opowiadał — są oburzeni, powszechnie mówią, że tego przecież ścierpieć nie wolno, duchowieństwo winno wkroczyć, takie bezceństwo powinno ogniem i mieczem być wytępione, by po wieki dać wszystkim przykład odstrasżający.

Franek był właśnie w bardzo kiepskim humorze, gdy go ta nowina doszła. Właśnie wrócił do domu po gwałtownej sprzeczce z młodą wdową a swoją przyszłą żoną; a że mu zawsze w takich wypadkach schodzono z drogi, chętnie uczeplił się nowej okazji, by wyładować swą złość. Wszedł do pokoju, w którym ojciec siedział przy butelce, trzymając starą gazetę w ręce, a ciotka i Róża prządkły przy kołowrotku i począł najordynarniejszemi wyrazami opowiadać o powrocie tych dwojga włóczęgów, przynoszących wstyd całej okolicy. Nikt nie odpowiedział mu ani słowem. Z wielką satysfakcją dostrzegł, że ciotka nagle zbladła i padła w ramiona Róży. Zawsze — pomyślał — ujmowałaś się za Andrzejem, a teraz dożyjesz tego, że marnie zginie! Powiedział szyderczo „dobranoc“ i wyszedł z pokoju. Natychmiast pobiegnął do miasta, by tam w szynku przepić całą noc.

W sali pałacowej przez kwadrans panowało milczenie. Ciotka modliła się, Róża siedziała w głę-

bokiem zamyśleniu, ojciec patrzył wciąż w jedno miejsce na gazecie i puszczał z fajki gęste kłęby dymu. Wreszcie powstał, kilkakroć stuknął drewnianą fajeczką o podeszwę buta i przekonał się, czy po usunięciu popiołu fajka przepuszcza powietrze.

— Idź Rózo spać! — rzekł wreszcie.

Gdy pozostał w pokoju tylko z Anną, przystąpił do niej i rzekł:

— Daj pokój tym modłom! Modlitwami nie można usunąć, co komu djabeł naniósł! Słyszałaś, że ten włóczęga wrócił. Może wpadł na ślad, w jaki sposób przyszedł na świat i chce narobić krzyku, by się wyłabudać z biedy, w którą popadł z Marysią. Ale ja ci powiadam: progę mego nie wolno mu przekroczyć, ani jemu, ani tej dziewczce. Nie po to przez czterdzieści lat pilnowałem honoru naszego rodu, by taki luterański znajda wcisnął się do nas i rodzoną siostrę Józefa Hirzera na stare lata zniesławił. Jeśli wszystkie twoje modlitwy po to tylko służyły, by cię po dwudziestu latach wystawić na pośmiewisko ludzi, to raczej wołałbym, byś...

Przełknął przekleństwo, które już miał na języku. Spojrzała mu bowiem prosto w twarz, a oczy jej miały taki wyraz powagi i dumy, że się pohamował.



— No, dobrze już — począł łagodniejszym tonem — nie potrzebujemy wiele słów tracić, sama wiesz, coby się stało, gdybyś nie postępowała teraz rozsądnie. Każę jutro rano zaprząć i zawiozę cię do naszych krewnych w Lana; tam pozostaniesz, aż się tu wszystko załatwi. Myślę, że to długo nie potrwa. Sięgnę do kieszeni i zaproponuję mu odstępnę, jeśli się zobowiąże pójść w świat i nigdy nie wrócić. Moznaby też odkupić od niego domek z całym dobytkiem i dodać mu dziewczkę; w ten sposób pozbylibyśmy się ich obojga. Zastanowię się jeszcze, czasu jest dość, jutro w południe wrócę po odwiezieniu cię i porozumiem się z wikarym; ten ma jeszcze największy wpływ na tego szaleńca. Ale jeśli, siostró, postąpisz wbrew mej woli, powiadam ci: wszystko zrobię, by nie wypłacić ani centa, choćbym się miał procesować do samej śmierci. A teraz wiesz wszystko, bądź zatem mądra, nie wtrącaj się do niczego i nie szukaj żadnych wybi gów. Bo to wszystko byłoby nadaremne. Na to mogę ci przysiąc!

Wyszedł z pokoju, nie czekając odpowiedzi i poszedł do piwnicy, by tam wziąć sobie jakiś mocny środek nasenny, którego zaprawdę mimo twardego i pewnego tonu swych słów potrzebował bardzo.

Róża weszła z powrotem do pokoju i spoj-

rzała na ciotkę zalęknionemi, zapłakanemi oczyma.

— Chodź — rzekła stara — pójdziemy do mej izby. Mam ci coś do powiedzenia.

Powstała spokojnie, a ręka jej, trzymająca świecę, nie drżała. Gdy brat wyjawiał jej swoje zamiary, również i w niej ukrzepił się nieubłagany i niezmienny zamiar. I ona pochodziła z Hirzerów! Brat o tem dobrze wiedział... Toteż mimo pewności, jaką na zewnątrz objawiał, przeczuwał, że tak łatwo sprawa nie pójdzie. Tak spojrziała nań tylko raz w życiu: wtedy mianowicie, gdy zszedł się z nią po raz pierwszy po nocnej walce z jej kochankiem...

Środek nasenny, którego zażył obficie, działał wybornie. Gdy w Meranie dzwony wydzwaniały mszę poranną, leżał pan zamku Goyen jeszcze w głębokim śnie; nie słyszał też, gdy pies podwórzowy radośnie zaszczekał i szarpnął swe łańcuchy. Również i Franek nie mógł tego słyszeć, spędził on noc na pijatyce w Meranie. Zatem obie kobiety niepostrzeżenie zeszły w swych ciemnych strojach niedzielnych po drewnianych schodach i w milczeniu poszły ku miastu w mglisty poranek zimowy.

Nie spały przez całą noc. Stara opowiedziała Róży wszystko, co ta dotychczas tylko niejasno

przeczuwała lub sobie wykombinować mogła z podchwytanych odezwań się słów ojca, zwłaszcza gdy był pijany. Stara otworzyła skrytkę w wielkiej szafie ściennej; poraz pierwszy stare listy i mały portrecik zmarłego dotarły do innych oczu, prócz jednej pary, która przez dziesiątki lat nie przestawała nad temi pamiątkami płakać. Tylko tej nocy nie padła ani jedna łza; oczy te błyszczwały teraz odwagą, twarz dziwnie odmłodziła, policzki zakraśniały; chód Anny stał się zwawy i elastyczny, tak że Róża musiała przyspieszać kroku, by zrównać się z ciotką.

Mgły snuły się po górach. Obie kobiety kroczyły poprzez nie i widziały jeno wyblaskujący szczyt Küchelbergu i ruiny starego zamku Zeno. Wciąż jeszcze dźwięczały dzwony kościelne, zaś dźwięki te mieszały się z poszumem rzeki; z prawej i lewej strony na ścieżynach słyhać było rozmowy ludzi, spieszących do kościoła, a niewidocznych we mgle; wciąż w rozmowach tych powtarzały się dwa nazwiska... Na dole, na kamiennym moście, moc było mężczyzn i kobiet; wszyscy kłaniali się z głębokim szacunkiem, gdy z niezwykłym pospiechem przeszła Anna Hirzer. Wszyscy też mocno się zdziwili, gdy nie poszła jak zwykle na lewo przez bramę miejską w stronę kościoła, lecz skierowała się na prawo na stromą drożynę, pnącą

się ku Küchelbergowi. Wielu poszło za nią, jakby tam w górze szykowało się jakieś widowisko. Wszak szła tam osoba święta, Anna Hirzer, matka chrzestna Andrzeja... Co ona ma do powiedzenia tej zbląkanej parze, która w hańbie i grzechu wróciła? Czy chce swą świętobliwością obronić grzeszników przed duchownym i świeckim sądem, czy też sama wyrzec nad nimi słowo potępienia?

Tak szeptali chłopi i kobiety. Lecz Anna nie patrzyła ani w lewo ani w prawo, odpowiadała na powitania zaledwie lekkim skinieniem głowy, szła kamienistą drogą w górę, jakby była już sama duchem, nie czującym dolegliwości ziemskich i nie zważającym na słowa ludzkie. Tuż za nią kroczyła Róża ze swą cichą twarzą, do której wszyscy już przywykli. Tylko że dziś twarz ta była blada, tak że kobiety pokazywały ją sobie, kiwając z litością głową. Natomiast twarz starej była dziś dziwnie świeża i zaróżowiona. Nie przysiadła się też w połowie drogi na ławce, znajdującej się tam gwoździ wypoczynku dla zmęczonych wędrowców. Jakby gnało ją przeczucie, że ani minuty nie ma do stracenia.

I rzeczywiście nad ranem ściągnęły się chmury nad małym domkiem na Küchelbergu. Około północy Andrzej obudził się na ławce pod drzwiami; ziąb go przebudził. Zakradł się cichaczem do

izby i ujrawszy swą biedną kobietę spokojnie śpiącą na łóżku, położył się koło pieca, by wypocząć kilka godzin. Gdy z ciężkich snów obudziły go bladawe mgły poranne, zazierające przez okna, usłyszał głosy z dworu i ujrzał postaci, wypatrujące przez szyby do izdebki. Z za drzwi, które na szczęście w nocy zaryglował, doleciały go pojedyncze wyrazy, nie pozostawiające żadnych wątpliwości co do zamiarów tych ludzi. Gdyby zaś był mógł poprzez mgłę dojrzeć, co się działo na drogach i ogrodach, włosy byłyby mu się z pewnością zjeżyły na głowie.

Tam bowiem zebrała się niemal połowa mieszkańców okolicznych wsi, Tyrolu, Gratsch, Algundu, któremi dnia poprzedniego z Marysią przechodził. Czego tu szukali i dlaczego stali, gapiąc się na dom, nikt właściwie nie wiedział. Wszyscy mieli niejasne przecucie, że coś niezwykłego stać się musi z tymi dwojga ludźmi, którzy tak niesłychanego dopuścili się grzechu; niektórych sprowadziła tu ciekawość, jak się też zachowają władze wobec takiej zbrodni; tylko bardzo niewielu było takich, którzy tu przyszli, powodowani litością.

To też słychać było między zgromadzonym tłumem tylko ponure słowa i widać było tylko surowe twarze. Z Meranu też wielu mieszczan przybyło, również pokaźna ilość żołnierzy, którzy

nie zapomnieli awantury Andrzeja z ich włoskim kolegą. Im dłużej dzwony kościelne rozbrzmiewały, tem liczniejsze rzesze ludu płynęły ku chatce Andrzeja. Bo niejedna w tych okolicach krwawa zbrodnia i występki okropny z biegiem lat się przydarzyły, lecz nikt sobie nie mógł przypomnieć, by kiedykolwiek zaszedł taki grzech śmiertelny i to w dodatku tak jawnie i bezczelnie okazywany wszem wobec.

Gdy tedy pomruk ludu stale rósł, zaś nikt nie wiedział jeszcze, co się tu niebawem stanie, usłyszano nagle ostry głos:

— Wyłamać drzwi! Pięciami go wywlokę, łajdaka! Rozerwę w kawały nędznika! Szczeznąć musi, przysięgłem, jakem Franek Hirzer, czterema końmi go trzeba rozerwać i każdą ćwiartkę z osobna rzucić do rzeki! To się patrzy temu pomiotowi szatańskiemu, a kto się sprzeciwia, będzie miał ze mną do czynienia.

Głęboka cisza zaległa wśród zebranych. Wszyscy skierowali zaciekawione oczy na drogę, którą szedł Franek w towarzystwie dwóch kompanów całonocnej pijatyki. Był bez kapelusza, twarz miał mocno zaczerwienioną, ale w chodzie i postawie nie było znać pijaństwa. Nienawiść i poczucie, że przemawia imieniem wielkiego tłumu, że jest mścicielem zbrodni — otrzeźwiła go.

Andrzej słyszał te słowa i po chwili burzliwe, namiętne ryki z tysiąca piersi, nawoływania i przekleństwa, mające być zachętą dla wykonawcy samosądu. Słyszał, że fala tłumu zbliża się coraz bardziej i strach śmiertelny go ogarnął. Własne życie byłby poświęcił; świat był dlań przecież wrogi od dzieciństwa. Ale ta biedna, młoda istota, wypoczywająca tu po tylu mękach i nie przeczuwająca nic złego — jakże ma ją ratować, jak przeszkodzić, by nie poniosła z jego winy męczeńskiej śmierci? Czy wyjść, poświęcić się, wziąć całą winę na siebie? Ale kto go zechce wysłuchać, kto uwierzy, choćby się powołał na świadectwo swego duchownego opiekuna? Ale spróbować musi, na wszelki wypadek, gdyż zgiełk na dworze rósł z każdą chwilą. Słyszał teraz, że dawny jego kolega, Jaś, przemawia do tłumu i usiłuje osłabić wrażenie słów Franka. Należy czekać — mówił — aż władze coś postanowią, trzeba wezwać księdza dziekana, lub też wikarego, który był spowiednikiem czarnej Marysi, bo coś tu jest nie w porządku, a sądy to wykażą... A potem poczęły się znowu przygłośnie krzyki Franka i ryki włoskich żołnierzy, i wołania starszyczyny o spokój i biadania głośnie kobiet i hen w głąb pomruk oburzonego tłumu, miotanego ślepą namiętnością.

Andrzej zrozumiał, że jest stracony. Pomyślał,

czy nie należałoby obudzić Marysi, zdjąć ze ściany sztucer i zastrzelić ją i siebie, by ją uchronić przed okrutniejszą śmiercią...

Nagle na dworze ucichło. Słyszał kilka głosów, nawołujących do milczenia. Tylko Franek jeszcze krzyczał. Lecz i jego głos nagle zamilkł i Andrzej usłyszał łagodny, lecz stanowczy głos ciotki Anny, odbrzmiewający w odległości za ledwo kilku kroków od chaty.

— Wstydź się, Franku, w świętą niedzielę tu się awanturujesz i klniesz i podżegasz ludzi, którzy sami nie wiedzą, czego tu chcą. Idź do domu, natychmiast, i przebierz się w niedzielny strój, a potem zejdź do kościoła i módl się na klęczkach, by ci Pan nasz grzechów twych ciężej nie policzył, niż Andrzejowi i Marysi tam w izbie, których ty, nędzna istoto, chcesz karać, jak gdybyś ty był sędzią, a nie takim samym grzesznym, niedoskonałym człowiekiem, jak my wszyscy. Ustąp mi się z drogi! — rzekła podniesionym głosem — a wy wszyscy idźcie sobie swoją drogą! Bo tylko ja mam prawo zapukać do drzwi tego domu, w którym znajduje się m ó j s y n, którego wśród boleści urodziłam i do którego przez długie lata się nie przyznawałam, bo byłam słabą kobietą i lękałam się hańby przed światem. Teraz jednak powiadam i zaświadczam przed obliczem



Boga Ojca i Syna i Ducha Świętego i wobec wszystkich, którzy tu są zebrani: Mój on jest, a kto go chce oskarżać lub shańbić, niech mnie oskarża, bo ja zawiniłam, jeśli popadł w niedolę; bo ja nie dopilnowałam go, jak matka pilnować winna swe dziecko, lecz oddałam obcej kobiecie, która go kochać nie mogła! Teraz wiecie wszystko, więc zejdźcie do kościoła i módlcie się za mną wielką grzesznicą, którą uważaliście za bogobojną i uczciwą, a która z pomiędzy wszystkich kobiet będę najnędzniejszą i największej godną pogardy, jeśli się Bóg nie ulituje i nie objawi swej łaski wobec mnie skruchy i cierpień.

Gdy to wypowiedziała, zapanowała dokoła cisza; nikt nie ruszył się z miejsca z wyjątkiem Franka, który cofnął się zmieszany i znikł w tłumie.

Anna zapukała do drzwi domu, które się natychmiast otwarły. Na progu stał Andrzej. Ujrzał oczy matki, skierowane w niego, ujrzał łzy w tych oczach, ujrzał, że się pod nią kolana ugięły, gdy chciała postąpić o krok; byłaby przed nim upadła, gdyby jej nie otoczył swemi ramionami i mocno przytrzymał, tak iż mogła na jego piersi się wyplakać...

Teraz tłum się ruszył; szeptaając poczęli starsi gospodarze zwracać swe kroki w stronę drogi, kobiety przyciskały chustki do oczu.<sup>3</sup> Wielu po-

zostało i wpatrywało się w otwarte drzwi, za któremi znikła matka z synem.

Nie długo trwało, a znowu stanęli we drzwiach, matka w środku, Andrzej po prawicy, Maryś po lewej stronie. Trzymali się za ręce, nie mówili z sobą, spoglądali jeno cichemi twarzami przed siebie. Gdy Maryś ujrzała na dworze Różę, puściła rękę matki i rzuciła się na szyję swej przyjaciółki. Potem we czworo poszli drogą, wiodącą do miasta. Milczący tłum ruszył za nimi.

Na dole, przed kościołem, rozstąpiły się przed nimi tłumy. Już wieść dotarła do miasta. Wszędy przed drzwiami, w oknach, stali ludzie, by ujrzeć Annę Hirzer, bogobojną pannę, która prowadziła swego syna, by go pokazać całemu miastu, jako grzesznica wielka, dopraszająca się miłosierdzia boskiego w większym stopniu, niż niejedna kobieta, która ją uważała za świętobliwą istotę.

W godzinę potem, gdy wydzwoniono na dwunastówkę, klęczała matka z obojgiem dzieci całkiem na przedzie, na zimnym kamieniu. Wikary z ołtarza widział ją dobrze. Głos jego drżał, gdy mówił pierwsze słowa. Głos ten dźwięczał coraz pełniej i radośniej; a gdy organy zagrały, spojrział w górę, jakby błagał o łaskę nieba dla pochylonej na kamiennej posadce siwej głowy i obu młodych postaci po jej bokach.

*HAFCIARKA Z TREVISO.*



---

Już trzeci dzień padał deszcz. Drogi leśne i ogrodowe dokoła dworku wiejskiego zamieniły się w potoki. Pierwszego i drugiego dnia towarzystwo, zebrane w dworze, siłło się na dobry humor, urządzało wesołość i gry, zabawy. Z chmur lały się strumienie deszczu, zaś w wielkim salonie o pięciu oknach padały żarty, huczał śmiech, sączyły się dowcipy.

Lecz trzeciego dnia o władnęło nawet najwytrzymalszych przeświadczenie, że przecież niepogoda okaże się konsekwentniejsza, niż postanowienie wytrwania w pogodnym humorze. Wprawdzie nikt nie ośmielił się postąpić wbrew ślubowi, przedwczoraj złożonemu, a mianowicie: by ten dopust boży znieść wspólnie; nikt zatem nie wykradł się do swego pokoju celem oddawania się w samotności kontemplacji — ale iskra zapалу i humoru zgasła, wspólne gry i zabawy, rozmowy i żarty, zaznały przerwy. Zwłaszcza

od chwili, gdy profesor, podający się za wyśmienitego meteorologa, obwieścił fatalną wiadomość: oto zamiast tęsknie wyczekiwanego znaku na barometrze „wypogodzenie!” dalsze opadanie słupa rtęci... Wystarał się o drugi barometr i oddawał się głębokim studjom nad dziwnym faktem, że oba aparaty zupełnie były niezgodne w owych prorocत्वach. Żona jego w milczeniu malowała już szóstą lilję wodną na szarym arkuszu papieru; przy sąsiednim stoliku ustawiała właśnie pani Helena figury celem rozegrania siódmej rewanżowej partji szachowej; w kącie siedziała pani Anna obok kołyski swego dziecka; odpędzała wachlarzem muchy, natrętnie okrążające twarzyczkę niemowlęcia, zaś ze starego kalendarza, złożonego na kolanach, wyczytywała zagadki i szarady. Młody lekarz, grający w szachy z panią Heleną, chciał skorzystać z pauzy, by opowiedzieć anegdotę, jednak po kilku słowach przerwał, bowiem przypomniał sobie, że już wczoraj ją opowiedział. Mąż pani Anny, stosując filozoficzne doświadczenie, że wszystkie dolegliwości duchowe znosi się najłatwiej, jeśli ciało znajduje się w poziomem położeniu, wyciągnął się w całej swej rozciągłości na skórzanej otomanie i przyglądał smugom dymu, unoszącym się z cygara ku sufitowi i misternym kó-

leczkom, które mu się niekiedy udawało wypuszczać z ust.

Gdy tedy wszyscy czynili przeróżne próby, by jakoś pogodzić się z losem i opanować nudę — jeden tylko z obecnych miał minę beztroską, pogodną, niemal rozradowaną. Był to człowiek niemłody już, średniego wieku, który od przeszło pół godziny spacerował po sali. Czasami przystawał na chwilę to obok stolika, na którym umieszczona była szachownica, to obok kołyski, w którym niemowlę słodko śniło. Kroczył zresztą wzdłuż sali tam i z powrotem z taką miną, jakby go przebrzydła pogoda, przymusowe więzienie wcale nie obchodziło. Widoczne było, że umysł jego odbiegł od środowiska, w którym się znajdował właśnie, w jakąś dal, że bawi w kraju swych wspomnień lub też wybiega wyobraźnią hen daleko w przyszłość.

— Cóż się z panem dzieje, panie Eminus? — zapytała pani Eugenia, która właśnie wróciła z gospodarczej ekskursji do kuchni i spiżarni. — My wszyscy mamy wyraz twarzy, dostosowany do dzisiejszej przebrzydłej niepogody; natomiast na twarzy pana maluje się taka pogoda, jak gdyby pan się potajemnie zaręczył lub stracił ból zęba, który męczył pana przez dwadzieścia cztery godzin. Proszę się natychmiast

wypowiadać! Bo jeśli pan tego nie uczyni, będę przekonana, że cieszy się pan złośliwie naszą niedolą. Pan jedzie na wieś, aby właśnie tu przeżywać w pokoju i ślęczyć nad książkami. Więc może raduje pana myśl, że i nas, łaknących powietrza, łąki, lasu, słońca, ten ohydny deszcz zmusza do przebywania w czterech ścianach salonu.

— Mogę panią uspokoić, droga przyjaciółko. Tym razem nie złośliwość powoduje dobry humor, w którym się rzeczywiście znajduję. Również wszystkie inne hipotezy pani są chwała Bogu nieuzasadnione. Wszak nie miałbym pogodnej miny, gdybym po przeżyciu tylu lat na wolności miał na stare lata stać się pantoflarzem. A to tembardziej, że wszystkie tu znajdujące się pantofelki mają na szczęście już swego właściciela. Mimo fatalnych okoliczności, w jakich od dwóch dni znaleźliśmy się, jestem pogodnie usposobiony ze zgoła innego powodu. Oto dziś rano, grzebiąc w starych papierach, przypadkowo natknąłem się na pożółkły rękopis, zawierający tak precudowną historję, że dotychczas pozostaje pod jej urokiem.

— Historję? i w dodatku precudowną? — rzekła pani profesorowa — natychmiast opowiedz ją pan! Czyż nie wprowadziliśmy na czas deszczu



prawa „wymiany myśli?” A pan chciałby swoją precudowną historję dla siebie zachować? To byłaby piękna historia!

— A może nie spodoba się ona? — rzekł Eminus. — Mnie bowiem wiele historyj się nie podoba, które obecnie cieszą się powodzeniem. Powiedziałem sobie też już od dawna: masz staroświeckie gusta i nie jesteś człowiekiem postępowym. Ostatecznie jako historyk z zawodu nie martwię się tem zbyt. A może właśnie źródła historyczne, z których czerpię, zohydziły mi owe „historje,” które się obecnie pisze, a co gorsza, chwali. Bo też zbyt wielka przepaść ścieli się między prostotą jakiejś starej kroniki średnio-wiecznej, a stereoskopijną, fotograficzną sztuczną współczesnej noweli. Tam wszystko z gruba ciosane, materiał twardy, ciężko się poddający, tu wszystko gładkie, przystosowane, wynizane i wypoliturowane, przestylizowane, tak że często psychologiczne finezje przesłaniają zupełnie widok na ludzi, o których mowa w takiej noweli. Ja natomiast wciąż jeszcze stoję na przestarzałym stanowisku, że w każdej historii najważniejszą rzeczą jest — historia. Nie sama tylko forma, lecz treść, opowieść, historia. Lepiej, czy też nieco gorzej opowiedziana, o to mniej dbam. Jeśli to, co się rzeczywiście stało lub zostało

przez jakiegoś fantastę wymyślone, wywiera na mnie wrażenie, to wcale mi nie zależy na stylistycznych tak zwanych subtelnościach. Ale wy moderniści — i tu spojrział sarkastycznie na grającego w szachy i na wyciągniętego na kanapie — wolicie, jeśli wam się jakiś temat obwiesi przez różnemi ozdóbkami, choćby nawet bez tych obwieszek był piękniejszy.

— Każdy czas ma swoje mody i swoje stroje i ozdoby — dobiegł głos z otomany.

— Każdy czas przeżywa i opowiada historie po swojemu — doleciał głos z nad szachownicy. — Póki istniało prawo pięści, historie, opowiadane przez współczesnych, były, że się tak wyrażę, bardziej konkretne, od Achilleśa po rycerza z La Mancha. Potem życie bardziej się uduchowiło, to też nie można go było więcej opisywać tylko wedle zewnętrznych doznań, faktów. Nie wystarczają nam same tylko zarysy i nieco tła, odrobina światła i cienia. Chcemy widzieć pełnię gry barw, najłżejsze półtony. Uczuciowa strona, motywy psychologiczne, nie są nam zgoła obojętne.

— Tak, tak — rzekł Eminus — wiem o tem, że hasłem obecnych opowiadaczy „historyj” jest: mało ciała, dużo sentymentu. Ale ja jestem zwolennikiem niesentymentalnego średniowiecza. To też wolę zatrzymać przy sobie opowieść, którą

dziś z rana przeczytałem, bo nie stosuje się ona do dzisiejszej mody beletrystycznej, nie jest upstrzona i ubarwiona modnymi obecnie kolorami. Lękam się zresztą, że nasze damy gotowe się zgorszyć jej treścią, choć ja uważam ją za zupełnie moralną.

— O gorszenie dam nie ma obawy — rzekła pani Eugenia — jestem pewna, znając pana, że zapewnieniu o moralności pańskiej opowieści można śmiało wierzyć.

— Tembardziej, że nie ma między nami ani jednej panny — uzupełniła pani Helena.

— Z wyjątkiem dziewicy w kołysce — dodała pani Anna — ale spodziewam się, że ta przymknie oko i nie zgorszy się pańską opowieścią.

— Wobec tych zapewnień szanownych pań — rzekł Eminus — mógłbym się zdobyć na odwagę odczytania mego rękopisu. Ale nie jestem pewien, czy to, co mi się bardzo podobało, gdy w samotności odczytywałem, zyska uznanie wobec tak przesubtelniejszych, wytrawnych ludzi, jak zebrani tu towarzysze niedoli, wywołanej kapryśną aurą. Bowiem stary kronikarz, z którego bez wszelkich pretensyj, jeno dla własnej przyjemności, odpisałem tych kilka kartek, nie był wcale poetą, jak Boccaccio i jemu współcześni. Choć, sądząc z tej historii, może byłby się nim stał.

— Dość już tych wstępów! — rzekł profesor. — Pańskiej historii w najgorszym razie przytrafić się może, że, gdyby jeszcze przez czternaście dni potrwał deszcz, stałaby się dla zebranych tu poetów tematem do napisania tragedji lub też komedji i nie ujrzawszy światła kinkietów, utonąła w pyłe zapomnienia w jakiejś bibliotece teatralnej.

— A więc w imię Boże! — westchnął Eminus i poszedł do swego pokoju po rękopis.

Wkrótce powrócił z teką pod pachą. Wyjął z niej zeszyt i wyjaśnił, siadając obok okna:

— Zeszyt ten zapisałem przed dwudziestu laty. Studjowałem wówczas dzieje miast lombardzkich i przybyłem do Trevisa, by w archiwum miejskiem i bibliotekach klasztornych czynić poszukiwania. Niestety nie wiele w Treviso znalazłem potrzebnego mi materiału. Tylko u Dominikanów w San Niccolo wykryłem dziwną kronikę z końca czternastego stulecia, za którą chętnie pocziwym mnichom byłbym zapłacił w złocie wszelką zażądaną przez nich kwotę. Nie zgodzili się jednak na kupno. Zezwolili, bym w obecności jednego z braciszków w chłodnym refektarzu odpisał z kroniki, co uważam za potrzebne do swych studjów. W tej to kronice znalazłem

## *Historję o jasnej Giovannie.*

Rozgrywa się ona w pierwszej ćwiartce czternastego stulecia. Wówczas to rozgorzały silne walki między miastem Treviso a sąsiednią Vicenzą. Przyczyny tych sporów były nikłe, nieważne; polegały głównie na zazdrości wybitnych obywateli obu miast; walki miały — jak to często działo się w wiekach średnich, a zwłaszcza w miastach i państwach włoskich — tło osobiste.

Vicenza wezwwała Wenecję na pomoc. Nie spodzianym atakiem opanowała najpierw zamek San Salvatore di Collato, a potem samo miasto Treviso, ukorzyła je i zgarnąwszy bogate łupy i pobrawszy licznych jeńców, stała się panem Trevisa.

Gdy wieść o tem dotarła do Medjolanu, przejął się nią głęboko szlachetny młodzian, Attilio Buonfigli, syn poważanego obywatela z Treviso i bratanek gonfaloniera Marka Buonfigli. Bawił on od lat chłopięcych w Medjolanie, w domu pana Mateusza Visconti. Był paziem, potem giermkim tego rycerza, a wówczas, gdy Vicenza opanowała Treviso, liczył lat dwadzieścia i był w kunszcie rycerskim mistrzem. Gdy się dowiedział o nieszczęściu, jakie spotkało jego miasto ojczyście, uczynił ślub, że nie zdejmie wprzódy pancerza, aż pomści hańbę, zadaną ukochanej

ojczyźnie. Uprosił swego pana, by go na jakiś czas zwolnił ze służby i wraz z kilkoma, doskonale uzbrojonymi i równie krewkimi przyjaciółmi opuścił bramy Medjolanu. Że zaś w służbie u rycerza Visconti zasłynął w całej okolicy i miał wszędy wielki mir, przybywały doń z różnych stron rzesze żądnych awantur młodzieńców, którzy, dowiedziawszy się o jego zamierzeniach, ślubowali mu wierność jako swemu kondotjerowi i godzili się pójść z nim, dokądkolwiek i przeciw komukolwiek by ich zaprowadził.

Gdy zebrał tak liczny orszak, iż mógł spodziewać się stawić czoło nietylko wojskom Vicenzy lecz również i Wenecji, wysłał gońca do Trevisa, aby uwiadomił gonfaloniera, a też i ojca, że tego a tego dnia zjawi się pod murami Vicenzy, by ukarać miasto. Wówczas niechby i rycerze z Trevisa przybyli do Vicenzy, dołączyli się do jego wojsk i z pomocą Boga dopomogli do ugięcia karku niecnego wroga.

Tak też stało się. Przygotowania były poczynione tak roztropnie i ostrożnie, że młodemu Attilji udało się wespół z rodakami swymi w żartej bitwie nad rzeczką Bacchilione pobić na głowę obrońców Vicenzy.

Karta tedy się odwróciła i w mieście Treviso zapanowała taka radość i entuzjazm, jaki przed

kilku miesiącami roznamiętniał umysły mieszkańców Vicenzy.

Jedno tylko zmącało ogólną radość. Młody zwycięzca został w bitwie ciężko ranny w szyję. Przez szereg dni życie jego wisiało jakby na włosku. Ojciec jego i matka pielęgowali go w podbitem mieście, w domu, należącym do jednego z najwybitniejszych obywateli, pana Tullia Scarpia. Syn pana Scarpia, Lorenzaccio, należał do najzacieklejszych wrogów Trevisa. Toteż póty ranny zwycięzca bawił w domu jego rodziców, nie przestąpił progu ojcowskiej siedziby. Natomiast wcale przyjaźnie, a raczej wzrokiem pełnym miłości darzyła Attilja, mimo że był wrogiem jej miasta ojczystego, jedyna córka Scarpia, Emilja. Gdy to zauważyli rodzice, i to zarówno Attilja jak i Emilji, doszli do przekonania, iż przez połączenie dwu tak wybitnych i tak wielkie wpływy mających rodzin, możnaby położyć kres wieloletnim waśniom obu miast, zamienić zawiść w przyjaźń. Gdy rana Attilja poczęła się szczęśliwie goić, w pewnej godzinie poufnych zwierzeń matka przemówiła na ten temat do syna i zaproponowała połączenie się ślubem z Emilją. Attiljo nie miał nic przeciw temu, bowiem serce jego było zupełnie wolne, nikim innym nie zajęte, a młoda panna Emilja była wcale uroczem zja-

wiskiem. Lecz w głębi duszy przecież martwiło go, iż ma pojąć za żonę obywatelkę znienawidzonego miasta. Toteż po zaręczynach, które się solennie odbyły, trzymał się zdala od dziewczyny. Najchętniej byłby zerwał zaręczyny, gdyby się nie był obawiał, że wmiesza w kielkujący posiew pokoju chwasty nowych sporów i walk.

Minęło kilka tygodni. Wreszcie chirurg oświadczył, że ozdrowieniec może bez wszelkiego niebezpieczeństwa dla zdrowia wsiąść na koń, nosić lancę i tarczę, natomiast powinien przez pewien czas powstrzymać się od noszenia żelaznego hełmu, by nie uciskać blizny na szyi. Postanowiono zatem wrócić do Trevisa. W kilka tygodni potem miała tam przybyć narzeczona z rodzicami, bowiem wyzwolone z hańbiącego poddaństwa miasto postanowiło wyprawić swemu szlachetnemu synowi i zbawcy świetne wesele. Poczcivi obywatele Trevisa również i w czasie, który Attiljo spędził w Vicenzy, złożony niemocą, nie zapomnieli o nim; młodemu, umiłowanemu obywatelowi przygotowali przyjęcie, jakiego chyba najpotężniejszy książę nigdy nie zaznał.

Między darami honorowemi, któremi miasto zamierzało uczcić Attilja, był również i sztandar. Miał go bohaterowi wręczyć w imieniu rady miej-



skiej własny stryj. Sztandar był arcydziełem sztuki. Drzewce z dębiny, mające dziesięć stóp długości, było ozdobione srebrnymi okuciami, wysadzone rubinami, miało ostrze pokryte szczerem złotem, tak że odwrócić trzeba było oczy, gdy jaśniało w słońcu. Z tego drzewca zwisała ciężka bandera z srebrem tkanego brokatu, na którym wyhaftowany był złoty gryf, herbowy ptak rodziny Buonfigli, trzymający w dzióbku czerwonego węża, tak misternie wijącego się, iż czynił wrażenie niemal prawdziwego gada. Nad gryfem znajdował się czerwonym jedwabiem haftowany napis łaciński: „Nie lękaj się, bowiem wyzwolę cię.”

To arcydzieło powstało w przeciągu sześciu tygodni rekonwalescencji Attilja; pochodziło ono z rąk pewnej dziewczycy, której zręczność w sporządzaniu podobnych malunków z złotych, srebrnych i jedwabnych nici była powszechnie znana i ceniona. Zwano ją Gianna la Bionda, to jest jasna Giovanna, bowiem miała włosy jakby szczerozłote nici. A miała tak bujne, obfite pukle, iż śmiało mogłaby z nich utkać chorągiew kościelną dla Przenajświętszej Paniienki w kaplicy Di San Sebastiano. Jednak ścięła te precudowne włosy na znak żałoby, gdy jej narzeczony, nazwiskiem Sebastjan, piękny i dzielny młodzieniec, na kilka

tygodni przed wyznaczonym już terminem ślubu zmarł na ospę. Wówczas liczyła dopiero ośmnaście lat. Była odtąd celem tajnych pożądań i jawnych konkurów. Ludzie mówili: zanim jej włosy odrosną, będzie miała z pewnością drugiego narzeczonego. Gdy takie słowa słyszała, nie odpowiadała ani tak ani nie, jeno spokojnie haftowała dalej, jak człowiek, który nie troszczy się więcej o sądy świata. Żyła też odtąd tak, jakby wraz z ofiarowaniem swych włosów Madonnie ślubowała wieczne dziewictwo i żaden mężczyzna pukli, które zwolna odrastywały, nie miał nigdy dotknąć. Sądzono powszechnie, że pójdzie do klasztoru, bowiem najchętniej haftowała suknie duchowne, paramenty, kapy na ołtarze i stroliła od wszelkich zabaw publicznych, uroczystości, balów. Lecz również i pod tym względem nie ziściła tego, co przepowiadano. Nie poszła do klasztoru, jeno po śmierci swych rodziców zamieszkała w małym domku, przylegającym do murów miasta. Ścielił się stąd przepiękny widok na żyzne pola, poprzez które przepływały rzeczulki Piavesella i Rotteniga. Tu mieszkała ze swą starą, ogłuchłą mamką przeszło dziesięć lat i nikt nie przestępował progu domku, chyba czasem jakaś sąsiadka, lub wytworna dama z miasta, przychodząca, by zamówić

haft. Niekiedy widziano też pewnego księdza, ujmującego za kołatkę, wiszącą u drzwi. Wówczas wzywała mamkę do izby, w której przyjmowała odwiedziny; w ten sposób zapobiegała wszelkim obmowom i plotkom. Chociaż igłę z ręki wypuszczała tylko w dni świąteczne i wogóle nie wiele dbała o swój zewnętrzny wygląd, jednak zachowała wciąż taką piękność, iż, gdy spacerując ze swą starą mamką w niedzielę w pobliskim gaju, spojrzała, zupełnie obojętnym wzrokiem, swemi czarnemi oczyma, obramionemi jasnymi rzęsami, każdy, na którego wzrok jej padł, przystawał jakby oczarowany i długo się na nią oglądał. To też wciąż jeszcze czyniono jej wielce zaszczytne propozycje, by poślubiła wcale zamężnych i poważnych kandydatów do jej ręki. Lecz wszystkim udzielała jednakiej odpowiedzi: życie, które obecnie prowadzi, zbyt jest jej mile, by je zamieniła w inny sposób bytowania.

Liczyła już trzydziesty drugi rok życia, gdy wybuchła wojna między Treviso a Vicenzą. Jako wierna córka swego ojczystego miasta odczuwała boleśnie niedolę i klęski, zadane przez Vicenzę swemu miastu, zaś z wielkiem przejęciem i radością wyzwolenie, dokonane silnem ramieniem młodego rodaka, którego nigdy na oczy nie widziała; uważała go wprost za zesańca niebios. Nigdy

radośniej nie podjęła się roboty i nigdy pracowiciej i misterniej jej nie wykonała, jak wówczas, gdy rada miejska powierzyła jej wyhaftowanie sztandaru, który wręczyć miano bohaterowi podczas triumfalnego wjazdu jego do miasta; a gdy dzień ów nadszedł, zaś wszyscy, którzy nie byli złożeni ciężką niemocą, wylegli na ulice, zajmując wszystkie miejsca przy bramach, oknach, ba, nawet na dachach, by Attilja Buonfiglio powitać okrzykami radości i miłości, obsypać kwiatami — również i jasna Gianna nie została w domu. Postarała się o miejsce na ozdobionej dywanami trybunie przed gmachem rady miejskiej, by z bliska przypatrzeć się bohaterowi; przybrała się w swój najlepszy strój: gorset z srebrnego polyskującego jedwabiu, bogato ozdobiony w niebieskie aksamitne ornamenta, spodnicę wełnianą jasnoniebieską; pukle włosów miała, stosownie do ówczesnego zwyczaju, przetykane licznymi wstążkami. Toteż, gdy w godzinę przed rozpoczęciem uroczystości u boku jednej ze swych sąsiadek szła ulicami miasta w stronę trybuny, budziła powszechny podziw. Wkrótce jednak uwaga tłumu skierowała się w stronę bramy wjazdowej, kędy przybyć miał bohater. Część rady miejskiej udała się konno poza mury, by tam, w odległości pół mili od miasta, powitać bohatera

i towarzyszyć mu podczas triumfalnego wjazdu. Gonfalonier wraz z resztą radców oczekiwał u bramy gmachu radzieckiego, przyozdobionego drogocennymi dywanami. Droga, wiodąca od drzwi gmachu radzieckiego poprzez rynek do portalu katedry, obłożona była czerwonym suknem.

Kto opisać zdoła prawdziwie cudowny, uroczysty widok, gdy wreszcie na czele świetnego orszaku, Attiljo, na wspaniałym koniu wjechał na rynek, w stalowym pancerzu, z mieczem, związającym u skórzanego pasa. Nie nosił hełmu, toteż widać było ciemne, kędzierzawe pukle długich włosów. Po lewej stronie szyi czerwieniła się szeroka blizna. Twarz miał wciąż jeszcze bladą, utrudzoną, znaczoną stygmatem przebytych cierpień. Lecz od czasu do czasu pojawiały się na tej twarzy skromne rumieńce, gdy rozglądając się w okół, widział siwe głowy, z szacunkiem pochylające się przed jego zwycięską młodością, lub matki, podnoszące w górę swe dzieci, by lepiej mogły dojrzeć wybawcę miasta.

Z wszystkich okien i dachów padał deszcz kwiatów, tak, że postać Attilja czasem znikala, jakby przesłonięta różnobarwnym welonem. Rumak jego, przywykły w walce do innych rzu-tów, ruszał uszami i prychał, zaś wśród odgłosu dzwonów i radosnych okrzyków ludu, rżał i wy-

rywał się z taką mocą, że Attiljo musiał użyć wszelkich sił, by go utrzymać w karbach.

Gdy nasz bohater dotarł wreszcie do gmachu radzieckiego, zeskoczył z konia, ukląkł przed swym stryjem, otrzymał z rąk jego sztandar i ucałował rękę, która go takim świetnym darem wyszczególniła. Gdy się uniósł z klęczek i postąpić właśnie zamierzał w stronę katedry, nagle przystanął, jakby tknięty na ciele i duszy paraliżem; przez niemal trzy minuty stał znieruchomiał, aż wróciła mu świadomość, gdzie się znajduje i że wiele tysięcy oczu jest na niego skierowanych. Ujrzał mianowicie na trybunie twarz, która jakby zjawa z niw niebiańskich spłynęła na ten padół ziemski; wielkie czarne oczy z niedającym się opisać, napół słodkim, napół melancholijnym, wyrazem wpatrywały się w niego... Cała krew zbiegła mu się w sercu; zbladł, jakby strzała przeszła mu piersi i gdyby nie drzewce sztandaru, o które się oparł, byłby poraz wtóry, tym razem wbrew woli, padł na kolana. Ludzie, znajdujący się tuż obok niego, przypisywali przybladnięcie i niemal omdlenie niezupełnie jeszcze zagojonej jego ranie i przemęczeniu po długiej jeździe w skwarny dzień. Nikt nie przypuszczał prawdziwej przyczyny, tembardziej, że Attiljo wkrótce się opamiętał, oderwał wzrok od cudownej zjawy i ruszył w stronę katedry.

Za nim potoczył się tłum. Wkrótce były trybuny opróżnione. Ostatnia podniosła się z miejsca, i to dopiero na wezwanie swej sąsiadki, jasna Gianna. Wypatrywała ona młodzieńca, póki czarna głębia portalu nie pochłonęła jego smukłej postaci, podobnie jak oko towarzyszy śladom spadającej na niebie gwiazdy. Sąsiadka pragnęła pójść do katedry, by, jak wszyscy inni, wziąć udział w dziękczynnem nabożeństwie. Lecz Gianna oświadczyła, iż nie czuje się dobrze, bowiem zbyt długo siedziała na słońcu, i samotnie poszła w stronę domu. Jeden z kwiatów, którymi ulica była w okół gęsto obsiana, podniosła z ziemi; był to czerwony goździk, stratowany kopytem końskim. Umieściła go w domu w szklance i pomyślała: coby też znaczyło, gdyby ten stratowany goździk jeszcze raz zakwitł? Stara mamka, która z wykuszu w murze miejskim przypatrywała się triumfalnemu wjazdowi, rozplywała się nad pięknością Attilja, sławiła jego skromność, nazywała go nieśmiertelnym bohaterem, który już w tak młodych latach zyskał pełnię chwały, zaś z pewnością imię swego miasta ojczystego uczyni w przyszłości niemniej sławnem niż Rzym i Florencja. Mówiła też o jego narzeczonej, której wszystkie kobiety zazdroszą takiego szczęścia. Kłopotowała się, czy warta jest takiego bohatera, czy też, broń

Boże, ma charakter podobny do swego brata, pana Lorenzaccia, który w Treviso, a zwłaszcza u kobiet, pozostawił po sobie smutną pamięć.

Na te wszystkie słowa Giovanna nie odrzekła ani słowa. Ku wielkiemu zdumieniu staruchy zasiadła, jakby to był zwykły dzień roboczy, do krosienek i nie odrywała od nich oczu, chyba tylko niekiedy, by spojrzeć na kwiat w szklance. Również i po południu, gdy w mieście świętowano i zabawiano się, gdy ludziska toczyli się koło karuzeli, dokoła kuglarzy, zaś wieczorem gapili się, podziwiając ognie sztuczne, Gianna samotnie siedziała w swej izdebce, a starucha szwendała się po mieście i upajała atmosferą radości i wesela. Dopiero późnym wieczorem wróciła rozpromieniona i pletła wciąż o dziwach i cudownościach zabawy ludowej, żalując niepomrotnie, że Gianna nie była jej świadkiem.

Hafciarka przysłuchiwała się tej relacji spokojnie, ani smutna, ani wesola, jakby ją to wszystko nie obchodziło. Twarz jej ożywiała się jedynie wówczas, gdy rzuciła wzrokiem na szklanę w której goździk ożył i zakwitł z powrotem...

Po wieczerzy Catalina, która stare swe kości przez cały dzień bieganiem po mieście utrudziła, poszła do kuchni i natychmiast zasnęła. Gianna przystąpiła do okna i długo przypatrywała się



księżycowi, unoszącemu się nad przestronną nizina i srebrzącemu fale Rottenigi. Miasto zupełnie już się uciszyło. W krzakach, tuż obok okien, słowik począł tak słodko i tęskliwie śpiewać, że samotnej dziewczynie łzy naszły do oczu. Uczuwała jakieś nieprzeparte pożądanie wyjścia z ciasnej swej izdebki. Wzięła ciemny płaszcz, zgasiła światło, zeszła po kamiennych schodkach i otworzywszy bramę domu, wyszła na pustą ulicę, by o chłodzie wieczora przejść się i uspokoić swą gorącą krew. Pograżona w myślach, zapomniała nałożyć na głowę kapuzę płaszcza, tak iż każdy przechodzień mógł ją z łatwością poznać. I oto los zdarzył, iż właśnie tą samą drogą szedł ten, dokoła którego myśli jej snuły się przez dzień cały, jak ćmy dokoła światła.

Attiljo, zmęczony całodziennymi uroczystościami bardziej, niż udręką całodziennych zmagani bitewnych, wy dostał się pod pozorem, że rana jego wymaga zabiegu lekarskiego, z biesiadnego stołu, opuścił salę bankietową, w której zebrali się najwybitniejsi przedstawiciele miasta, i nie dostrzeżony przez nikogo udał się w stronę łąk podmiejskich, na których jeszcze jako dziecko bawił się. Lecz bardziej jeszcze niż chęć odwiedzenia miejsca dzieciennych zabaw, o władnęło nim pożądanie spotkania pary oczu, których spoj-

rzenie tak głęboko wniknęło w jego serce. Od jednego z obywateli dowiedział się, że owa jasna piękność jest artystką, która sporządziła sztandar. Miał zamiar następnego dnia pod pozorem złożenia jej podziękii za pracę odwiedzić ją w jej domu. I oto, gdy snuł przykre myśli, odnoszące się do narzeczonej, gdy przeciwstawił ją owemu cudnemu zjawisku, które rankiem pod terasą omal nie przyprawiło go o utratę przytomności — spotkał hafciarkę w czarnym płaszczu. Tak jak gdyby go oczekiwała...

Gdy Attiljo i Giovanna nagle stanęli naprzeciw sobie, nie byli w stanie przemówić ani słowa. Jakby im dech w piersi zaparło.

Pierwszy ocknął się Attiljo.

— Znam panią — rzekł, składając głęboki ukłon. — Znam panią, Giovanna la Bionda.

— I ja pana znam, Attiljo Buonfigli. Czyż jest w Treviso człowiek, któryby pana nie znał?

Zamilkli. Zarówno on, jak i ona skorzystali ze sposobności, by dosyta z bliskości napatrzeć się sobie. Młodzieńcowi zdało się, że piękność jej w poświacie księżycy jest stokroć cudowniejsza, niż w świetle słonecznym; zaś ona miała wrażenie, że oczy jego błyszczą teraz wspanialej, niż w owej pamiętnej chwili rankiem, gdy po raz pierwszy na nią spojrział.

— Proszę wybaczyć, Madonno, że zbliżam się do pani tu na ulicy, późno w noc. Zamiarem moim było odwiedzić panią w jej domu, podziękować za wielki trud, złożyć hołd sztuce, którą wykazałaś, tworząc arcydzieło kunsztu hafciarzkiego. Jest pani tu sama na ulicy, czy wolno mi zatem prosić o pozwolenie, bym jej towarzyszył w drodze powrotnej do domu? Zaprawdę, radbym wyświadczyć pani większą i poważniejszą usługę rycerską, by pani wykazać, jak jestem ci oddany.

Giovanna, która pozatem miała wielką łatwość w prowadzeniu towarzyskich rozmów, nie zdołała w swem zamięszaniu zdobyć się na wytworniejsze słowa, niżli:

— Moje mieszkanie jest stąd oddalone za ledwo o kilka kroków i zanadto skromne, iżbym się odważyć mogła pana zaprosić, byś przestąpił progi mego domu.

— Na Boga! — odparł Attiljo — Gdybyś była, pani, księżną, i gdyby mi było wolno błagać o łaskę, to uważałbym to za najwyższy objaw łaskawości losu, gdyby wolno mi było wstąpić do twego domu i przez kilka minut wypocząć; bowiem jestem naprawdę bardzo całodziennem festynowaniem utrudzony, a kubek zimnej wody orzeźwiłby mnie wielce.

Na to odparła hafciarka, rumieniąc się silnie:  
— Któż mógłby zwycięzcy w dniu wmarszu do wyzwolonego miasta odmówić kubka wody, o który tak uprzejmie prosi? Mój dom i wszystko, co zawiera, jest do usług pana, Attiljo.

Otworzyła małą bramę i zasunęła z powrotem rygiel, bowiem w dni świąteczne włóczy się wiele podejrzanych indywiduów i złodziejasków. Ujęła go za rękę i poprowadziła krętymi, niewidocznymi w ciemności, schodkami. Otworzyła wreszcie drzwi, wiodące do pokoju i rzekła:

— Proszę usiąść i poczekać, aż przyniosę wodę. A może pan raczyłby przyjąć szklanekę kiepskiego wina, tego, które sama piję?

Potrząsnął w milczeniu głową. Przystąpił do krzesła przy oknie, na którym leżał haft, właśnie nadpoczęty. Serce biło mu w piersi z wielką mocą.

Gianna poszła do kuchni, w której mamka spoczywała, pogrążona w głębokim śnie, na derce, rozścielonej wprost na kamiennych płytach podłogi. Zawsze tak sypiała w skwarne lato.

— Catalino! — rzekła Gianna półgłosem — gdybyś wiedziała, kto w naszym domu bawi!

Z wielkiego dzbana kamiennego, stojącego obok pieca, zaczerpnęła kubek wody, przystanąła na chwilę, przycisnęła zimne, zwilżone wodą swe ręce do gorących policzków i rzekła:

— Matko Najświętsza! Ustrzeż serce me przed niewczesnemi pożądaniami!

Złożyła kawałek chleba na cynowy talerz i wróciła do swego pokoju, w którym Attiljo przez cały czas, siedząc u okna na krześle, wpatrywał się w oblane poświatą księżyca pola.

— Wstydzę się — rzekła — że mogę panu dać tylko wikt więzienny: chleb i wodę. Lecz jeśli pan sięgnie ręką poprzez okno, znajdzie pan tam wierzchołek drzewa figowego, rosnącego w dole między murem mego domu a wałami. Pełno na drzewie słodkich owoców.

— Gianni — odparł młodzieniec, biorąc kubek do ręki — nigdy nie pożałobałbym lepszego napoju, gdybym miał być po wieki więźniem pani.

Usiłowała się uśmiechnąć i rzekła:

— Wkrótce nudy ogarnęłyby pana, zaś tam, na świecie, u boku młodej małżonki, czekają pana tysiączne rozkosze, zaszczyty wszelkiego rodzaju.

— Pocóż mi to przypominasz! — zawołał i czoło jego zachmurzyło się. — Wiedz, że te zaręczyny, po których mi obiecujesz niebo na ziemi, są dla mnie piekłem. Leżąc ciężko ranny, nie mając wówczas pełni władz umysłowych, samowiedzy, dałem się oplątać w te sieci, a teraz czuję się jak ryba, rzucona na gorący piasek. Biada mi, biada mej młodości! Dlaczego uświadomiłem

sobie całe moje nieszczęście, gdy już było za późno! Dlaczego, jak głupiec dałem się sprzedać i wziąłem na się te nieszczerze zobowiązania!

Podskoczył z krzesła i począł kroczyć po pokoju, jakby młoda pantera, schwyтана w sidła i zamknięta w żelaznej klatce.

Gianna, przerażona tem dziwnem, oszalałym zwierzaniem, głaskała białymi palcami rozkwitły kwiat w szklance.

— Attiljo! — rzekła. — Pańska narzeczona jest wszak młoda, piękna, obdarzona wszelakimi cnotami. Jakże więc pan może uważać to za klęskę, że masz zostać jej mężem?

— A choćby była aniołem — zawołał, przystanąwszy obok niej — kwiat, którego dotyka twa ręka, byłby mi cenniejszym darem, niż wszystkie bogactwa i cnoty mej narzeczonej! O, dlaczegoż cię ujrzałem, Gianno! Kto nigdy nie widział słońca, żyje szczęśliwie i w mrokach. Od dzisiejszego ranka, gdy me oko cię ujrzało, wiem, że na świecie żyje tylko jedna kobieta, dla pozyskania której me ciało i dusza zdobyłyby się na najwyższe wysiłki, największe ofiary — a tą kobietą jesteś ty, Gianno! I oto radbym, by mnie wieczna noc pochłonęła! Bowiem czyż mógłbym wrócić w mroki, by nędzny, zziębnięty, śnić w nich o mem słońcu?

Ujął ją za obie ręce, jakby chciał szukać w nich oparcia przed zstąpieniem w mroczne czeluście.

Lecz twarz jej pozostała niemą, nieporuszoną. Więc puścił jej ręce i przystąpił do otwarcia okna.

Przez jakiś czas panowała cisza w pokoju. Jeno słowik w krzakach nie przestawał zawodzić swe nabrzmiałe tęsknotą pienia.

Nagle, jakby powziąwszy silne postanowienie, młodzieniec odwrócił się od okna i rzekł:

— A choćby wszystko wokół poszło na marne, nie zniosę kajdanów, które mi chcą nałożyć! Jutro, wczesnym rankiem, wyślę listy do Vicenzy, zerwę zrękowiny i wezwę każdego w bój, kto ośmieli się zaprzeczyć, że Gianna la Bionda nie jest królową między kobietami!

— Nie uczyni pan tego, Attiljo — rzekła Gianna i spokojnym wzrokiem spojrzała w niebo, unikając jego oczu. — Że tak nagle uczułeś miłość ku mnie i chcesz mi oddać swe serce, uważam za szczególną łaskę, której ja, osoba niegodna ciebie, bohaterze, póki życia nie zapomnę. Ale twego serca przyjąć nie mogę, bowiem naraziłabym zarówno ciebie jak i siebie na niechybną zgubę. Zważ, mój przyjacielu, jak silnie rozgorzałaby z powrotem nienawiść między obu miastami, gdybyś domowi Scarpia, a więc również i całemu

miastu sprawił hańbę odepchnięcia narzeczonej, której nic przecież zarzucić nie możesz, chyba tylko to, że inna twarz lepiej ci się spodobała. A twarz ta może wkrótce przywiednie, iż pytać się będziesz: czy możliwe, że dla niej zapłonąłem taką miłością? Czyż bowiem nie widzimy często u schyłku lata, że przez jedną noc nastaje wczesna jesień i drzewo, które wczoraj jeszcze cudownie się zieleniło, nagle staje się żółte i brzydkie? Przekroczyłam już trzydziesty pierwszy rok życia; ty, przyjacielu, jesteś w rozkwicie młodości. Ty pniesz się w górę, zaś ja jestem już na szczycie. Więc jako starsza muszę być rozsądniejsza. Muszę za nas obojga mieć rozum. Toteż oświadczam ci, Attiljo, z całą stanowczością: choćbym nawet się przekonała, że twa miłość jest czemś więcej niż przelotnym kaprysem, choćby wszystkie przeciwności cudem jakimś zostały usunięte, n i g d y nie zgodziłabym się zostać twoją ż o n ą , gdyby nawet twoi rodzice do mnie przyszli i dali zezwolenie na twe oświadczenia.

Dopiero po tych słowach odważyła się nań spojrzeć. Widziała, że zbladł, że z pięknych jego oczu wyziera rozpacz. Litość i miłość przenikały jej serce z taką mocą, iż byłaby zapewne odwołała wszystkie te słowa, które z taką stanowczością wypowiedziała, gdy Attiljo odezwał się:



— Dobranoc, Madonna!

I począł iść w stronę drzwi.

— Czy gniewasz się na mnie, Attiljo?

Zatrzymał się.

— Nie! Na Boga, Gianni! Pozwól mi odejść. Zaprawdę, zbyt długo tu bawiłem. Mówiłem jak szaleniec, nie licząc się z tem, że to, co ci zaproponowałem, jest może dla ciebie bez wartości. Więc idę zawstydzony i tylko moją jest winą, jeśli ten dzień mój honorowy, który tak uroczyście się zaczął, kończy się tak nędznie. Żegnaj, Gianni! Sztandar, przez ciebie wyhaftowany, który dziś rano uważałem za najdroższy klejnot, umieszczę w kościele, by widok jego nie przypominał mi stale ręki, która jest tak zimną i która nie chce być moją.

Złożył ukłon i poszedł do progu, gdy nagle usłyszał swe imię. Serce Gianni wreszcie przemówiło.

— Attiljo — rzekła, oblewając się silnym rumieńcem, — nie mogę zgodzić się, byś tak odszedł. To, co ci powiedziałam, jest moją ostateczną decyzją. Nie zmienię jej. Czynię to dla twego dobra, które jest mi droższe niż własne. Nie powiedziałam ci jednak wszystkiego. A więc przyjm do wiadomości, że odkąd przed dwunastu laty umarł mój narzeczony, nie miałam nigdy życzenia należeć do jakiegokolwiek mężczyzny, a jeśli skarb mej

czci kobiecej pozostał nietknięty i czysty, to stało się to zaprawdę nie bez walki. Chociaż bowiem jestem biedną, nie jestem skromną. Cenię się wcale wysoko. Wiem, że mam wolną i silną duszę, która nie łatwo dałaby się ugiąć przez mężczyznę, co przecież w małżeństwie zwykle się staje. Choć wielu się o mnie starało, nie spotkałam nigdy człowieka, któremu służyć bym zapragnęła, nie uważając tej służby za niewolę i poniżenie. Dopiero dziś, gdy widziałam cię, wjeżdżającego do miasta jako jego wybawca z taką skromnością — dziś dopiero powiedziałam sobie: dlaczego nie jestem więcej tak młoda, by zasłużyć sobie na miłość tego młodzieńca? A gdy ujrzałam płomienną bliznę na twojej szyi, pomyślałam: pieszo, bosy, szlabym do grobu świętego, gdybym mogła zaznać tego szczęścia, by raz jedyny przycisnąć me usta do tej blizny. A gdy wracałam do domu, podniosłam z ziemi kwiat, ten oto kwiat, który zdeptało kopyto twego konia. Myślałam, że każę go sobie złożyć pod poduszkę, gdy mnie wyniosą na wieczny sen. A teraz, gdy ci to wszystko powiedziałam, Attiljo, powtórz, jeśli ci serce pozwoli, twe brzydkie słowa, że moja zimna ręka cofnęła się pod tobą!

Stał przed nią jak skazaniec, któremu na miejscu kaźni ogłoszono wyrok ulaskawiający.

Ona zaś wyciągnęła ku niemu swe ręce, przycisnęła jego głowę ku swej piersi, pochyliła się ku jego szyi i przycisnęła swe wargi do blizny. Potem rzekła:

— Wszystko, co czynię, mój przyjacielu, czynię w pełni świadomości. Nigdy nie będę uczuwała żalu, chociaż wiem, iż ludzie potępiliby moje zachowanie, gdyby się kiedyś o niem dowiedzieli. Daruję ci jedyny klejnot, który posiadam, który strzegłam póki życia jak oka w głowie. Oto dowiedz się, że tu, na tym progu, na którym teraz jesteś, stał twój przyszły szwagier, pan Lorenzaccio i błagał mnie, bym doń należała, obiecywał, że zawiezie mnie jako swą żonę do Vicenzy. To, co odmówiłam wrogowi mego miasta — a bronić się musiałam przed nim tym sztyletem —: to daruję tobie, wybawicielowi mego miasta. Nie żądam innej nagrody, jak przyrzeczenia, że o mnie zapomnisz, gdy pójdiesz do ołtarza, by innej kobiecie poprzysiąc wierność. I że nie będziesz się wcale o to troszczył, co ze mną się potem stanie. Moim losem bowiem jest rezygnacja. Zaś szczęściem mojem jest, iż mogę z własnej woli obdarować swą czią najlepszego człowieka, którego oczy moje widziały, iż mogę, zanim zima pokryje bielą jasne moje włosy, przeżyć raz jeszcze późną wiosnę, tak piękną, o jakiej nigdy

marzyć nie mogłam. Te oczy i te usta są twoje, Attiljo, i to nietknięte ciało jest twoje, i twojem jest to serce, które, gdy opuścisz mnie, niczego więcej na tym świecie pożądać nie będzie, jeno jak serce wdowy czerpać będzie tylko ze skarbów minionego szczęścia, aż razu pewnego przestanie bić. . . .

Po tych słowach zaprowadziła go do krzesła, stojącego obok okna; ukłękła przed nim, on zaś ujął w ręce jej głowę i nie przestawał całować jej ust, policzków, czoła. Księżyc dawno już zaszedł, a oni wciąż wynajdywali tysięczne pieszczoty. Gdy jednak zapiał pierwszy kur, Gianna wyrwała się z jego uścisków i nalegała, by poszedł. Umówili się, że co nocy będzie przychodził, umówili znaki, po których ona pozna, że on stoi pod bramą domu. Pożegnał się upojony szczęściem, zaś nie zszedł po schodkach, choć ulice były jeszcze zupełnie puste, jeno oparłszy się o drzewo figowe, zeskoczył przez okno do fosy między domem a murem miejskim, i tu nie przestawał obsypywać ją, stojącą w oknie, kwiatami, zerwanymi w fosie i gorącemi słowy zapewniać o swych uczuciach. Wreszcie, gdy się zupełnie rozwidniło, musiał odejść. W domu rodziców nikt nie zauważył jego nieobecności, więc zakradłszy się do swej sypialni, rzucił się na łożo.

Również i następnych nocy Attiljo i Gianna potrafili swe schadzki tak mądrze zakonspirować, iż nikt w mieście nie przeczuwał nawet, iż ci dwoje spędzają noce ze sobą, z wyjątkiem mamki Cataliny, która jednak była niema jak drzewo figowe, zaglądające przez okno... Bowiem Catalina żyła jeszcze tylko szczęściem Gianny, a najostrzejsze tortury nie zdołałyby ją skłonić, by wymieniła nazwisko kochanka swej wychowawicy. Jedna rzecz dręczyła ją tylko niepomierne. Oto niezłomne postanowienie Gianny, że wszystko się skończy w chwili, gdy Attiljo zamieni się pierścionkami ze swą narzeczoną Emilją Scarpia.

— Jak to sobie właściwie wyobrażasz? — gderiała. — Czy sądzisz, że spokojnie zdołasz znieść ten cios? Serce twe pęknie, jak jabłko, przekrojone w pół.

— Catalino — odpowiadała stale Gianna — masz może rację. Ale lepiej, że ja pójdę na marne, niż ten, którego miłuję, i miasto nasze drogie, będące macierzą moją i jego.

— Mówisz głupstwa! Jeśli cię naprawdę tak kocha, jak mówi i jak ty w to wierzysz, nie przeżyje i on tego. Więc twój upór pociągnie za sobą dwie ofiary. Zaś miasto, które ma takiego obrońcę jak Attiljo, może kpić sobie z dąsów trzech miast, a cóż dopiero Vicenzy.

Takie zdanie wypowiadała stale stara mamka, a głośiła je coraz częściej, im bardziej zbliżał się termin, w którym Attiljo miał raz na zawsze rozstać się ze swą kochanką. Spodziewał się on, że przecież złamie jej upór, był zdecydowany na poniesienie wszelkich następstw. Jednak Gianna, ilekroć nalegał, błagał, by przecież swe postanowienie zmieniła i zgodziła się na małżeństwo, mówiła o swej minionej młodości, o niestałości mężczyzn, zaś starała się chwile schadzek tak mu osładzać i uprzyjemniać, że zapominał w nich o grozie niedalekiej przyszłości.

Tymczasem obie rodziny, Buonfigli i Scarpia, czyniły gorliwe przygotowania do wesela. W dziewięć tygodni po uroczystym wjeździe Attilja do Treviso odbył się niemniej świetny wjazd Emilji Scarpia w otoczeniu szesnastu druchen, towarzyszących karocy narzeczonej na białych stępakach i w przepysznych strojach. Dwie tylko osoby w tym świetnym orszaku, otaczającym młodą i piękną pannę, były przepojone bólem i żalem. Narzeczoney i pan Lorenzaccio, przyszły jego szwagier, zgrzytający zębami na myśl, że obok swego młodszego rywala staje się drugorzędną figurą. I trzecie jeszcze serce zamknięte było dla radości dnia, serce Gianny; wiedziała bowiem, że najbliższa noc jest ostatnią nocą jej szczęścia. Nie

wystarała się też, jak podczas pierwszej uroczystości, o miejsce na trybunie, lecz została w domu, gdy Attiljo u boku swej narzeczonej przejeżdżał ulicami miasta, a znowu deszcz kwiatów padał na jego głowę. Również i po południu, gdy lud zdążył na łąkę podmiejską, na której miał się odbyć turniej, siedziała w domu, pogrążona w głębokich myślach, a rześiste łzy spływały po jej policzkach.

— O biedne moje serce! — wzdychała. — Oto czas nadszedł, w którym masz okazać, iż jesteś dość silne, aby znieść utratę mego szczęścia, a oto jesteś takie słabe, iż stapiasz się w nieprzerwanych łzach. Podjęło się serce moje czegoś, czego nie może wykonać! Nie wiedziało wówczas, że miłość jest jak wino, którego tem bardziej się łaknie, im więcej się go pije. I oto puchar mego szczęścia napęlnia się trucizną, które powoli serce moje zatruje, a żaden lekarz na świecie, i wszyscy święci, nie znają ratunku!

W tem weszła do pokoju Catalina i poczęła ją nakłaniać, by się zebrała i wyszła. Jeśli bowiem, mówiła, ma się z nim na wieki rozstać, niechby go raz jeszcze ujrzała w pełni kraszy rycerskiej, w chwili, gdy w rycerskim boju okaże swe piękno i siłę, i zatriumfuje nad wszystkimi współzawodnikami. W skrytości bowiem spodziewała się

wciąż jeszcze poczciwa mamka, że stanie się jakiś cud, a może w ostatniej chwili Gianna zmieni swą decyzję. Więc poczęła ubierać swą wychowanicę, która była zupełnie bierna i pozwalała ze sobą robić, co się staruszce spodobało. Poczem zaprowadziła ją na łąkę, na której było już mnóstwo ludzi. Właśnie rozlegały się na obszernem polu dźwięki trąb, zwiastujące początek zabawy. Stojąc w tłumie, widziała Gianna na trybunie, między ojcem a stryjem Attilja, młodą narzeczoną, słyszała przeróżne zdania o niej wypowiedane. Nagle zbladła jak płótno.

Bo oto wjeżdżał w szranki Attiljo w rycerskiej zbroi. Jeno w miejsce żelaznej obręczy dokoła szyi, którą Francuzi zwą „barbiére,” miał lekki skórzany szal, przytwierdzony do hełmu. Przyłbica nie była spuszczone, toteż wszyscy widzieli bladą jego twarz i smutek na niej; dziwowano się temu, boć przecie był bezsprzecznie mistrzem kunsztu rycerskiego, a szczęśliwym narzeczoną ponadto.

Podjechał do trybuny, na której siedziała Emilja, pochylił przed nią głowę. Wtedy ona przypięła mu do hełmu szarfę na znak, że jest jej rycerzem. Wówczas zabrzmiały trąby, a z drugiej strony nadjechał pan Lorenzaccio, ze spuszczoną przyłbicą. Jednak wszyscy poznali go po zbroi



i herbowych znakach i życzyli mu, by jaknaj-  
prędzej zepchnięty z konia silnem ramieniem  
szwagra, uznać musiał przewagę chluby Trevisa.  
Lecz inaczej los zrządził. Bowiem zaledwo he-  
roldowie dali znak i trębacze zagrali fanfarę, obaj  
jeźdźcy najechali na siebie i zmierzyli lancami.  
Słychać było odgłos stalowych ostrzy lanc, uderza-  
jących o tarcze i pancerze. Nagle zapanowała  
cisza. Z przerażeniem ujrzano, że Attiljo, jeszcze  
w strzemionach, pochyła się na siodle w tył, zaś  
z szyi jego, osłoniętej tylko cienką powłoką skó-  
rzaną, tryska strumień krwi. Lorenzaccio od-  
słonił przyłbicę, jakby chciał dokładniej przy-  
patrzeć się, czy dzieło zemsty dokonane. Poczem  
ostrogami popędził konia i nie kłaniając się  
nikomu, wyjechał poza szranki.

Tymczasem podbiegli giermkowie Attilja,  
zdjęli go z siodła i ułożyli na ziemi. W tłumie  
rozległy się głosy bólu i rozpaczy; lud cisnął się  
poprzez szranki na pole turnieju; siedzący na  
trybunie opuścili pospiesznie swe miejsca; herol-  
dowie z wielkim trudem zdołali odpędzić napiera-  
jące masy od umierającego i stworzyć tyle wolnej  
przestrzeni, by rodzice, krewni i narzeczona mogli  
doń się zbliżyć.

Attiljo leżał cicho, z zamkniętymi oczyma.  
Gdy jedni zawodzili, inni złorzeczyli Lorenzacciowi,

inni znowu wołali, by sprowadzić lekarza i księdza — leżał Attiljo nieruchomo, z ust jego bladych nie popłynęło słowo skargi, iż tak rychło i niespodzianie przyjdzie mu pożegnać się z światem. A może wydało mu się to wyzwoleniem ze znie-nawidzonych ślubów, które miał nazajutrz złożyć. .

Nagle w tłumie rozległy się okrzyki zadzi-wienia. Bo oto jasna Giovanna, blada jak upiór, lecz z godnością, jakby właśnie ukoronowana została cierniową koroną cierpienia i wywyższoną ponad wszystkie kobiety, przedostała się poprzez zbite masy ludu i przystąpiła do Attilja.

— Odejdź stąd — rzekła, pokazując palcem narzeczoną — ten umierający należy do mnie. Jak w życiu ciałem i duszą byłam jego oblubienicą, tak i teraz, gdy umiera, chcę być przy nim, a żadna obca kobieta niema prawa do ostatnich jego tchnień!

Uklękła, podniosła głowę Attilja i złożyła ją na swem łonie. Krew posączyła się na jej suknię.

— Attiljo — szepnęła — czy poznajesz mnie?

Otworzył oczy i westchnął:

— O Gianni moja, umieram... Śmierć nie życzyła sobie, bym innej ślubował wierność, która tobie jedynie się należy. Umieram, żono moja. Ucałuj mnie poraz ostatni... Niech w twych ramionach wydam ostatnie tchnienie...

Pochyliła się ku jego ustom, a gdy dotknęła warg, opadła głowa jego na jej łono. Gianna padła zemdlona obok zwłok.

Wokół litość owładnęła wszystkimi z taką mocą, iż nikt, nawet Scarpiowie, nie śmieli przeszkodzić pożegnaniu pary kochanków.

Złożono zwłoki na nosze i zaniesiono doczesne szczątki bohatera do domu Gianny.

Tej samej nocy odjechała Emilja wraz z matką do Vicenzy; pan Tullio Scarpia pozostał w domu pana Buonfigli, by wziąć udział w pogrzebie Attilja; biedny starzec znosić miał podwójny ból: z powodu nieszczęścia swej córki i haniebnego postępku swego syna.

Gdy trzeciego dnia składano do grobu Attilja w kaplicy Madonny degli Angeli, widziano za trumną, przed wszystkimi krewnymi, wysoką postać Giovanny, w welonie wdowim i czarnej sukni. Gdy przerzuciła na plecy welon żałobny, by ucałować czoło zmarłego, lud ujrzał dziwo, które w trzech dniach zaszło. Oto złote jej włosy w ciągu tych kilku dni stały się srebrne; twarz jej żółkła i zmarszczyła się jak twarz staruszki.

Sądono, że nie przeżyje swego oblubieńca. A jednak żyła jeszcze przez trzy lata. Nie złożyła przez cały czas żałobnego stroju; nigdzie się nie pokazywała. Pilnie pracowała w domu.

Ślubowała bowiem wyhaftować dla kaplicy Madonny degli Angeli wielką chorągiew; był na niej wyrysowany Archanioł Michał w białej zbroi, zabijający smoka. Mówiono, że pancerz Archanioła wyhaftowała z własnych włosów. Chorągiew tę ustawiono w kaplicy obok grobowca Attilja i obok owego sztandaru, który wyswobodziciel miasta otrzymał w dniu swego wjazdu triumfalnego.

Wkrótce potem złożono również i hafciarkę w grobie, i to, na jej ostatnie życzenie, obok swego kochanka.

Przez długie lata pielgrzymowali ludzie do kaplicy, podziwiali misterne hafty obu chorągwi i opowiadali sobie o historii Gianny la Bionda, która dla owego kochanka wszystko poświęciła, nawet cześć swą kobiecą. A przecież, gdyby była milczała, cześć jej wobec świata byłaby nieskalana...

\* \* \*

Eminus zamilkł, złożył manuskrypt do teki.

W salonie zapanowała cisza; słyhać było tylko poszum wiatru i opadające krople deszczu.

Wreszcie odezwał się młody doktor:

— Historia ta ma złoty ton szkoły weneckiej. Tych barw malarze współcześni nie umieją

wcale używać. Choć zdaje mi się, że kopista nie-  
jedno w starej kronice domalował.

— Kopista! — zawołał profesor. — Widzę,  
że nie znasz Eminusa. Zażartował sobie z nas.  
Postawił obraz, malowany pełnemi barwami,  
obok naszych wybladłych, nikłych kolorów. Za-  
łożę się, że kronika z San Niccolo jest o wiele  
młodsza, niż osławiony „Ossian” Macphersona!

Eminus nie zwracał wcale uwagi na te słowa.

— Co sądzi pani o moralności tej historji? —  
zapytał panią Eugenję.

Namyślała się przez krótką chwilę i odparła:

— Nie wiem, czy takie dziwne zdarzenie  
można uważać za pierwowzór. A zresztą: każdy  
czas ma swoje zwyczaje i każdy lud ma swojskie  
sentymta. Wyznaję, że namiętna miłość nie  
przemawia mi do uczucia. Dopiero tragiczne  
zakończenie pańskiej opowieści pogodziło mnie z nie-  
samowitym jej początkiem. A jednak: gdyby ta  
jasna Giovanna była moją siostrą, nie zastana-  
wiałabym się ani przez chwilę, jeno szłabym z nią,  
ręka w rękę, za trumną Attilja.

— Lepszego świadectwa moralności nie  
mogła pani jej wystawić. Toteż proszę pozwolić,  
że ucałuję rączkę pani.

KONIEC.



## SPIS RZECZY

	Strona
Wiedźma z Korsa . . . . .	1
Wesele na Kapri . . . . .	103
Nino i Maso. — Opowiedziane według kroniki miasta Sieny . . . . .	143
Andrzej Ingram . . . . .	189
Hafciarka z Treviso . . . . .	321

---



WYDAWNICTWO POLSKIE

SPÓŁKA Z OGRANICZONĄ PORĘKĄ

LWÓW

POZNAŃ

ULICA ZYBLIKIEWICZA L. 15.

ULICA ZWIERZYŃSKA L. 6.

PROSPEKT

BIBLIOTEKA

LAUREATÓW NOBLA

POD REDAKCJĄ DRA. STAN. LAMA

PO RAZ pierwszy w Polsce ujęto w tem wydawnictwie literaturę przekładów w pewien system, dając dzieła o wysokiej wartości artystycznej z wszystkich piśmiennictw zagranicznych. Każdy z laureatów fundacji Nobla będzie tu reprezentowany szeregiem swych dzieł, tak iż z czasem cała biblioteka obejmie kwiat dorobku kulturalnego wszystkich narodów. Że zaś zarząd fundacji przy rozdawaniu nagród bierze pod uwagę nietylko stronę estetyczną utworów, ale także ich wartość społeczną i moralną — przeto wydawnictwo skupiając w jedną całość te wszystkie prace — posiadać będzie również pewien podkład ideowy.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ jest pierwszym tego rodzaju przedsięwzięciem wydawniczym w Europie i dla tego też redakcja dołoży wszelkich starań, aby całe to przedsięwzięcie stało na wysokim poziomie. Główną więc troską jest dobór przekładów, któreby mogły godnie oddawać w słowie polskiem arcydzieła nowszej i najnowszej literatury zagra-

nicznej. Nie o poprawność tylko — do której zresztą daleko było dorywczym i przygodnym tłumaczeniom polskim — ale o artystyczne walory, odpowiadające wysokiej mierze oryginałów w tych przekładach iść będzie. Słowo bowiem jako wyraz treści jest z nią ściśle związane, a takie lub inne jego użycie obojętnem być nie może. Tłumacz, przyswajający piśmiennictwu ojczystemu obce dzieło — musi być jego współtwórcą. I o tę współtwórczą pracę zabiegać będziemy jak najusilniej.

Dotychczas wyszły następujące utwory:

- Tom I. ROMAIN ROLLAND — COLAS BREUGNON — POWIEŚĆ
- „ II. RABINDRANATH TAGORE — OPOWIADANIA.
  - „ III. MAURCY MAETERLINCK — ŻYCIE PSZCZÓŁ
  - „ IV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSON SYNNOVE SOLBAKKEN —  
[MARSZ WESELNY
  - „ V. RUDYARD KIPLING — KSIĘGA DŻUNGLI
  - „ VI. RABINDRANATH TAGORE — ROZBICIE — POWIEŚĆ
  - „ VII. SELMA LAGERLÖF — TĘTNIĄCE SERCE — POWIEŚĆ
  - „ VIII. ANATOL FRANCE — POGLĄDY KSIĘDZA HIERONIMA COI-  
[GNARDA
  - „ IX. RABINDRANATH TAGORE — SADHANA — SZEPT DU-  
[SZY — ZBLĄKANE PTAKI
  - „ X. KAROL SPITTELER — IMAGO — ROMANS
  - „ XI. HENRYK PONTOPPIDAN — DJABEL DOMOWEGO OGNISKA
  - „ XII. KNUT HAMSUN — BŁOGOSŁAWIENSTWO ZIEMI — POWIEŚĆ
  - „ XIII. MAURCY MAETERLINCK — INTELIGENCJA KWIATÓW
  - „ XIV. KAROL GJELLERUP — PIELGRZYM KAMANITA — ROMANS
  - „ XV. RUDYARD KIPLING — DRUGA KSIĘGA DŻUNGLI
  - „ XVI. RABINDRANATH TAGORE — WSPOMNIENIA — BŁYSKI  
[BENGALU.
  - „ XVII. MAURCY MAETERLINCK — WIELKA TAJEMNICA.
  - „ XVIII. PAWEŁ HEYSE — L'ARRABBIATA — NOWELE WŁOSKIE.
  - „ XIX. RUDYARD KIPLING — STALKY I SP. — POWIEŚĆ.
  - „ XX. KAROL GJELLERUP — DOJRZALI DO ŻYCIA — POWIEŚĆ.



- Tom XXI. KNUT HAMSUN — GŁÓD — POWIEŚĆ.  
 „ XXII. HENRYK PONTOPPIDAN — ZIEMIA OBIECANA —  
 POWIEŚĆ.  
 „ XXIII. KAROL GJELLERUP — WĘDROWCY ŚWIATA — ROMANS  
 POETYCZNY.  
 „ XXIV. BJÖRNSTJERNE BJÖRNSSON — TOMASZ RENDAŁEN —  
 POWIEŚĆ.  
 „ XXV. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA I.  
 ANETKA I SYLWJA — POWIEŚĆ.  
 „ XXVI. VERNER v. HEIDENSTAM — HANS ALIENUS  
 POWIEŚĆ.  
 „ XXVII. ROMAIN ROLLAND — DUSZA ZACZAROWANA II.  
 LATO — POWIEŚĆ.

W dalszym ciągu pojawiają się następujące tomy:

- KNUT HAMSUN — WIKTORJA — POWIEŚĆ.  
 KAROL SPITTELER — KONRAD PORUCZNIK — POWIEŚĆ.  
 PAWEŁ HEYSE — WESELE NA KAPRI — NOWELE WŁOSKIE.  
 SELMA LAGERLÖF — GÖSTA BERLING — POWIEŚĆ.  
 ROMAIN ROLLAND — JAN KRZYSZTOF. — POWIEŚĆ.  
 GERHARD HAUPTMANN — GŁUPIEC — POWIEŚĆ.  
 MAURYCY MAETERLINCK — MĄDROŚĆ I PRZEZNACZENIE.

„BIBLIOTEKA LAUREATÓW NOBLA“ wychodzi w odstępach mniej więcej miesięcznych i każdy tom obejmuje od 15 do 35 arkuszy druku.

Do nabycia we wszystkich większych księgarniach; gdzie takiej niema, zamawiać można wprost u wydawcy.

WYDAWNICTWO POLSKIE

Sp. z ogr. por.

w POZNANIU, ul. Zwierzyniecka 6.







S. 61



86-8

36.392

1

35103

20.V.58

40 -

✓

POLITECHNIKA KRAKOWSKA  
BIBLIOTEKA GŁÓWNA

l. inw. 29540

Kdn. 524. 13. IX. 54

Biblioteka Politechniki Krakowskiej



100000231571